

ROBERT KRASOWSKI

# CZAS KACZYŃSKIEGO

*Polityka  
jako wieczny  
konflikt*



HISTORIA III RP / LATA 2005–2010

*Przemożny strach  
przed Kaczyńskim narastał  
w Tusku od wyborów w 2005 roku.  
I stał się jego obsesją.  
W gronie swoich  
współpracowników nie mówił  
o nim inaczej jak „potwór”.  
Gdy coś nie szło po jego myśli,  
krzyczał do swoich ludzi:  
„Przyjdzie potwór i skończymy  
w więzieniu!”.*



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Przedmowa

## Rozdział I. Zanim PiS przejął władzę. Powody wojny PiS i PO

Dwaj ekscentryczni panowie

„Popis”, czyli koalicja słabych

Słabi stają się silni

Czemu „popis” się rozpadł? Dygresja na temat kwestii skali

## Rozdział II. Porządkowanie świata po katastrofie „popisu”

Rząd Marcinkiewicza

Rząd mniejszościowy, z PO, z Samoobroną czy nowe wybory?

Nowe wybory

Jednak Lepper

Upadek Marcinkiewicza

## Rozdział III. Kaczyński bierze władzę

Oczekiwanie na radykała. I jego skromne plany

Rewolucja, która zaczęła się od kontrrewolucji

Dygresja o postawie elit

Nowy premier i jego drużyna. Lepper

Dygresja o naturze Kaczyńskiego

Drugi koalicjant. Giertych

## Rozdział IV. Wojna z układem

Wiatr historii

Pierwsze kroki

Pierwsze ciosy w układ

Dygresja na temat sposobu opisu tamtych wydarzeń

Szturm na WSI i archiwa SB

Czy Kaczyński popadł w paranoję? Dygresja

Początek końca

Afera gruntowa

Dygresja na temat zbrodni IV RP

Rzut oka na dwa pierwsze lata Czwartej RP

## Rozdział V. Na scenę wchodzi Tusk

Zwycięstwo Tuska

Credo Tuska

Pierwsze kroki

## Rozdział VI. Tusk kontra drugi Kaczyński

Emocje prezydenta

Rzut oka na ostatnie kilka lat polskiej dyplomacji

Trzy wielkie starcia o politykę zagraniczną

## Rozdział VII. Tusk rośnie w siłę

Przewrót kopernikański

Koniec drużyny

Reformator władzy. Ocena Tuska

Rzemieślnik władzy. Ciąg dalszy oceny Tuska

Niewolnik władzy. Finał oceny Tuska

Zakończenie. Ocena dwóch dekad Polski oraz dwóch dekad polskiej polityki

Źródła cytatów użytych w książce

Okładka

**CZAS KACZYŃSKIEGO**  
**Polityka jako wieczny konflikt**



**Historia polityczna III RP.**  
**Lata 2005-2010**

Copyright © Robert Krasowski, Czerwone i Czarne

Projekt okładki  
FRYCZ I WICHA

Zdjęcie: Shutterstock / Piktogram: Renee Ramsey-Passmore, Noun Project

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Korekta  
Małgorzata Ablewska, Katarzyna Szol

Skład  
Tomasz Erbel

**Wydawca**  
**Czerwone i Czarne Sp. z o.o. SKA**  
**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**  
**00-272 Warszawa**

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. sp. j.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



ISBN 978-83-7700-217-9

Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)



# Przedmowa





**N**a drodze trzeciego tomu historii politycznej III RP stanęła bieżąca polityka. Kazala odczekać, aż Tusk odda władzę, bo trudno opisywać początek kadencji premiera, który jest nadal u władzy. Historia i polityka wymagają minimum separacji – aby u czytelnika nie budzić wątpliwości co do chłodu autora, a u autora co do chłodu czytelnika. Ledwo się problem rozwiązał, chwilę potem znowu powrócił. Wraz z odejściem Tuska w centrum polityki pojawili się inni bohaterowie tomu: Kaczyński, Ziobro, Kamiński, Macierewicz. Czekanie, aż teraz oni władzę stracą, przerosło moją cierpliwość. Oznacza to, że książka będzie czytana przez pryzmat bieżących wydarzeń. Niech tak będzie, ale z mocnym zastrzeżeniem, że opis tego, co robili w pierwszym rozdziale, nie jest prognozą tego, co zrobią w drugim.

Planowane ramy czasowe projektu miały na zimno przeciąć materię wydarzeń, objąć dwie pierwsze dekady wolności, od lata roku 1989 do lata 2009 roku. Jednak lepszą granicą okazała się wiosna 2010 roku, kiedy PiS stracił ostatni bastion władzy, Platforma wzięła pełną pulę, a Tusk zrezygnował z prezydenckich ambicji. Niemniej nadal jest to sztuczna cezura. Nie dlatego, że Tusk rządził jeszcze cztery lata, ale ponieważ ważniejszy od niego się okazał Kaczyński. Dziś widać wyraźnie, że pierwszy rozdział dziejów polskiej demokracji zakończył się w 2005 roku. Potem na scenę wkroczył Jarosław i bez względu na to, czy miał władzę, czy nie, stał się osią wydarzeń. We wszystkich wyborach Polacy głosowali za lub przeciw niemu. W chwili oddania tej książki do druku epoka Kaczyńskiego trwa nadal, a jej finału przewidzieć nie sposób.

O znaczeniu Kaczyńskiego zdecydowała także postawa Tuska. Był politycznym rywalem Kaczyńskiego, ale podzielał wiele jego diagnoz, w tym ocenę realiów sprzed 2005 roku – państwa, polityki, dyplomacji. Więc gdy zdobył władzę, poszedł jego śladami. Działał miękko, zręcznie i dyskretnie, czym stworzył wrażenie głębokiej zmiany. Ale w treści był drugim Kaczyńskim. Rządził wbrew elitom, gardząc ich wiedzą i wrażliwością, a władzę skonsolidował mocniej, niż to potrafił Kaczyński. Jeśli pojęcie „Czwarta RP” coś realnie znaczy, to właśnie te dwie rzeczy. Jeśli Czwarta RP miała sprawnego przywódcę, to był nim Tusk.

Odwracając się od elit, Kaczyński i Tusk swoją ofertę skierowali do mas.

Inaczej nimi manipulowali, inne ich potrzeby zaspokajali, ale obaj w tym byli wirtuozami. Zakorzenili demokrację w masach mocniej niż poprzednicy. Co nie dodało jej ani zdrowia, ani uroku. Bo pasje obywatelskie to emocje dzikie. Tyleż silne, co ślepe.





**Rozdział I**  
**Zanim PiS przejął władzę. Powody wojny PiS**  
**i PO**



*Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym*

## DWAJ EKSCENTRYCZNI PANOWIE

**J**arosław Kaczyński i Donald Tusk mieli do polityki stosunek szczególny – nie pragnęli władzy. Bycie szefami partii zaspokajało ich polityczne ambicje, a w jeszcze większym stopniu ich życiowe potrzeby. Władzę ma się przez chwilę, partię ma się dłużej. Ta różnica była dla nich zasadnicza, byli przecież politykami zawodowymi, polityka była nie tylko ich pasją, lecz również pomysłem na życie. Miejscem pracy, źródłem dochodów. Poza polityką nigdy niczego nie robili i robić nie potrafili. Nie mieli wielkich oczekiwań bytowych, ale cenili bezpieczeństwo i niezależność, jakie daje posiadanie partii. Postępowali jak właściciele sklepu czy restauracji, dla których biznes nie musi być wielki, ważne, żeby własny. Dla obu przełomowym doświadczeniem była utrata partii w połowie lat 90. Musieli wejść do większych formacji, posmakowali zależności od innych, poznali lęk przed wypadnięciem za burtę. Dotarło do nich, że ich upadek będzie bardziej bolesny niż większości kolegów. Tamci nie zmarnowali szansy, przeszli przez instytucje państwa, co otworzyło im drogę do karier w biznesie, bankowości czy w unijnych instytucjach. Tusk i Kaczyński tej perspektywy nie mieli. Dlatego gdy znowu byli na swoim, gdy założyli kolejne partie, skupili się na nich bez reszty. Nie myśleli o władzy państwowej, myśleli tylko o partyjnym przywództwie. Swoje partie traktowali jak nikt wcześniej – jak własność. Dawniej partie miały liderów, teraz liderzy mieli swoje partie. Status właścicieli budowali z pełną świadomością.

Bycie liderem wystarczało Tuskowi, bo w polityce lubił tylko jej taktyczne aspekty – grę, manewry, dominacyjne rozgrywki. Władzy nie pragnął, bo była męcząca. Nie znosił długiego dnia pracy, nudy państwowych spraw, ciężaru odpowiedzialności. Był typem wiecznego studenta, z głęboką niechęcią do poważnego wysiłku, systematyczności, rutyny. Będąc wicemarszałkiem Senatu, potrafił zasnąć, prowadząc obrady. Gdy nie spał, oglądał mecze na specjalnym ekranie. Kilka razy spotkał go wówczas Kaczyński. „Co robisz?” – pytał Jarosław. „Nic nie robię – odpowiadał Tusk – przecież jestem marszałkiem Senatu”. W świecie ambitnych mężczyzn marzących o władzy Tusk był wyjątkowy. Kilka razy mógł zawalczyć o wejście do rządu, nigdy nie spróbował. Gdy dostał ofertę ministra edukacji w rządzie Suchockiej, odmówił od razu. Tłumaczył koledze: „Czy ty sobie wyobrazasz, żebym codziennie rano wstawał, chodził do jakiegoś ministerstwa,

spotykał się z jakimiś ludźmi? Ja bym pierdolca dostał”. Nawet gdy premierem był Bielecki, partyjny kolega, w Tusku się nie zbudziła większa ambicja. Często dopadała go frustracja, że inni zaszli dalej, ale nie mógł się przemóc, stale opóźniał swoje przejście w polityczną dojrzałość.

Ożywiał się wtedy, gdy musiał bronić partyjnej pozycji, przez resztę czasu zadowalał się wegetacją, którą posłowie nazywają polityką, czyli zabijaniem czasu w barze sejmowym. Gdy został wicemarszałkiem, przestał chodzić do baru, odtąd przesiadywał w swoim gabinecie, gdzie z grupą przybocznych snuł marzenia o lepszych czasach. Na te spotkania przy winie trawił cały czas, z przerwą na drzemkę i piłkę nożną. Ostentacyjne lenistwo sprawiło, że świat widział w nim chłopca, tyleż uroczonego, co niedojrzałego. Ale nie było to prawdą. Na politykę spoglądał zimno i trzeźwo. Widział w niej bezwzględną walkę o prymat, w której wszyscy wszystkich próbują wykończyć. Niby każdy polityk to wie, on jednak tę prawdę rozumiał wyraźniej. Nie widział w niej jednej z politycznych zasad, lecz zasadę jedyną. Zawsze go fascynowała brutalność politycznego rzemiosła. Lech Kaczyński, który Tuska lubił i znał, już w latach 90. powtarzał mu, że jest jak „cukierek w truciźnie maczany”. Tusk śmiał się, lecz nie protestował. Wiedział, że swoją wizją polityki odbiega od inteligenckich wyobrażeń: bardzo idealistycznych, bardzo merytorycznych. Ukształtowały go inne przeżycia, wychował się na gdańskim podwórku, formacyjnym doświadczeniem były dla niego uliczne awantury oraz ojciec, prosty człowiek, dla którego jedynym narzędziem wychowawczym był pasek od spodni. Tusk był dumny ze swojej bolesnej przeszłości, uważał, że dzięki niej lepiej zrozumiał świat. W polskiej polityce cenił jedynie Wałęsę, a potem Millera. Choć zdobył staranne wykształcenie, nie lubił inteligenckich natur, ich miękkości, ich niezdarności w działaniu, ich naiwności w myśleniu. W szczególności nie znosił warszawskiej elity, jej napuszonych polityków, jej przemądrzałych publicystów. Uważał, że z polityki nie rozumieją nic. Gardził nimi głęboko, nawet gdy go popierali. Gardził nimi zarówno jako chłopak z podwórka, ale również jako historyk. Narzucali polityce liryczne wyobrażenia, on tymczasem wiedział, że takiej polityki w ludzkich dziejach nigdy nie było.

Co nie znaczy, że sam był twardzielem. To było jego marzenie, w rzeczywistości był miękki, niepewny, nieśmiały. Rzadko kiedy trafia do polityki tak delikatna natura. Płochliwa, niepewna. Od otoczenia wiecznie domagał się wsparcia – oklasków, uznania, a w przypadku klęski słów pocieszenia. W latach 90. nawet żona się skarżyła na jego rozlazłość: „Mąż nie jest opiekuńczy. Raczej sam wymaga opieki”. Bał się ciemności, popadał w depresję, uciekał od świata. Karmił się wtedy

komunikatami, jakich domagają się chorzy i dzieci – będzie dobrze, poradzisz sobie, jesteś wielki. Gdy odzyskiwał formę, był błyskotliwy, myślący. Nie miał w sobie grama banału. Czarował bezpośredniością, inteligencją, dowcipem. Przez długie lata był – obok Kwaśniewskiego – najbardziej sympatyczną twarzą polskiej polityki.

Znając swoje defekty, budował siebie od nowa, z miękkiego tworzywa rzeźbił brutala. Jedne słabości eliminował, inne omijał. Na przykład nie potrafił być brutalny w kontakcie ze światem zewnętrznym, więc budował sobie gwardię, która będzie brutalna za niego. W ogóle drużyna była mu niezbędna, tylko wobec ludzi, których znał i uzależnił od siebie, potrafił być odpowiednio brutalny. W swoim otoczeniu świadomie odtwarzał klimat trójmiejskiego podwórka. Panował tam język twardy, dosadny, wulgarny. Rozmowy z tematów politycznych często zbaczały na plotki, kobiety i sport. Tusk dobierał proste natury, więc gdy panowie sobie popili, atmosfera przypominała koszary. Schetyna podchodził z tyłu do kolegów i uderzał ich w głowę. Również Tusk lubił obrażać podwładnych na oczach wszystkich, aby pokazać, kto rządzi podwórkiem. Obrywał nawet Schetyna. Te obyczaje nie były wyrazem prostackich potrzeb Tuska, to były rytuały integracyjne. W ten sposób budował twardą, lojalną elitę, która nada partii decyzyjną jędrność. Tusk zarządzał swoją gwardią tak, jak chciał, aby ona zarządzała partią. I tak potem było, gdy jakiś regionalny szef zgłaszał wątpliwość, Schetyna podchodził i mówił: „Nie podoba ci się? To wypierdalaj”. Komunikat był dosadny, ale wprowadzał jasne reguły, podwórkowe schematy zachowań w polityce dobrze się sprawdzały.

Tusk uważał, że polityka zasadza się na brutalności. Ale równie głęboko wierzył, że o ile w dawnych epokach trzeba ją było ostentacyjnie ujawniać, dziś należy ją skrywać, bo demokratyczna wrażliwość się jej wystraszy. Był zatem wrogiem miecza, zaś wielbicielem trucizny, od pojedynku zawsze wołał intrygę. Gdy założył Platformę, poszedł tym kursem od razu. Uparcie i bezwzględnie zmierzał do pełni władzy nad wielonurtową partią. Nie było w nim śladu nonszalancji, uważnie obserwował każdego, nie chcąc przeoczyć rywala. O władzy nad państwem nadal nie myślał, ulepienie z Platformy partii prywatnej pochłaniało całą jego energię. Nadal nie lubił się przemęczać, większość dnia wypełniały mu wielogodzinne spotkania przy winie, jednak w to, co robił, angażował się mocno. Z wielu koterii, z wielu jednostkowych ambicji budował całość pracującą na niego. Jak wielu polityków znał się świetnie na ludziach, rozgryzał charaktery, wychwytywał słabości, przewidywał reakcje. Potrafił zjednać sobie każdego. To była dla niego istota polityki, nigdy go nie interesowała władza nad rzeczywistością, lecz panowanie nad ludźmi. Co w polityce nie jest czymś ani nowym, ani dziwnym, ani złym.



W uporządkowany świat rozgrywek, którymi Tusk umacniał swoją pozycję, nagle wtargnęła afera Rywina. Medialna popularność Jana Rokity mocno pociągnęła partię do góry, Platforma zaczęła zbierać w sondażach nie dziesięć procent, lecz dwadzieścia. Dla Tuska był to cios, sukces przyszedł zdecydowanie za szybko – nie zdążył uporządkować kwestii przywództwa, nie zdążył zbudować partii prywatnej. Jednak najgorsze było to, że sukces zmienił oczekiwania wobec lidera. Nowa skala partii zrodziła nowe konieczności, już nie partyjne, ale państwowe. Aby utrzymać szefostwo Platformy, Tusk musiał wyjść z partyjnej skorupy, pozycję lidera potwierdzić państwową ambicją. Tusk miał świadomość, że jako szef partii stanie kiedyś do walki o władzę, ale widział to jako problem odległej przyszłości. I nagle przyszłość nadeszła. Decyzję o starcie w wyborach prezydenckich podejmował długo, był przerażony, nie chciał prezydentury, nie wierzył w swój sukces, dostrzegał deficyt własnej powagi. Powtarzał kolegom: „Kto zagłosuje na faceta o głupim nazwisku i głupszym imieniu?”. Ale nie miał wyboru, rozumiał, że pozostając w drugim szeregu, straci pozycję lidera. Widział już pierwszego rywala – Rokitę, który go sławą przysłonił. Gdy media zaczęły pisać o „Platformie Rokity”, Tusk wpadał raz w gniew, raz w depresję. Przystawał się do Rokity odzywać, nie podawał mu ręki, udawał, że go nie widzi, ale to nie usuwało problemu. Aby stawić mu czoła, Tusk nie mógł się chować za kulisami, musiał zostać uczestnikiem gry o władzę. Aby ocalić swój mały biznes, musiał stanąć do walki o władzę nad państwem. Na wielką polityczną orbitę wypchnęły Tuska małe w istocie potrzeby.

Również Kaczyński nie pragnął państwowej kariery. Chciał zmieniać rzeczywistość, ale niekoniecznie własnymi rękami. Wolał wpływać z tylnego siedzenia. Jak mówił jego brat, miał „głęboką niechęć do zajmowania stanowisk państwowych”. W 1990 roku odmówił Wałęsie, gdy ten złożył mu ofertę bycia premierem. Czy propozycja była szczerą, to inna sprawa, ważne, że Kaczyński nawet się nie wahał. Podobnie było w 1992 roku, był wtedy w Sejmie najsilniejszym graczem, jednak zamiast siebie na fotel premiera przepchnął Olszewskiego. Twardy i apodyktyczny w ocenie innych był niepewny w ocenie siebie. Obawiał się, że gdy sięgnie po władzę, solidarnościowi koledzy zabiją go śmiechem. Uważał, że stał za nisko w opozycyjnej hierarchii. Choć gardził tą hierarchią, choć ją stale podważał, był zarazem jej zakładnikiem. Istniał też problem psychologiczny, który dla jego kariery miał kluczowe znaczenie. Kaczyński miał kompleks na punkcie swojego wyglądu. Głównie wzrostu, ale także urody. Potrafił powiedzieć współpracownikom: „Gdybym był tak wysoki jak Andrzej Olechowski, to w tym kraju dużo więcej bym zdziałał”. Był sporo wyższy od Millera, zaledwie o trzy centymetry niższy od Kwaśniewskiego,

jednak wstydził się swojej fizyczności. Miał poczucie, że jest ona stygmatem, że ludzie z niej szydzą. Problem nie ujawniał się w relacjach towarzyskich, gdzie Kaczyński był pewny siebie, dowcipny, choć zbyt natrętny w ujawnianiu intelektualnej przewagi. Jednak w życiu publicznym nie potrafił się przełamać. Mógł wystąpić w telewizji, wygłosić przemówienie, ale w swoje zwycięstwo w medialnej kampanii nie potrafił uwierzyć. Sądził, że w ostatecznym rachunku zadecydują uroda i wzrost. Zrobił więc to, co wielu amerykańskich polityków, gdy nadeszła epoka telewizji. Wycofał się na drugi plan, walkę o władzę zostawiając wyższym i urodziwszym. Nie było to szczególnie mądre, Ameryka jest jedynym miejscem na Ziemi, w którym społeczeństwo tak mocno się skupia na fizycznym wyglądzie. Kennedy miał 183 cm wzrostu, stary Bush 188, młody 182, Clinton 188, Reagan 185, Obama 185. Jakby ich wszystkich przycinano do jednego formatu. Ale poza Ameryką nie ma takich wymogów. To nie realne ograniczenia stanęły Kaczyńskiemu na drodze, lecz własne kompleksy. Zwłaszcza że zamiast siebie zawsze forsował brata bliźniaka o podobnym wzroście i podobnej urodzie. Lech go mocno krytykował, powtarzał bratu, że „polityk, który nie chce obejmować stanowisk, niepotrzebnie jest politykiem”. Dowodził, że to może być „sposób na życie, ale nie na uprawianie polityki”.

Lech trafiał w sedno, to był sposób Jarosława na życie. Pożegnawszy się z wizją państwowej kariery, zatopił się w pracy partyjnej. Całymi dniami przesiadywał w centrali, skąd kontrolował wszystko, godzinami słuchał partyjnych plotek, lubił wiedzieć wszystko o członkach partii, gdzie pracowali, skąd brali pieniądze, z kim się spotykali, z kim byli w konflikcie. Ciekawił go każdy detal, zapamiętywał go na zawsze, aby w stosownej porze oprzeć na nim spiskową teorię. Czas urozmaicał sobie rozmowami z dziennikarzami albo z bratem, który wieczorami wpadał do siedziby partii. Sam Jarosław nigdzie nie bywał, nie chodził na publiczne debaty, nie odwiedzał kawiarni, nie spotykał się po domach. O ile matka nie była chora, w partii spędzał cały swój czas. To nie była jego praca, to był drugi dom. Świat uporządkowany, wygodny, w którym miał swoje biurko, swój kubek, sekretarkę, samochód z kierowcą. W domu czytał, w partii żył, czy też udawał, że żyje, bo w małych partiach nie dzieje się wiele.

Podobnie jak Tusk nie lubił się otaczać orłami, ale miał ten komfort, że nie musiał z nimi spędzać zbyt wiele czasu. Zostawił w partii tylko tych, którzy widzieli w nim boga, tym ludziom wystarczyło minąć się z nim na korytarzu. Co nie znaczy, że Kaczyński nie tresował swojej ekipy. Otaczał się wysokim murem, nikomu nie mówił, co myśli, co zamierza, czego chce. Czytali gazety, aby poznać poglądy

prezesa, na ślepo odgadywali jego pragnienia, chcąc wykazać się lojalnością, a potem byli karceni za to, że źle odgadli. Kiedy przychodzili do jego gabinetu, często musieli stać jak służba. Przychodził gość, Kaczyński uprzejmie go sadzał, częstował napojem, a oni stali pod ścianą. Lubił ich czasem upokorzyć bez potrzeby albo zastraszyć, mówiąc, że poznał na ich temat zdumiewające wieści. Jednak te dziwne potrzeby, te okrutne odruchy, te niemądre obsesje budowały z Kaczyńskiego silnego lidera. Podobnie było zresztą w przypadku Tuska, bo charaktery budujące z ludźmi zdrowe relacje nie są w stanie zbudować partyjnej potęgi. Polityka nie jest dla „normalnych” jednostek.

Gdy powstał PiS, Kaczyński miał 52 lata. Mało już przypominał ambitnego wilka, który po 1989 roku z takim impetem potrzęsnał polską politykę. Poraniony dekadą porażek więcej myślał o tym, jak w polityce przetrwać, niż jak w niej zwyciężyć. Jeszcze kilka lat temu był na samym dnie, mówił wtedy do Dorna z czarnym humorem: „Wyobraź sobie, Ludwik, jest rok 2017, a my w 25 osób robimy kolejny kongres”. Teraz miał nową partię, więc całą energię dla niej poświęcił. Zlepił ją z wielu środowisk, z wielu ambitnych jednostek. Patrząc na nie, zastanawiał się, kto zechce mu odebrać biurko i kubek. W poprzedniej partii przeżył kilka buntów, w nowej nie miał zamiaru do nich dopuścić. Konsekwentnie skupiał w swoich rękach pakiet kontrolny, osobiście redagował regulaminy, pisał statuty, projektował partyjne procedury. Budował strukturę, która zawsze mu daje rozstrzygający głos. Od początku wiedział, że większości znanych polityków z czasem się pozbędzie. Przyszli do PiS, aby przeżyć, ale zaczerpnąwszy powietrza, ruszą do walki o władzę. Tymczasem Kaczyński nie mógł sobie na ryzyko pozwolić. Partia była dla niego wszystkim, bardziej niż dla Tuska. Bez partii nie potrafił żyć. Nie miał konta w banku, nie miał prawa jazdy, nie wiedział, jak się poruszać w urzędzie, w banku, na poczcie, jak zrobić przelew, jak wysłać list polecony, jak zarezerwować pokój w hotelu. Bez swojego kierowcy, bez sekretarki nie potrafiłby sobie poradzić. Nawet matką mógł się opiekować tylko jako wpływowy polityk. Nie był oferumą, po prostu życie potoczyło się tak, że codzienne sprawy inni zawsze załatwiali za niego. Aż doszedł do wieku, w którym wstyd się uczyć elementarnych czynności. Utrata partii byłaby dla niego kataklizmem życiowym. Ten bystry i śmiały polityk w życiu prywatnym stał na glinianych nogach.

Być może zanurzony w partyjnym bagienku z czasem by skarłał, zszarzał, zdziwaczał. Jego los odmienił sukces brata w wyborach na prezydenta Warszawy. Było jasne, że następnym krokiem będzie walka o władzę nad Polską. Oczywiście władzę dla brata. Siebie samego Jarosław nadal chciał ukrywać w cieniu, jednak po

aferze Rywina musiał się przełamać. Podobnie jak Tuskwowi, partia urosła mu za bardzo, aby mógł poprzestać na partyjnym przywództwie. Zdecydował, że w przypadku zwycięstwa PiS – w co nigdy nie wierzył – obejmie fotel premiera, zaś w przypadku zwycięstwa PO zostanie wicepremierem. Jednak nadal kierowała nim logika tylnego siedzenia. Na urząd, który postrzegał jako kluczowy, posyłał brata bliźniaka. „Najważniejsza jest prezydentura dla mojego brata” – to zdanie w 2005 roku powtórzył wielokrotnie. Na długo przed wyborami zapowiedział, że w przypadku podwójnego zwycięstwa PiS-u on sam zrezygnuje z premierostwa. Tłumaczył, że Polska nie jest gotowa na sukces dwóch braci, a z dwóch urzędów – premiera i prezydenta – ten drugi jest dużo ważniejszy. Dlaczego tak myślał, nigdy nie wyjaśnił, ale wierzył w to mocno. Na tyle mocno, że większość środków Prawo i Sprawiedliwość przeznaczyło na prezydencką kampanię. Parlamentarna, która miała się skończyć miesiąc wcześniej, od początku toczyła się w cieniu prezydenckiej jako przygrywka do ważniejszych rozstrzygnięć.

Podobnie było w Platformie, gdzie całą energię zainwestowano w prezydenckie zwycięstwo Tuska, jakby władza rządowa była pomniejszym trofeum. Działo się tak nie z powodu magii Prezydenckiego Pałacu, Tusk bił się o władzę nad państwem, aby zachować władzę nad partią. Aby zdobyć wynik potwierdzający jego przywództwo. Aby Rokita nie zepchnął go na drugi plan. Wizją władzy zaczął się karmić dopiero w ostatnich tygodniach kampanii.

## „POPIS”, CZYLI KOALICJA SŁABYCH

Na dwa lata przed wyborami PiS i PO ogłosiły, że po wyborach będą wspólnie rządzić. Nie był to imperialny gest, obóz solidarnościowy po prostu wymierał. PO i PiS były ostatnimi dinozaurami, dookoła zaś królowały lepiej przystosowane gatunki. Bardziej drapieżne, bardziej zwinne, bardziej przebiegłe. Politycy Sojuszu, mający pełnię władzy, oraz radykałowie z Samoobrony i LPR, zbierający ponad 30 procent poparcia. Osią polskiej polityki stała się walka establishmentu Millera z radykalną kontestacją Leppera, w której obóz solidarnościowy nie miał większego znaczenia. Koalicja PO-PiS zrodziła się z lęku, nie z ambicji, była skupieniem się w stadzie, aby łatwiej przetrwać.

Po kilkunastu miesiącach wszystko się nagle zmieniło. Po upadku Millera, po sprawie Orlenu, po rozłamie w Sojuszu – PO-PiS, zwany „popisem”, stał się faworytem sondaży. Lewica dramatycznie słabła, radykałowie tracili impet, natomiast „popis” się społeczeństwu wyraźnie spodobał. Bo zdesperowane dinozaury wreszcie ruszyły do walki, nauczyły się szarpać, miażdżyć, kąsać. Bez skrupułów, bez umiaru. Ze strachu przed wymarciem zrodził się nowy gatunek, jad mu ciekł z zębów, krew spływała z pazurów. Radykałów od razu zostawił daleko za sobą. Nie było oskarżenia wobec władzy, którego „popis” by nie sformułował ostrzej, brutalniej, drapieżniej. Sojusz przelicytował z równą zaciekłością, ten w obliczu radykałów obiecywał stabilność, „popis” natomiast zapowiedział ideał. W kilka miesięcy rozpalone zostały wielkie społeczne nadzieje, a przecież „popis” nie był wielkim projektem – ani od strony haseł, ani tworzących go ludzi. Był kolejną obietnicą nowej polityki. Obietnicą patetyczną, romantyczną i populistyczną, a do tego maksymalistyczną i nierealistyczną. Oferującą wszystko – naprawę państwa, społeczeństwa, gospodarki. Wielki Gniew, który od lat w Polakach narastał, znalazł ujście w planie Wielkiej Naprawy tego, co postkomuniści zepsuli. Konkretnie punkty tego planu były chaotyczne, ale nie to było ważne. Osobliwością czasu nie była siła politycznej oferty, lecz siła społecznego popytu. Nośność marzenia o lepszej Polsce. To ona sprawiła, że koncepcja „popisu” zastygła w poważny plan. Szczerze go chciał PiS, szczerze PO. Uwierzono w niego, bo zobaczono w nim drogę do zwycięstwa. Działając razem, obie partie miały pewność sięgnięcia po władzę. Nikomu się jeszcze nie śniło, że obie urosną tak bardzo, że nie będą potrzebować siebie nawzajem.

W pomysle PO-PiS-u jedynym elementem niepewnym była osoba premiera. Oficjalnie w przypadku wygranej Platformy fotel premiera miał objąć Rokita. Wymyślił to Tusk, pewnego dnia oświadczył Rokicie: „Trzeba podzielić role: ja startuję na prezydenta, a ty bądź kandydatem na premiera”. Pomysł ogłoszono i Platforma podtrzymywała go do końca kampanii, aby wykorzystać popularność Rokity. To była największa operacja propagandowa w historii III RP, przez ponad rok Rokita odgrywał rolę przyszłego premiera. Pracował nad programem, pisał ustawy, ogłaszał w mediach przyszłe decyzje. Mówił: „ja zrobię”, „ja powołam”, „ja ustanowię”. Gdy szedł korytarzem sejmowym, otaczała go aura premiera, większy tłum dziennikarzy podbiegał do niego niż do urzędującego szefa rządu. Tusk podsycił w Rokicie marzenia, stale mu powtarzał: „Janek, razem przebudujemy Polskę”. Jednak prawdziwe plany były inne, Tusk nie chciał Rokity, nie ufał mu, bał się go. Do kluczowych rozmów z Kaczyńskim i Dornem nigdy nie był zapraszany, obok Tuska siedział zawsze Bielecki. A Tusk dawał do zrozumienia, że ta nieobecność nie jest przypadkiem, że Rokita się nie liczy.

Ale co do generalnego planu nigdy wątpliwości nie było. Miał powstać wspólny rząd PO-PiS, którego premierem zostanie polityk z partii, która wygra wybory. Gorączka wyborcza niewiele zmieniła. Owszem, odkąd PiS kilka razy wygrał w sondażach, kampania nabrała kolorów. Tusk straszył PiS-em jako recydywą socjalizmu, zaś Kaczyńscy tropili powiązania Platformy z III RP. Platforma raz występowała w imię umiaru w ocenie III RP, innym razem przebijała radykalizm rywala. Czasem było zabawnie – gdy PiS zażądał ujawnienia archiwów SB, Platforma stanęła do licytacji. PiS chciał ujawnić teczki agentów SB, więc Platforma zażądała również teczek ofiar. Postulat był absurdalny, ale nie o meritum chodziło, lecz odwrócenie ról, co się w pełni udało. Wybuchła lustracyjna wojna, w której Platforma mówiła Macierewiczem, a PiS odpowiadał Michnikiem. „Tylko prawda nas wyzwoli” – grzmiał z egzaltacją Rokita. „Jaka prawda? Prawda oficera SB?” – dramatycznie odpowiadał Lech Kaczyński, powtarzając racje wrogów lustracji. „Bez pełnego otwarcia archiwum nie będzie koalicji” – twardo odpowiadał Rokita. „Nie będzie” – wtórował Tusk. W końcu musiał się włączyć Jarosław: „My też jesteśmy za lustracją totalną” – oświadczył. „Jest zatem szansa na wspólne rządzenie” – konkludował łaskawie Rokita. Festiwale radykalizmu były grą wyborczą, która nie naruszała planu wspólnego rządzenia. Na tydzień przed wyborami do Sejmu Tusk mówił: „Nie uważam za dopust boży tego, że będę musiał naprawiać Polskę z braćmi Kaczyńskimi”.

O ile zwycięstwo centroprawicy było oczywistością, kwestia prezydentury do

ostatniej chwili pozostawała otwarta. Z początku liczyły się inne nazwiska, przede wszystkim Zbigniew Religa. Kaczyński w rankingach zajmował trzecie albo czwarte miejsce. Kiedy mocno ruszył z kampanią, zdołał Religę wyprzedzić, ale wtedy do gry wszedł Cimoszewicz, który od razu wyrósł na faworyta. Jeszcze gorzej szło Tuskowi, który z wszystkimi przegrywał. Aż nagle pojawiła się seria korzystnych dla Tuska wydarzeń, za którymi mniej lub bardziej stał jego sztab. Relidze zabrakło pieniędzy na kampanię, więc przekazał poparcie Tuskowi. Cimoszewicz padł ofiarą wyborczej prowokacji, więc też się z wyścigu wycofał. Zaś Kaczyński na dwa miesiące przed wyborami zrobił sobie urlop, co Tusk wykorzystał i wysunął się na prowadzenie.

W tej serii wydarzeń najważniejsze było wycofanie się Cimoszewicza, co sprawiło, że lewica wypadła z gry. Na placu zostały tylko PiS i PO. Póki byli inni rywale, spierano się o to, kto mocniej potrząśnie establishmentem. Teraz budowa IV RP zeszła na dalszy plan. Obie partie ruszyły do walki o elektorat Cimoszewicza. PiS nie bawił się w subtelności, uderzył cepem, oskarżył Platformę o to, że chroni bogaczy, w przeciwieństwie do PiS-u, który broni biednych. Platforma nie zrozumiała siły oskarżenia, uznała je za zbyt toporne. A chwilę potem popełniła dramatyczny błąd. Dała się sprowokować, podtrzymała swoje dawne plany obniżki podatków, których nigdy nie skalkulowała. Zrobił to za nią PiS i czarno na białym pokazał, że bogaci na nich zarobią, a biedni stracą. Straszanie biedą, do której doprowadzą rządy liberałów, okazało się ciosem potężnym. Platforma wyścig do Sejmu przegrała, PiS dostał 34 procent głosów, PO 29.

Sukces był wielkim zaskoczeniem, również dla PiS-u. A przecież wybory dopiero się zaczęły, główne trofeum nadal czekało na zwycięzcę. Za dwa tygodnie była pierwsza tura prezydenckich, za cztery tygodnie druga.

## SŁABI STAJĄ SIĘ SILNI

Przegrana własnej partii mało Tuska obeszała. Zbyt mocno był skupiony na sobie, zbyt często ciął koszty sejmowej kampanii na rzecz prezydenckiej, aby wynik go zmartwił lub zdziwił. Problem był gdzie indziej – sukces PiS pokazał, że wiatr wydarzeń mocniej wieje w żagle rywala. Tusk próbował porażkę przekuć w zwycięstwo, dzień po wyborach zażądał, aby PiS wystawił na premiera Jarosława Kaczyńskiego. Ten ruch skazywał Lecha na porażkę, odtąd kampania toczyłaby się wokół koncentracji władzy w rękach bliźniaków. Jarosław odmówił, ogłosił, że nowym premierem będzie Kazimierz Marcinkiewicz, a ten zaprosił Platformę do negocjacji rządowych. Jednak rozmowy powieść się nie mogły, nie można równocześnie dzielić się władzą i bić się o władzę. Pierwsze wymaga akceptacji rywala, drugie akceptację uniemożliwia. Tuż po wyborach Tusk odbył ostrą rozmowę z Rokitą, który się szykował do roli wicepremiera. Rozmowa miała miejsce w Sejmie, w małym, obskurnym pomieszczeniu, do którego Tusk zaciągnął Rokitę. Jak opowiadał Rokita: „W tonie szalenie konfrontacyjnym, ultymatywnym zażądał ode mnie symulowania negocjacji rządowych z Marcinkiewiczem”. Ale nie była to jeszcze odmowa tworzenia koalicji, Tusk jedynie chciał, aby wszystkie działania Platformy zostały podporządkowane jego prezydenckiej kampanii. Takie warunki podyktował absurdalny kalendarz wyborczy, który jedne wybory skończył wtedy, gdy drugie zaczynał. Zwycięskie partie zostały postawione w sytuacji bez wyjścia. Czuły się zarówno naturalnymi koalicjantami, jak też naturalnymi wrogami.

Rozmowy koalicyjne zamieniły się w spektakl wyborczy. Platforma zażądała negocjacji otwartych dla mediów, więc liderzy zasiedli przed kamerami. Chcieli koalicji, jednak w obecności kamer musieli przyjąć logikę wyborczą. Zakulisowe rozmowy nie wyglądały lepiej, w nich także chodziło o to, aby za chwilę oskarżyć partnera. Jednak woli zerwania nie było, na kilka dni przed pierwszą turą Giertych zaproponował koalicję, w liście do premiera napisał, że „na wyciągnięcie ręki PiS” jest alternatywna koalicja z LPR. „PiS nie jest zainteresowane taką ofertą” – natychmiast odpowiedział Dorn. Podobną ofertę złożył Lepper i ona również się spotkała z twardą odmową. Lech Kaczyński w tamtym czasie widział się z Rokitą. „Czy będzie koalicja?” – spytał się Kaczyński. „Pokłócimy się trochę, ale będzie” – odpowiedział Rokita.



Równolegle trwała prezydencka kampania. Platforma, tak zręczna w politycznych intrygach, w kontakcie ze społeczeństwem nadal się gubiła, co często się zdarza partiom lubianym przez media. Tracą instynkt, zaczynają mylić sympatię elit ze społecznym poparciem, choć obie emocje zwykle się mijają. Platforma pozwoliła ciągnąć spór o to, kto jest prawdziwym obrońcą biedaków. Tłumaczyła, że mniejsze podatki to większe zarobki, że to silna gospodarka, czyli miejsca pracy. Z początku strategia mogła się wydać słuszna, w pierwszej turze wyborów prezydenckich Tusk dostał 36 procent, Kaczyński 33. Chwilę potem ruszyła kolejna runda koalicyjnych rozmów, Platforma była teraz bardziej otwarta, zgłosiła Rokitę na wicepremiera, Komorowskiego na marszałka Sejmu. Ale to był blef, w konkretnych rozmowach nadal prowokowała impas. Negocjujący z Marcinkiewiczem Rokita mnożył problemy, wycofywał się z wcześniejszych ustaleń, stawiał warunki zaporowe. PiS reagował dziecinną podejrzliwością, jakby nie rozumiał prowadzonej gry. Ale w kontakcie z masami działał bezbłędnie, przed drugą turą Kaczyński powtarzał jedną myśl: „Ja bronię biednych, Tusk broni bogatych”. Jego sztab rozumiał, że gra się toczy o 15 procent wyborców Leppera. Kampania stała się monotonna, ale ze strony PiS-u miała potężną moc. „Najważniejsze dla Tuska są po pierwsze – pieniądze, po drugie – pieniądze, po dziesiąte – pieniądze” – atakował Kaczyński rano na wiecu. Kilka godzin później Tusk ripostował: „Wizja PiS to brak pieniędzy, brak pieniędzy i brak pieniędzy”. Na co Kaczyński odpowiadał wieczorem: „Polska według Tuska to brak pieniędzy, brak pieniędzy i brak pieniędzy na elementarne cele społeczne”.

Tamtą kampanię zapamiętano jako ostrą, ale wcale taka nie była. Owszem, sztab Kaczyńskiego zaatakował Tuska, podając fałszywą informację, że jego dziadek na ochotnika walczył w Wehrmachcie, ale nie były to chwytły brutalniejsze od tych, których używali Wałęsa, Krzaklewski czy Miller. Odbyły się również debaty telewizyjne, raczej mdłe, które wygrał Kaczyński. Mimo większej aktywności PiS-u sondaże do ostatniej chwili wskazywały na Tuska. Przewaga była tak stabilna, że w swoją wygraną uwierzył. Lech Kaczyński opowiadał: „W piątek przed drugą turą spotkaliśmy się w towarzystwie naszych rodzin... Spytałem, co będzie robił następnego dnia. Tusk powiedział, że po raz ostatni zagra w piłkę. Grzecznie spytałem, na jakiej gra pozycji, odpowiedział, że różnie... Moją żonę wprowadziło to w stan pewnego napięcia, bo z tej wymiany zdań wynikało, że Tusk jest absolutnie przekonany, że za dwa dni już nie będzie mu wypadło grać w piłkę”. Stało się inaczej. Tusk, który tak zręcznie pozbył się rywala w pierwszej fazie kampanii, na finiszu oddał pole Kaczyńskiemu. A ten nie wybrzydzał, poszedł najszerzej, jak to

było możliwe. Zebrał poparcie trzech wielkich grup – wyborców Leppera, słuchaczy Radia Maryja oraz sympatyków PZPR (dzięki poparciu syna Edwarda Gierka). Dzięki temu wygrał, zbierając 54 procent głosów.

Od czasu przejścia władzy przez SLD w latach 1993–1995 w polskiej polityce nie było tak zdumiewającego wydarzenia. PiS był klasycznym średniakiem, partią silną w swej niszy, ale tylko w niej. Przez cały 2005 rok wszyscy żyli przekonaniem – włącznie z liderami PiS-u – że PO jest partnerem znacznie silniejszym, że PiS bije się o to, aby u boku Platformy nie zostać statystą. I nagle okazało się, że potencjał tej partii jest radykalnie większy, że może wziąć nie tylko kilka ważnych urzędów, lecz wszystkie urzędy. Na gruzach imperium SLD rodziło się nowe imperium.

Sypał się stary świat, więc sypały się stare plany. W ścisłym kierownictwie Platformy natychmiast zapadła decyzja o wycofaniu się z koalicji z PiS-em. „PiS jest za silny, połknie nas. Za radykalny, zniszczy nam partię” – tak między sobą mówili liderzy Platformy. Już dwa dni po wyborach Tusk oświadczył swojej drużynie: „Przystępujemy do rozmów o koalicji z PiS, ale prowadzimy je tak, aby nic nie wyszło. Wepchniemy Kaczyńskich w ramiona Samoobrony”. Jednak zbyt długo opowiadano o koalicji PO-PiS, zbyt wiele społecznych nadziei wokół niej wzbudzono, aby Platforma mogła się łatwo wycofać. Musiała szukać pretekstu. Co nie było łatwe, bo PiS mocno parł do koalicji. Marcinkiewicz oferował Platformie połowę rządowych foteli, a Rokicie fotel wicepremiera. Przy tak dobrej ofercie trudno było podważyć szczerą intencję partnera. Platforma skrytykowała więc logikę podziału ministerialnych tek, wedle której resorty administracyjne trafiały do PiS, zaś gospodarcze do PO. Tusk zagrał w stylu Kaczyńskiego, wytropił w tym spisek. Ogłosił, że celem PiS jest przejęcie wszystkich resortów śledczych – służb specjalnych, MSWiA oraz Ministerstwa Sprawiedliwości. Uznał, że jest to groźne dla państwa i jako warunku zawiazania koalicji zażądał resortu MSWiA dla Jana Rokity.

Strategia Tuska była zręczna. Nie tylko chciał zablokować koalicję z PiS-em, chciał również, aby operacja została przeprowadzona rękami Rokity, symbolu tej koalicji. Zadanie nie było łatwe, relacje między nimi od dawna były napięte. O tym, że Rokita zostanie zmarginalizowany, Tusk zdecydował wiele miesięcy przed wyborami, pierwszym krokiem było wykreślenie ludzi Rokity z list wyborczych do Sejmu. Chwilę potem do Rokity dotarły wieści, że na premiera szykowany jest nie on, lecz Schetyna. Mocno to przeżył. Gdy sztabowcy Tuska zażądali, aby wziął udział w kampanii prezydenckiej, ostro odmówił. Doszło do awantury, Rokita powiedział: „Zdobyłem dla Platformy wielkie poparcie, a wy to spieprzyliście!”. Po czym wziął kapelusz i trzasnął drzwiami. Skupił się na własnej kampanii. Aby nie stracić fotela

premiera, wystartował pod hasłem „premier z Krakowa”. Śmiano się z tego, widząc w tym przejaw arogancji, ale było odwrotnie – Rokita dramatycznie słabł, a swoim dziwnym hasłem chciał zmusić Tuska do spełnienia obietnic. Noc wyborcza była dla Rokity podwójną porażką. Upadła jego nadzieja na fotel premiera i zbladła jego gwiazda, w Krakowie wyraźnie przegrał ze Zbigniewem Ziobrą. W jedną noc znaczenie Rokity mocno się skurczyło. Dlatego, choć Tusk go potraktował brutalnie, podporządkował się jego żądaniom i pozorował koalicyjne rozmowy.

Ale po kilku tygodniach sytuacja się zmieniła. Tusk także przegrał wybory. Przychodził czas na pogodzenie się z dawnymi porażkami i na rozmowę o przyszłych interesach. A te były oczywiste – Rokicie bardzo zależało na fotelu wicepremiera, zaś PiS-owi bardzo zależało na Rokicie. Tusk szybko więc ocieplił relacje z Rokitą i zaczął grę, której celem było powstrzymanie go od wejścia do rządu. Żądanie, aby Rokita dostał MSWiA, służyło temu, aby PiS poróżnić z Rokitą. Aby niedoszły wicepremier uznał, że to nie Tusk stoi na drodze jego ambicjom, lecz sami Kaczyńscy. W tamtych miesiącach Tusk poświęcał Rokicie bardzo dużo czasu, odbudował dawną przyjaźń, przekonał Rokitę, że bardzo się troszczy o jego karierę. Nadal odgrywał przed nim rolę patrioty „popisu”, doradzał jedynie ostrożność w rozmowach z PiS-em. Mówił, że trzeba braci trochę docisnąć, że po podwójnym zwycięstwie zbyt pewnie się czują, że nie ma gwarancji, czy za kilka miesięcy nie wyrzucą z rządu Rokity. I tak krok po kroku Tusk prowadził Rokitę, a ten nawet nie dostrzegł, kiedy własnymi rękami projekt „popisu” złożył do grobu.

Drugą przeszkodą dla planów Tuska była jego własna partia. Wielu polityków nie rozumiało, czemu mają nie wchodzić do rządu. Tych straszył Tusk zemstą Kaczyńskich. Twierdził, że zbierane są materiały na liderów Platformy. Mówił: „Kaczyńscy wejdą z nami w koalicję, zakorzenią się w miejscach związanych ze służbami, w prokuraturze i zaczną nas w tej koalicji zjadać”. Powoływał się na przypadek Piskorskiego. „Paweł to wie najlepiej, bo zawarł z nimi koalicję w Warszawie, a potem po trzech miesiącach się okazało, że jest na niego trzysta doniesień do prokuratury”.

Oficjalnie Tusk nadal chciał koalicji. Domagał się jej głośno nawet wtedy, gdy ją ostatecznie dobijał. Pierwszy jego grę zrozumiał Jarosław Kaczyński i choć zależało mu na koalicji, przestał się o nią bić. Kiedy Tusk i Kaczyński spotkali się w hotelu sejmowym dwa dni po wyborach prezydenckich, obaj już wszystko o sobie wiedzieli. Marcinkiewicz był zdumiony: „Najpierw, pierwsze pół godziny Jarosław rozmawiał z Donaldem i dopiero potem dołączyliśmy ja i Rokita. Dziwna to była rozmowa, bo kiedy wszedłem do pokoju, oni z Tuskiem rozmawiali o pogodzie... Widać było, że te

pół godziny w cztery oczy zmarnowali. Nic sobie nie powiedzieli”. Po przyjeździe Marcinkiewicza i Rokity bez większego przekonania odegrali rolę zainteresowanych koalicją. Zaczął Kaczyński. „Wygłosił taką mowę zapraszającą, [...] wskazując na konieczne zmiany, rozbudzone wielkie nadzieje społeczne [...]. Donald mówił tak samo, nie mówił »nie«, ale był twardy. Że są trudności, że za dużo chcemy”. Potem Rokita wskazywał na programowe różnice, a Marcinkiewicz je bagatelizował. Rozmowa zakończyła się bez żadnej konkluzji.

Ruszyła kolejna runda negocjacji między Marcinkiewiczem i Rokitą, po których ten pierwszy ogłaszał, że poglądy obu stron są coraz bliższe, a ten drugi, że przepaść się coraz bardziej poszerza. Tydzień później odbyło się drugie spotkanie na szczycie, u arcybiskupa gdańskiego, z jego inicjatywy, jako rozpacзлиwa próba sklejenia „popisu”. Jak opowiada Marcinkiewicz: „To spotkanie też było dziwne. Smaczne jedzenie i alkohole, na początku też było sympatycznie [...]. Potem odbyła się taka sama rozmowa jak poprzednia”. Znowu nie padły żadne konkrety. Tusk i Kaczyński nawet przez chwilę nie prowadzili negocjacji. Spotkali się jedynie po to, aby nikt im nie zarzucił, że nie chcą „popisu”. Ciekawe były relacje, jakie Tusk zdał partii ze spotkań z Kaczyńskim. Po pierwszym oświadczył: „To wariat. Wszędzie węszyć spiski, układy i robotę służb”. Po drugim: „To jest potwór”.

Wierny „popisowi” został tylko Marcinkiewicz. Łagodził emocje, zgłaszał nowe propozycje, udawał, że nie słyszy ataków pod swoim adresem. To już nie była determinacja, raczej desperacki upór. Janusza Palikota, wówczas szeregowego posła, zaczepił w Sejmie: „Co się dzieje? Dlaczego się nie dogadujecie? Powiedz Tuskowi, że dam Rokicie to MSWiA”. Marcinkiewicz nie kłamał, starał się usunąć ostatnią przeszkodę, nadal nie wierząc, że jest tylko pretekstem. Zadzzwonił do Kaczyńskiego, wymógł na nim zgodę na podział MSWiA, aby połowa przypadła Rokicie. Platforma znowu jednak odmówiła. Momentem ostatecznego zerwania były wybory marszałka Sejmu. Widząc, że koalicji nie będzie, PiS przeforsował Marka Jurka, sięgając po głosy Samoobrony i LPR. Tusk, który kilka dni wcześniej odmówił przyjęcia funkcji marszałka, natychmiast zaatakował. Oznajmił, że Kaczyński ujawnił swoje prawdziwe intencje, że od początku nie chciał koalicji z PO, lecz z radykałami. Marcinkiewicz, który tego dnia przyszedł do Sejmu, był zupełnie zdezorientowany. Gdy na korytarzu sejmowym podszedł do niego dziennikarz, zaczął się skarżyć: „Platforma naprawdę nie chce wchodzić do rządu. Ja nie wiem dlaczego. Przecież tyle mogą dostać”.

Kilka dni potem Platforma podjęła decyzję, że będzie w opozycji do rządu Marcinkiewicza. Tusk wygrał swoją rozgrywkę. Popchnął partię do walki z koalicją –

jak to określał – PiS-LPR-Samoobrona. Do walki z koalicją, której jeszcze nie było. Do walki z koalicją, którą sam na PiS-ie wymuszał. Aby zneutralizować Rokitę, obiecał mu najważniejsze funkcje w partii i klubie. Obietnicy nie spełnił, bo potem Rokita już mu nie był potrzebny. Stracił moment, gdy był ważnym graczem, nie stanął w obronie koalicji, którą przez dwa lata symbolizował. Tymczasem Tusk pchnął partię na nowe tory, na spotkaniu klubu narzucił nową wizję sceny politycznej, podzielonej między „wielki PiS” i „wielkie PO”. Narzucił też nową strategię wobec PiS – zamiast koalicji „twarda opozycja”. Tusk tak szybko wykopywał rów, że w głosowaniu nad wotum zaufania dla rządu Marcinkiewicza cały klub PO był przeciw. Nikt się nawet nie wstrzymał, między partiami panowała już wrogość.

## CZEMU „POPIS” SIĘ ROZPADŁ? DYGRESJA NA TEMAT KWESTII SKALI

Rozpad koncepcji PO-PiS był upadkiem marzenia. Intensywnego, gorącego, powszechnego. 90 procent Polaków pragnęło zmian, z czego większość swoje nadzieje związała z „popisem”. Nie dlatego, że politycy tych partii mieli w sobie szczególną charyzmę, po prostu byli pod ręką, więc marzycielsko-gniewna epoka obsadziła ich w roli apostołów lepszej przyszłości. Późniejsza kłótnia wśród apostołów, skończona burzliwym rozejściem, wzbudziła wielkie poruszenie, bo rozpadła się nie koalicja, lecz nadzieja na lepszy świat. Analizowano to wydarzenie dokładnie, miesiącami spierano się, kto był winny, szukano przyczyn rozejścia. Czy była nią pycha PiS, czy frustracja PO, w szczególności Tuska, który mocno przeżył porażkę. „Wyglądał jak cień... – opowiada Marcinkiewicz. – Był strasznie wychudzony, agresywny. Widać w nim było złość, nawet jak się uśmiechał”. Wysuwano teorie, że obie strony nigdy nie chciały współpracy, pojawiły się plotki, że PiS zebrał papiery na elitę Platformy.

Szukano prawdy w detalach, w gęstej siatce osobistych urazów, pretensji, plotek. Niesłusznie, w tamtych gorących tygodniach politykami miały silne emocje, jednak prowadziły ich zimne interesy. PO-PiS zrodził się ze słabości. Dwóch średnich graczy zjednoczyło się, aby pokonać rywali. Jednak potem gwałtownie urosli, zaś rywale zniknęli. Kolejne takty wyborcze odsłoniły scenę, na której stało już tylko dwóch graczy. Tak wielkich, że jeden przejął pełnię władzy, a drugi był o włos od tego. I ten moment uczynił ich rywalami. Nieważne, że wcześniej chcieli współpracy. Chcieli, bo byli słabi. Teraz natomiast urosli i wielkość podyktowała im nowe, wielkie ambicje. Chęć zagarnięcia całej puli władzy. Nieważne, że w trakcie prowadzenia rozmów PiS chciał szczerze koalicji, zaś Tusk jedynie udawał. Bo również ze strony Kaczyńskiego to już nie była gra w „popis”, lecz nowe rozdanie. Kaczyński dzięki zwycięstwu zdominował scenę polityczną i chciał skosztować swój sukces. A w przypadku hegemonia konsumowanie zwycięstwa oznacza co innego niż u średniego gracza. To osłabianie partnera, przejmowanie jego liderów, zaplecza, elektoratu. Dla Kaczyńskiego PO była już rywalem, jedynym graczem zdolnym odebrać mu władzę. To zmieniało dawne plany. PiS potrzebował „popisu” na chwilę, aby powołać rząd, ale potem Platforma stawała się wrogiem. Jak mówił Dorn: „Było jasne, że my będziemy rosnać w siłę i na raty zjadać co smakowitsze

kąski Platformy”. Nie godząc się na „popis”, Tusk działał rozsądnie. Nieważne, że w tamtych dniach był poraniony, sfrustrowany, obrażony na cały świat. Owszem był, ale istoty jego decyzji nie stanowiła złość, której nie potrafił ukryć, lecz rodząca się z tej złości świadomość, że PiS stał się dla Platformy głównym rywalem. Po co więc z rywalem robić koalicję? Po co mu pomagać? Po co rządzić z partią, której w następnych wyborach chce się władzę odebrać? Wycofanie się Cimoszewicza stworzyło nowy świat polityczny, który odwołał dawną potrzebę jedności. Koalicja PO-PiS przestała być potrzebna. A kolejne wyniki wyborcze sprawiły, że przestała być także możliwa. Zginął wspólny wróg, więc sami dla siebie się stali wrogami.

Pomniejsze rany kampanijne nie miały znaczenia. Gdyby naprzeciw PiS i PO stała silna lewica, dziadek z Wehrmachtu szybko by poszedł w zapomnienie. Jeśli szukać prawdziwej roli tamtych emocji – frustracji, pretensji, urazów – trzeba w nich dostrzec pozytywny element. Były katalizatorem poznania nowego świata. Przyspieszały zrozumienie nowej sytuacji, uświadomienie sobie zrodzonej właśnie logiki wrogości. Tamte urazy nie wywołały wrogości, one były pierwszymi okazjami do ujawnienia się wrogości. Tej prawdziwej, zrodzonej z logiki sceny politycznej zdominowanej przez dwóch wielkich graczy. W szczególności było to widać u Tuska – był najbardziej poraniony, więc najszybciej dostrzegł nowe realia.

Natomiast ci, którzy przez długie miesiące nawoływali do powrotu do „popisu”, zachowywali się jak polityczne dzieci. „Razem zrobimy więcej” – mówili. A od kiedy politycy chcą „więcej” robić? Politycy chcą „więcej” władzy, bo taki cel im wyznaczają reguły profesji, reguły silniejsze niż społeczne marzenia. „Ale przecież państwo potrzebowało naprawy” – dowodzili patrioci „popisu”. A czy takiej potrzeby nie ma zawsze, w każdym kraju, w każdej epoce, a mimo to politycy nie działają wspólnie. „Jednak oni mieli tak bliskie poglądy, Tusk niemal mówił Kaczyńskim” – brzmiał kolejny argument. Owszem, bo idąc razem, eksponowali to, co ich łączyło. Tamten Tusk mówił, że w latach 90. Macierewicz, Olszewski i Kaczyński „mieli więcej racji”. Tamten Tusk krytykował miękkość polskiej dyplomacji, szydził z „obściskiwania się z Putinem”, żądał w stosunku do Europy „odrzućcia kostiumu prymusa”. Tamten Tusk twierdził, że „po ulicach biegają oprychy”, domagał się sądów 24-godzinnych, a pytany, z kim szybciej by zawarł koalicję – z SLD czy z LPR – bez wahania wskazywał Giertycha. Jednak gdy przegrał, mówił już tylko o radykalizmie Kaczyńskich.

Nic nowego, poglądy w polityce są zwykle narzędziem. Gdy politycy są słabi, chcą jednego, gdy są silniejsi – drugiego, gdy stają się bardzo silni, chcieć muszą trzeciego. Gdyby Sojusz ocalał połowę dawnej siły, powstałby „popisowy” rząd sanacji

państwa i gospodarki. Bo im słabsze były PiS i PO, tym bardziej im było po drodze. „Rewolucja moralna”, „naprawa państwa”, „szarpnięcie cugłami” były sztandarami uszytymi na miarę dwóch średniaków stojących naprzeciw Sojuszu. Ale wynik wyborczy okazał się inny i już nie pasował do „popisowej” miary. Często potem mówiono, że gdyby to Platforma wygrała wybory, „popis” by powstał. Być może, ale nie na długo, bo sytuacja byłaby ta sama. PO by próbowała pożreć PiS, zaś PiS by się szykował do przejęcia władzy.

Rok 2005 pokazał siłę, z jaką polityka miota jej aktorami. Kaczyński chciał siedzieć w swoim kantorku i pilnować partii, Tusk chciał wpadać do Warszawy na trzy dni w tygodniu, a resztę czasu spędzać w Sopocie. Jednak polityka podyktowała im inne plany. Aby utrzymać partie, musieli stanąć do walki o władzę. Pod koniec roku natura polityki narzuciła im kolejne ambicje. Ludziom, którzy do niedawna rządzić nie chcieli, podyktowała imperialny plan zapanowania nad całym polskim państwem.







# **Rozdział II**

## **Porządkowanie świata po katastrofie „popisu”**



## RZĄD MARCINKIEWICZA

**M**arcinkiewicz nie został premierem z powodu swoich talentów. Na liście kandydatów było wiele osób, ale każda Kaczyńskiemu wydawała się groźna – albo zbyt ambitna, albo zbyt niezależna, albo zbyt popularna. Marcinkiewicz został premierem, bo od wszystkich był słabszy – osobowościowo, politycznie, intelektualnie. Do tego miał poglądy dla członków PiS mało atrakcyjne. Był politycznym gołębiem – umiarkowanym, centrowym, bezbarwnym. Dekadę wcześniej było inaczej, był działaczem ZChN, wyrazistym narodowcem, ostentacyjnym katolikiem, ale jak wielu pravicowców tamtego pokolenia wyrósł z przesady. W drugiej dekadzie III RP działał w PiS-ie, ale równie łatwo by się odnalazł w PO, gdzie był lubiany jako gospodarczy liberał. Dla Kaczyńskiego był podwójnie wygodny. Wydawał się niegroźny jako rywal do władzy nad partią, zarazem dobrze pasował do koalicji z Platformą. Gdy tuż po wyborach do Sejmu Kaczyński zadzwonił do Rokity, aby go wysondować w sprawie Marcinkiewicza, ten wybór mocno pochwalił. Marcinkiewicz był dla Rokity idealnym szefem rządu – programowo bliski, zarazem politycznie słaby, co dawało nadzieje na zdominowanie premiera. Natomiast Tusk, gdy poznał przebieg rozmowy, był wściekły i ostro zrugął Rokitę. Dla niego wybór Marcinkiewicza był najgorszym z możliwych. Był jedynym politykiem PiS-u, którego Platforma zakwestionować nie mogła.

Jednak z największą wrogością na nominację Marcinkiewicza zareagował Lech Kaczyński. Uważał, że Jarosław popełnia fatalny błąd, że sam powinien zostać premierem. Nie przyjmował argumentu, że odbiera mu to szansę na prezydenckie zwycięstwo. W tej sprawie odmawiał politycznej kalkulacji. Uważał brata za postać wybitną, przez lata niedocenianą, krytykowaną, ośmieszoną. Więc kiedy wreszcie wygrał, kiedy po aferze Rywina przekonał Polaków do swojej diagnozy, powinien być twarzą własnego zwycięstwa. Po raz pierwszy między braćmi doszło do awantur. Lech opowiadał potem: „To były rozmowy wręcz dramatyczne”. Jarosław: „Zażądał ode mnie, w bardzo ostrych słowach, abym został premierem”. Kiedy Jarosław postawił na swoim, Lech się obraził. „Była to decyzja, która wzbudziła moją wściekłość” – przyznał po latach. W praktyce oznaczało to, że przez kilka dni Lech nie odbierał telefonów od brata. Szybko się pogodzili, jednak prezydent Marcinkiewicza nigdy nie zaakceptował. Stale naciskał na brata, aby go zdymisjonował i sam stanął

na czele rządu. Nie ukrywał też przed Marcinkiewiczem, że niechętnie go widzi w roli premiera. Powtarzał mu: „To Jarosław powinien stanąć na czele rządu”. Sławne słowa, jakie Lech skierował do Jarosława w dniu, w którym wygrał prezydenckie wybory – „Panie prezesie, melduję, że zadanie wykonałem” – nie były lapsusem. Prezydent je starannie przygotował, w ten sposób chciał powiedzieć światu, że Jarosław najbardziej zasługuje na władzę. Po latach powiedział: „Chciałem pokazać, że tym »Dużym Kaczorem« jest on”.

Marcinkiewicz był nie tylko premierem z kapelusza, ale też niechcianym premierem z kapelusza. Jednak niespecjalnie się tym przejmował. Jak większość polityków był gotów znieść wszystko, aby zostać premierem. Zwłaszcza że jego główny szef – Jarosław – traktował go całkiem poprawnie, choć jasno mu wyznaczył miejsce w szeregu już pierwszego dnia, kiedy wezwał go do siedziby partii, aby mu oznajmić, że będzie premierem. Kaczyński nie celebrował oferty, nie dał Marcinkiewiczowi poczucia, że jest kimś ważnym. Ich rozmowa trwała pięć minut i toczyła się w obecności spin doktorów. „Jedyna szansa na zwycięstwo Lecha to premier inny niż ja. Myślę, że będziesz bardzo dobrym kandydatem, osobą łączącą PiS z PO. Zgadzasz się?” – spytał. „Tak” – odpowiedział Marcinkiewicz. Chwilę potem zaczęła się konferencja prasowa.

Przez następne tygodnie ciągnęły się nieudane negocjacje z PO. Marcinkiewicz długo nie przyjmował odmowy, układ z Platformą był mu potrzebny, ze względu na niego został premierem, bez niego funkcję mógł stracić. Ale znowu miał szczęście – dzięki wolicie Platformy ten bezbarwny polityk stał się nagle twarzą „popisu”, symbolem wielkiego, społecznego marzenia. Magia tego mitu była olbrzymia, dała mu nie tylko społeczne poparcie, ale też wielkie możliwości. Mógł budować „popisowy” gabinet nie tylko bez PO, ale nawet wbrew woli PO. Bo liderowi „popisu” się nie odmawiało, ministrem zdrowia zgodził się zostać Religa, honorowy szef komitetu wyborczego Tuska, ministrem rozwoju ekspert Platformy, ministrem spraw zagranicznych centrowy dyplomata, którego do wejścia do rządu namówił... Geremek. Patrząc na pierwsze miesiące rządów PiS przez pryzmat finału, niewiele się z nich zrozumie. Na starcie gabinet Marcinkiewicza miał wielki kredyt zaufania. Owszem PiS, a w szczególności Kaczyński, przez lata zdobyli sobie licznych wrogów, jednak rząd Marcinkiewicza był niezgraną kartą, zmaterializowaną legendą. Szybował na innych wysokościach, ponad ziemią, ponad sejmowymi realiami, ponad własnym zapleczem. Nawet korzystanie z głosów Samoobrony nie kompromitowało rządu. Siła marzeń była tak wielka, że gabinet postrzegano jako byt osobny. Rząd i jego premier byli „popisowi”, natomiast polityczne rachunki za koszty jego

podtrzymania płać Jarosław Kaczyński.

## RZĄD MNIEJSZOŚCIOWY, Z PO, Z SAMOOBRONĄ CZY NOWE WYBORY?

Po nominacji Marcinkiewicza Jarosław skupił się na budowie zaplecza dla rządu. Gdy zrozumiał, że Tusk nie chce koalicji, zaczął się rozglądać dookoła. Sytuacja była beznadziejna, sprzeciw Platformy sparaliżował zwycięzcę wyborów. Oprócz Platformy w parlamencie były cztery kluby – dwa średnie oraz dwa małe. Dwa średnie były opcjami fatalnymi. Pierwszy, czyli Sojusz, nawet nie wchodził w grę, cała tożsamość PiS-u była zbudowana na walce z postkomunistycznym układem. Drugim była Samoobrona, którą Kaczyński zawsze zwalczał jako „chuliganerię”, „agenturę” i „wycieraczkę Millera”. Dwa mniejsze kluby – LPR i PSL – były malutkie, nawet razem wzięte nie pozwalały zbudować większości.

Do zbudowania sejmowej większości Kaczyński potrzebował co najmniej dwóch klubów. Jednego średniego i jednego małego. Skoro Sojusz nie wchodził w grę, jako średni pozostawała Samoobrona. PiS nie miał innej opcji, bez Leppera nie mógł zbudować większości. Kaczyński już raz skorzystał z jego pomocy – w zamian za poparcie dla Lecha obiecał Lepperowi fotel wicemarszałka – jednak dalszej współpracy nie chciał. Zwłaszcza że widać było, że Tusk z jego współpracy z Lepperem uczyni ostrze antyrządowej kampanii. Oba poprzednie gesty – wsparcie dla Lecha oraz zapłata fotelem wicemarszałka – spotkały się z wielkim atakiem Platformy. Tusk każdego dnia powtarzał, że „IV RP ma twarz Leppera”. Trudno się było dziwić, Kaczyński robił kiedyś to samo. Razem z Tuskiem każdy gest współpracy Millera z Lepperem piętnowali jako polityczną zbrodnię. Nowość sytuacji polegała na tym, że teraz Tusk świadomie wymuszał na Kaczyńskim współpracę z Lepperem, aby potem móc w PiS rzucić kamieniem.

W polskiej polityce taka przewrotność była czymś nowym. Bo też i charakter Tuska był czymś niezwykłym. Poraniony porażką Tusk zniknął przed partią na całe dni, zamykał się w domu, pogrążał w depresji, rozpamiętywał swoją przegraną, wpadał w panikę co do losów swojego przywództwa. W całej historii III RP nikt tak mocno nie przeżył porażki. Tusk reagował niedojrzale, jak chłopiec upokorzony na oczach kolegów. Nie potrafił panować nad sobą, widząc, jak na sali sejmowej Rokita rozmawia z Marcinkiewiczem, potrafił krzyknąć histerycznie: „Jakim prawem oni znowu spiskują?”. Zerwanie koalicji z PiS-em rozgrywał z wielkimi emocjami, w poczuciu, że został skrzywdzony, że bracia ukradli mu sukces. Nie tyle na zimno

kalkulował przyszłe korzyści, co się mścił. Zaciekle, zawzięcie, obsesyjnie. Wcisnął Kaczyńskiego w objęcia Leppera, aby mu zatruć owoce zwycięstwa. Nie było w jego taktyce klasy – ani ludzkiej, ani państwowej – była natomiast mordercza skuteczność. Bo Tusk przekroczył granicę, której nikt wcześniej nie ważył się przejść. Uważał Leppera za największe zło, jednak postanowił to zło doprowadzić do władzy. Po wyborach zostawił PiS sam na sam z Lepperem. Sam na sam ze „złem”. Wiedząc, że bez Leppera rząd nie zdobędzie większości. A potem, widząc, że PiS nadal ma opory, sam zaczął go wpychać w objęcia Leppera. Zarazem im mocniej popychał Kaczyńskiego w objęcia Leppera, tym głośniej go za to denuncjował.

Coraz bardziej zirytowany Jarosław nie zamierzał się poddać. Postanowił bezpośrednio uderzyć w Tuska, zmasakrować mu partię. Jego brutalność, podobnie jak Tuska, granic nie znała. Ponieważ układ sił na sejmowej szachownicy był niekorzystny, zamiast dalej grać w szachy, Kaczyński postanowił szachownicą potrząsnąć. Skoro sejmowa arytmetyka skazywała PiS na samobójczą koalicję z Lepperem, Kaczyński postanowił zmienić liczby. Scenariusze od początku były oczywiste. Pierwszy – rozbić Platformę i zbudować większość z jej prawicowym skrzydłem. Drugi – rozpisać nowe wybory w korzystnym dla siebie momencie. Pozostawał problem, jak przeżyć najbliższe miesiące. Kaczyński zdecydował, że koalicji z Samoobroną nie będzie. Zarazem wiedział, że bez Leppera nie powoła rządu, a potem rząd nie uchwali żadnej ustawy. Problem był tym większy, że Lepper władzy bardzo chciał. W epoce Millera było inaczej, wierzył, że twarda opozycja przyniesie mu wyborcze zwycięstwo. Teraz zrozumiał, że wpierw musi się wykazać państwową powagą. Po wyborze na wicemarszałka oznajmił, że oczekuje zawarcia koalicji rządowej. Marcinkiewicz odmówił, ale Kaczyński przez emisariuszy dał Lepperowi nadzieję na przyszłość. Jednak wpierw kazał mu głosować za powołaniem rządu, straszył Leppera, że jeśli sparaliżuje parlament, będą nowe wybory. A tych Lepper się bał, wojna PiS i PO tak mocno wciągnęła Polaków, że poparcie dla innych partii gwałtownie zmalało. Lepper musiał zaakceptować mglistą obietnicę, a Kaczyński uznał, że przez kilka miesięcy zdoła zapewnić większość rządowi. Albo ją kupi obietnicami, albo wymusi groźbą wyborów.

Kaczyński był tak pewny sukcesu, że nie odwołał maksymalistycznych planów. Projekt polityczny zwany Czwartą RP mimo braku sejmowej większości został ogłoszony. I to w ortodoksyjnej wersji. W exposé Marcinkiewicz zapowiedział walkę z układem. „Polacy pilnie potrzebują państwa, które nie będzie stolikiem do brydza dla partii rozgrywanych między politykami, ludźmi biznesu, aktualnymi i byłymi funkcjonariuszami służb specjalnych i pospolitymi gangsterami”. Brzmiało

to mocno, brzmiało imperialnie. PiS mimo odmowy Platformy swoich zębów nie stracił. W debacie nad exposé starli się Kaczyński z Tuskiem. Obaj chcieli wytłumaczyć wyborcom, dlaczego nie ma „popisu”. Wystąpienie Kaczyńskiego było spokojne i wyważone, mówił o programowych różnicach, o tym, że PiS wierzy w państwo, natomiast Platforma w rynek. To były wyjątkowe miesiące w karierze Kaczyńskiego, w czasie kampanii schował się przed mediami, aby nie utrudniać bratu zwycięstwa, potem się mocno tonował, bo się szykował do walki o sympatię Platformy. Oczywiście kto pamiętał dawnego drapieżnika oskarżającego wszystkich o wszystko, ten nadal widział drapieżnika. Media opisały jego głos w dyskusji jako oskarżenie Platformy o kolaborację z układem, tymczasem tego dnia drapieżny był Tusk. W Sejmie pojawił się ze swoją mantrą: „Nie będzie przełomu, nie będzie rewolucji moralnej, bo Kaczyński wybrał »moherową koalicję«”. Tusk dowodził, że rząd Marcinkiewicza nie jest mniejszościowy, że to skrywana koalicja z Samoobroną i z tego powodu nic się w Polsce nie zmieni. „Stolik, jak stał, tak będzie stał, tylko się gracze zmieniają. Bo – pytał zaczepnie – czy stolik, przy którym miejsca zajmują dziś Andrzej Lepper, Roman Giertych i Jarosław Kaczyński, to stolik, na którym będzie grany inny brydż?”. Oceniając exposé Marcinkiewicza, Tusk mówił twardym językiem Millera, wszystko było złe: obietnice puste, konkrety nieobecne, plany bezwstydne. Jednak Tusk nadal grał rolę patrioty „popisu” gotowego do koalicji z PiS. „Jak, panie prezesie – mówił do Kaczyńskiego – minie panu oczarowanie pełnią władzy, tą obsesją kontroli nad wszystkimi służbami tajnymi, jawnymi, dwupłciowymi, oczarowanie Andrzejem Lepperem..., to możemy rozmawiać”.

Tamta dyskusja była typowa dla klimatu pierwszych miesięcy, kiedy Kaczyński udawał baranka, zaś oczy Tuska stały się wilcze. Ujawniała też ideową bliskość obu formacji. Nie było sporu o pryncypia, o program, o idee. Tusk uderzał w Kaczyńskiego nie za to, że chce zrobić rewolucję, ale za to, że jej nie zrobi. Lepperem chciał skompromitować Kaczyńskiego nie w oczach establishmentu, ale tych, którzy chcieli wojny z establishmentem. Ówczesny Tusk był jak najdalszy od powrotu do wcześniejszej, mainstreamowej polityki. Uważał, że jej świat się skończył, że była zbyt naiwna, zbyt elitarna, zbyt skorumpowana, zbyt miękka. Popierał powołanie CBA, totalną lustrację, rozwiązanie WSI, ostry zwrot w dyplomacji, zaostrenie polityki karnej. Ile w tym było własnych przekonań, ile schlebiana nastrojom społecznym, tego nie wiadomo do końca. Tusk nie był tak radykalny jak Kaczyński, miał w sobie umiar, dystans, sceptycyzm. Reprezentował ducha politycznej powściągliwości, ale w tamtej epoce powściągliwość miała rewolucyjne pazury.



## NOWE WYBORY

Kaczyński nie tracił czasu. Ledwo zdecydował, że koalicji z Lepperem nie będzie, natychmiast wdrożył alternatywne scenariusze – rozbicia Platformy oraz przyspieszonych wyborów. W kilka tygodni po zaprzysiężeniu rządu zapadła decyzja o rozpoczęciu przygotowań do przyspieszonych wyborów. Pomysł był prosty – przeciągnąć prace nad projektem budżetu złożonym w Sejmie przez poprzedni rząd, a potem ogłosić, że posłowie się nie zmieścili w konstytucyjnym terminie. O planie wiedziało kilka osób, w tym Marcinkiewicz, gorący zwolennik tego rozwiązania. To ustawiło polityczne priorytety premiera, który od początku się skupił na ofensywie medialnej. Nie rządził, lecz brylował. Nie schodził z okładek gazet, jednego tygodnia dawał pieniądze na dożywianie dzieci, drugiego namawiał koncerny paliwowe do obniżki ceny, nauczycielom skrócił rok szkolny, emerytom obiecał waloryzację świadczeń. Medialnie był profesjonalny, spotykał się z prostymi ludźmi, słuchał ich uważnie, a potem mówił do nich prostymi zdaniami. Nie miał charyzmy, jednak budził sympatię. Elity odnosiły się do Marcinkiewicza protekcyjnie, nie był dobrym mówcą, nie był wielkim strategiem, ale ludzie go polubili. Miał w sobie duże pokłady prowincjonalizmu, był bardziej podobny do społeczeństwa niż poprzedni premierzy, co było ważne w epoce, która tętniła gniewem na politykę.

Poparcie dla Marcinkiewicza rosło, a wraz z nim rosło poparcie dla PiS-u. Ten bezbarwny polityk zaskoczył wszystkich, w Polsce prawicowi politycy rzadko budzą sympatię, tymczasem Marcinkiewicz był fenomenem na miarę Lecha Kaczyńskiego z 2001 roku czy Rokity z 2003. Sam jeden zapewniał poparcie całej formacji. W dwa miesiące przygotował PiS do przyspieszonych wyborów. Zarazem dwa miesiące medialnego festiwalu wystarczyły, aby premier wzbudził głęboką niechęć braci Kaczyńskich. Niechęć, której ton nadawały zazdrość oraz podejrzliwość. Zazdrość o popularność, która uczyniła go najbardziej lubianą twarzą PiS. Oraz podejrzenie, że skoro media go nie atakują, stać się musiał elementem układu. Atmosferę nieufności budował głównie Lech. Od początku szukał pretekstu do szybkiej dymisji, tłumaczył bratu, że nie ma sensu sytuacja, w której Marcinkiewicz zbiera śmietankę, zaś Jarosław płaci rachunki. Dowodził, że Marcinkiewicz „urywa się... dosłownie z godziny na godzinę”. Że ministrem skarbu zrobił człowieka „z rynku”, czyli powiązanego z układem. Jarosław poprosił Marcinkiewicza o wymianę ministra, ale

trwało to dwa miesiące, w czasie których Lech sącył kolejne podejrzenia. Jego wrogość zaszła tak daleko, że – będąc elektem – zwrócił się do szefa ABW o założenie premierowi podsłuchu. Ten odmówił, Kaczyński potem już nie nalegał, ale podejrzenia narastały w nim lawinowo, podobnie jak determinacja do wymiany premiera. Jarosław przyznał po latach: „Leszek cały czas naciskał na mnie, żebym stanął na czele rządu”. W tym czasie przygotowania do przyspieszonych wyborów nabrały ostrego tempa. Rozpisano już główne fazy kampanii, opracowana została strategia promocyjna, powstały scenariusze klipów wyborczych. Jednak bracia coraz częściej mieli obawę, że nowe wybory za bardzo wzmocnią Marcinkiewicza, że premier z kapelusza stanie się premierem ze społecznego nadania. Popularniejszym od braci, którego nie będzie można odwołać. Scenariusz nowych wyborów stracił na atrakcyjności, bardziej kusząca dla braci stała się próba rozbicia Platformy.

I wtedy cios zadał Tusk. Nieświadomy pomysłu przyspieszonych wyborów, nieznający dylematu, nad którym głowili się bracia, postanowił zmusić Kaczyńskiego do koalicji z Lepperem. Radykałowie byli sfrustrowani tym, że Kaczyński nie chce ich dopuścić do władzy. Tusk wykorzystał pierwszy z brzegu pretekst, w Sejmie leżały dwa rządowe projekty, przy których Lepper i Giertych domagali się większych wydatków. Tusk zgłosił się do nich i obiecał poparcie Platformy. Gdy przyszedł dzień głosowania, rząd przegrał sromotnie, opozycja dodała od siebie ponad miliard złotych. Tusk nie ukrywał, że wydatek jest nonsensowny, ale – dodawał – Platforma nie będzie Unią Wolności, która będąc w opozycji, pomaga rządowi. Opinia publiczna nie rozumiała tej przewrotnej gry, bo Tusk występował w roli skrzywdzonego, któremu PiS odmówił wspólnego rządzenia, zakładając, że Platforma i tak będzie rząd wspierać. Tymczasem wszystko było na odwrót, to Tusk odmówił koalicji, a teraz robił kolejny krok – zmuszał Kaczyńskiego do koalicji z Lepperem. Zbuntował mu radykałów, aby go postawić pod ścianą. Aby zrozumiał, że rząd mniejszościowy przetrwać nie może.

Kilkanaście dni później Kaczyński odpowiedział ciosem równie potężnym. Wprowadził do rządu Zytę Gilowską. Jeszcze pół roku wcześniej była wiceprzewodniczącą Platformy, obok Tuska i Rokity najważniejszą postacią w partii. Tusk pozbył się Gilowskiej z obawy przed jej rosnącym znaczeniem. Szedł do wyborów, nie wiedział, jak sobie poradzi, chciał mieć pewność, że w razie porażki nie straci partii. W tamtej epoce Tusk nie miał tak silnej pozycji, jak będzie miał w przyszłości, był jednym z liderów wiecznie kolektywnego przywództwa. A Gilowska była w partii bardzo popularna, bardziej niż Rokita, nawet bardziej niż Tusk, w kryzysowej sytuacji miała szanse na odebranie Tuskowi przywództwa.

Wypchnięcie Gilowskiej Tusk przeprowadził jak zwykle za pomocą intrygi. W jej biurze poselskim pracowała dziewczyna, która rok później została jej synową. Tusk o sprawie wiedział, zarówno od samej Gilowskiej, jak też od jednego z liderów, który go spytał, czy to nie wywoła oskarżeń o nepotyzm. Tusk go zbył: „Nie ma problemu, dziewczyna pracowała, zanim została synową”. Jednak gdy rok później sprawę opisały media, Tusk skorzystał z okazji. Natychmiast zaatakował Gilowską, oświadczył, że pierwszy raz o sprawie słyszy, że jest oburzony, że „instynkt macierzyński u Zyty Gilowskiej wygrał z instynktem politycznym i Zyta musi stanąć przed sądem koleżeńskim”. Potem zadzwonił do Gilowskiej. Według jej relacji Tusk poinformował ją, że sprawę skierował do sądu partyjnego. Zdumiona Gilowska odpowiedziała, że temat jest nieaktualny, że synowa miesiąc wcześniej została zwolniona. „Co z tego?” – odparł Tusk. Gilowska nadal nie rozumiała, przypomniała Tuskowi, że o wszystkim wiedział. „To co z tego?” – raz jeszcze odpowiedział Tusk. W tym momencie Gilowska odłożyła słuchawkę. Tuska wsparł mocno Rokita. Przyłączył się do intrygi, bo szykował się do roli premiera i nie chciał ministra finansów o tak silnej pozycji. Ciągłe powtarzał Tuskowi: „Największy problem, jaki będę miał jako premier, to nie jest gospodarka, tylko Zyta, bo ona w każdej chwili może coś dziwnego zrobić”. Zaatakowana z obu stron, śmiertelnie obrażona Gilowska odeszła z Platformy.

Do jej drzwi teraz zapukał PiS z ofertą, by przyjęła stanowisko wicepremiera i ministra finansów. Gilowska się zgodziła, Tusk się o tym dowiedział, rzutem na taśmę starał się ją powstrzymać, ale nie miał już szans. Żmudnie budowane oskarżenie, że rząd Marcinkiewicza jest populistyczny, radykalny, nieodpowiedzialny, jednego dnia się rozsypało. Skoro finansów państwa pilnuje Gilowska, o populizmie nie mogło być mowy. Kaczyński poszedł za ciosem, wielu posłów Platformy dostało ofertę przejścia do PiS-u, pojawiły się także propozycje rządowe. Pierwsze efekty nie były wielkie, do PiS przeszło trzech posłów, ale Tusk wpadł w panikę. PiS tak mocno rozkołysał Platformę, że partia zaczęła trzeszczeć. Wielu posłów pytało, czemu rezygnują z władzy, czemu Tusk się niemądrze upiera. Jego pozycja w partii mocno osłabła, jeszcze pół roku temu Platforma miała wziąć wszystko, teraz PiS był gigantem, a Platforma niczym. Tusk wydawał się tak słaby, że do walki o przywództwo zaczęli się przygotowywać Rokita i Komorowski. Tusk nie wiedział, co robić, musiał ratować partię, musiał ratować siebie. Zaproponował PiS-owi powrót do rozmów o koalicji. Nie dlatego, że jej chciał, ale aby powstrzymać przed wyjściem z Platformy zwolenników „popisu”. Oferta przedstawiona na konferencji prasowej nie brzmiała imperialnie, raczej jak prośba o darowanie życia.

Zwłaszcza że jednym z warunków było zaprzestanie rozbijania Platformy. PiS reagował w poczuciu własnej siły. „Koalicja jest nierealna” – wyniośle oświadczył Marcinkiewicz skupiony już tylko na nowych wyborach.

I właśnie wtedy wyszły na jaw przygotowania do nich. Okazało się, że w Prezydium Sejmu leżą ekspertyzy pozwalające na rozwiązanie Sejmu. Na Wiejskiej wybuchła panika, sondaże małych partii były fatalne, nowe wybory oznaczały dla nich zagładę. „Musimy zrobić wszystko, aby PiS dalej rządził – otwarcie powiedział Lepper. – Gdyby wybory odbyły się dziś, PiS wzięłby całą władzę, bo ludzie ich teraz kochają”. Tusk był nie mniej wystraszony, poparcie Platformy gwałtownie spadało, z Gilowską na pokładzie PiS mocno wdzierał się w centrum. Kolejnego zwycięstwa PiS Platforma mogła nie przeżyć, bo kto odmówi przejścia do partii, która raz za razem wygrywa, a władzę nad gospodarką oddaje Gilowskiej? Zaczęły się gorączkowe narady Tuska, Giertycha i Leppera. Walka rozegrała się na forum Sejmu, opozycja chciała natychmiast skończyć pracę nad budżetem, marszałek Jurek odmówił. „Jeśli planujecie nowe wybory, powiedzcie to Polakom prosto w twarz” – krzyczał Giertych. „To zupełne szaleństwo” – uspokajał Marcinkiewicz. Dowodził – tyleż sugestywnie, co nieszczerze – że Sejm ma jeszcze miesiąc. Opozycja nie uwierzyła, postanowiła marszałka ominąć, zawiązany został spisek wicemarszałków. Wieczorem obrady przejął wicemarszałek z LPR i postawił pod głosowanie wnioski o przyspieszenie prac nad budżetem. Słyszając to, Jurek podszedł do niego i oświadczył, że przejmuje obrady. Ten jednak odmówił. „Przepraszam cię, Marek” – powiedział po cichu, ale marszałek nie dopuścił. Takiej manipulacji Sejm nie widział nawet w epoce Falandysza. PiS dowodził, że uchwała jest nieważna, wszyscy konstytucjoniści go poparli, jednak opozycja protest zignorowała. Musiała, walczyła o życie, w całkowitej desperacji, po omacku, próbując odgadnąć, czy Kaczyński zmierza do nowych wyborów, czy chce Sejm jedynie postraszyć. On sam sprawy nie ułatwiał, enigmatycznie oświadczył: „Albo porządna koalicja w tym parlamencie, albo wybory”. Tego dnia został ogłoszony najnowszy sondaż, który dawał PiS-owi bezwzględna większość.

Następnego dnia emocje wzrosły. Rano marszałek zawiesił obrady, opozycja uznała, że to pierwszy krok na drodze do rozwiązania Sejmu. Posłowie opozycji zostali na sali, a liderzy zaczęli gorączkowe narady. Plan wymyślił Tusk z Giertychem. Jeśli zawieszenie obrad potrwa dłużej, opozycja zbierze się w sali obrad, odwoła marszałka i powoła nowego. Pomysł był mocno awanturniczny, jednocześnie byłoby dwóch marszałków Sejmu, każdy półlegalny. Gdy Jurek się o planach dowiedział, wydał decyzję zabraniającą parlamentowi wszelkich prac.

„Marszałek zerwał Sejm!” – krzyczał Lepper. „To wygląda jak zamach stanu” – dramatyzował Tusk. Opozycja zebrała się raz jeszcze, Tusk zaproponował, żeby posłowie zgromadzili się w auli Politechniki i wybrali nowego marszałka. Plan został zaakceptowany. Tusk spotkał się z Jurkiem i oświadczył: „Jeżeli PiS nie ustąpi, opozycja zbierze się sama i podejmie decyzję”. Marszałek postanowił ubiec ten ruch i wieczorem wygłosić telewizyjne orędzie. Wszyscy spodziewali się, że zapowie rozwiązanie Sejmu, ale w ostatniej chwili Jurek orędzie odwołał, o czym zdecydował Jarosław Kaczyński. Bo całe zamieszanie było zimną grą. Kaczyński nie chciał nowych wyborów, podsycił panikę tylko po to, aby raz jeszcze zmusić Leppera i Giertycha do poparcia rządu, bez wpuszczania ich samych do środka.

Decyzja o rezygnacji z przyspieszonych wyborów zapadła kilka dni wcześniej, w chwili największego triumfu PiS, gdy brał Gilowską do rządu, gdy bił rekordy popularności. Zapadła w gronie dwóch osób – braci Kaczyńskich. Uznali, że wybory są zbyt ryzykowne. Ale nie dla autorytetu prezydenta, który będzie oskarżany o nadużycie konstytucji. I nie dla PiS, który nie uzyska w wyborach odpowiedniego wyniku. Wystraszyli się nie pomniejszych strat, lecz wielkiego sukcesu, którego twarzą byłby Marcinkiewicz. Plany opozycji były niegroźne, powołanie nowego marszałka było bardziej puczem niż obroną demokracji. PiS miał lepsze argumenty i mocniejszy mandat. Rząd nie ma większości, nie może skutecznie rządzić, więc odwołuje się do demokracji. Pretekst do ogłoszenia wyborów, czyli opóźnienie budżetu, był naciągany, jednak cel był nie do podważenia – PiS rozwiązywał parlament nie po to, aby ominąć demokrację, ale aby oddać jej głos. Od strony organizacyjnej było jeszcze lepiej. Przygotowania do wyborów były zapięte na ostatni guzik. Prezentacja dorobku pierwszych stu dni, które się właśnie kończyły, miała być startem kampanii. Były już nakręcone pierwsze filmy wyborcze, były przygotowane plakaty. PiS nie zostawił konkurentom najmniejszych szans. Ale właśnie mając tak wielką przewagę, bracia wpadli w panikę, że triumfujący Marcinkiewicz ukradnie Jarosławowi partię, a Lechowi drugą kadencję. Kaczyńscy odwołali wcześniejsze plany, bo woleli mieć partię na zawsze niż wielki triumf być może na chwilę. Dorn nie mógł zrozumieć decyzji. Spytał Jarosława: „Dlaczego ich nie rozjechaliśmy, skoro mogliśmy? Taka okazja już się nie powtórzy”. Kaczyński odpowiedział szczerze: „Wiesz, kto wtedy byłby najważniejszy? Marcinkiewicz!”.

## JEDNAK LEPPER

W gorących dniach, kiedy z perspektywy opozycji ważyły się losy parlamentu, Kaczyński rozgrywał inną grę. Kruszył Leppera i Giertycha. Odkąd marszałek zawiesił obrady, opozycja działała w stanie paniki. Posłowie nadal blokowali salę sejmową, rozpisali sobie dyżury, wpadali w popłoch po każdej plotce. Ich liderzy byli nie mniej rozedrgani, wiedzieli, że chodzi o ich głowy, że jeśli PiS rozwiąże parlament, wypadną z politycznej gry. Kaczyński czekał, aż histeria osiągnie apogeum, rano uspokajał atmosferę, aby wieczorem siać zamęt. To trwało przez wiele dni, bo zmiękczenie Leppera i Giertycha nie było łatwe, obaj się domagali wejścia do rządu. Kaczyński twardo odpowiadał, że to nie jest możliwe, zrywał rozmowy i eskalował napięcie. Aż wreszcie ujawnił prawdziwą ofertę – zamiast koalicji zaproponował pakt stabilizacyjny, rezygnację z wyborów w zamian za obietnicę wspierania rządu przez sześć miesięcy. A jeśli współpraca ułoży się dobrze, pakt przerodzi się w koalicję. Giertych i Lepper nie mieli wyboru, musieli PiS poprzeć. Za darmo, za prawo do dalszego istnienia. Bo nie wiedzieli, że wszystko jest blefem, że bracia są jak najdalsi od rozpisania nowych wyborów.

To nie był koniec ich upokorzeń. Kaczyński zachowywał się jak pokerzysta, który wygrywając, nie może się oderwać od stołu. Do gry wprowadził brata. Pakt już został podpisany, gdy nagle prezydent ogłosił, że ma wątpliwości. Z Pałacu wyszedł komunikat, że prezydent jest bliski rozwiązania parlamentu, na wieczór zapowiedziano telewizyjne orędzie. W Sejmie zapanowała trwoga, czasu było za mało, aby przygotować kontrakcję. W trybie pilnym doszło do spotkania Jarosława z Lepperem i Giertychem. Partnerzy byli tyleż wściekli, co zdruzgotani, więc Kaczyński kazał im podpisać aneks do paktu, w którym zobowiązali się, że nie poprą żadnych opozycyjnych projektów. To był niezwykle spektakl, Kaczyński tresował ich jak dzikie zwierzęta.

Kolejne sukcesy go rozzuchwaliły. Z początku opowieści o planowanej koalicji z Lepperem były propagandą Tuska, z czasem jednak z tą myślą Kaczyński się zaczął oswajać. Zupełnie inaczej niż Lech, dla którego Lepper był nie do przyjęcia. Rezygnując z przyspieszonych wyborów, prezydent nadal wierzył w koalicję z Platformą, nie mieściło mu się w głowie, że Tusk pozwoli Lepperowi na dojście do władzy. Tymczasem Jarosław nie miał już złudzeń. Nie tylko w sprawie Tuska, coraz

wyraźniej widział, że nie uda mu się rozbić Platformy. Gilowska była najcięższą armatą, z jakiej mógł uderzyć. Skoro tym strzałem nie podzielił rywala, nie było już nadziei. Rezygnując z przyspieszonych wyborów, Lech z egoistycznych powodów poświęcał wielki triumf PiS, ale nie miał poczucia, że ceną będzie brudna koalicja z Lepperem. Ocena Jarosława była bardziej realistyczna, ale też bardziej cyniczna. Rezygnując z wyborów, wiedział, że to prowadzi do koalicji z Lepperem.

Już w czasie sejmowego kryzysu zaczął do tego scenariusza przyzwyczajać partię. Spotkał się z posłami PiS pod Warszawą, sondował nastroje. Napotkał wielką niechęć do Samoobrony, więc obiecał, że osoby z wyrokami do rządu nie zostaną wpuszczone. Zagrożenie dla państwa ze strony Leppera ocenił jako wielkie, jednak jako jeszcze większe uznał istnienie układu. Co sprawia, że kontrola nad MSW, prokuraturą i służbami jest warta wszystkiego. Warta oddania MSZ w ręce dyplomaty z obozu Geremka, warta współpracy z Lepperem. Nie przekonał sali, sondażowe głosowanie pokazało, że większość posłów nadal chciała koalicji z Platformą. Natomiast dużo lepiej poszło Kaczyńskiemu z partyjną elitą. W apogeum sejmowego kryzysu zebrał się komitet polityczny, Kaczyński opisał dylemat – rozwiązanie Sejmu albo układ z Lepperem. Za wyborami opowiedziało się sześć osób, dziewięć było przeciw. Z podobnych co Kaczyński powodów – aby Marcinkiewicz ich nie zdystansował w partyjnej hierarchii. Publicznie rezygnację z wyborów Kaczyński uzasadnił kłamstwem. Oznajmił, że w nowym Sejmie Tusk chciał zawiązać koalicję z SLD, co by oznaczało ochronę układu.

Pakt stabilizacyjny od razu trzeszczał, ale nie było w tym nic zaskakującego. Kaczyński wymusił na swoich partnerach układ w polityce nieznany. Poparcie za darmo. Jasne było, że jednostronny podział korzyści długo przetrwać nie może. Gdy nastroje się uspokoiły, Kaczyński wykonał ostatnią próbę rozbicia Platformy, do Rokity wysłał Gilowską z propozycją objęcia fotela premiera. Gilowska powiedziała Rokicie: „Dla ciebie wszystkie stanowiska są wolne poza dwoma: prezydenta i prezesa PiS”. Rokita odmówił, sam kilka tygodni wcześniej namawiał Kaczyńskiego, aby go zrobił premierem, ale rządu koalicyjnego PiS i PO. Kaczyński miał jednak ofertę tylko dla niego. Słyszac odmowę, Kaczyński zdecydował o zawiązaniu koalicji z Lepperem. Pozostały dwa problemy: przekonanie społeczeństwa oraz przekonanie brata.

Jarosław zgłosił wniosek o samorozwiązanie parlamentu. Wiedział, że wniosek upadnie, ale chciał pokazać, że zrobił wszystko, aby uniknąć koalicji z Lepperem. W istocie Platforma znowu powiedziała „nie”. Prezydent zaprosił do siebie Tuska, Rokitę i Schetyńę. Rozmowa była nieprzyjemna, prezydent miał

pretensje, że Platforma wypycha PiS w objęcia Leppera. Ciągłe dopytywał, dlaczego to robi. Rokita w końcu nie wytrzymał: „Aby was skompromitować i wziąć pełną władzę”. Odpowiedź wyprowadziła prezydenta z równowagi, był wstrząśnięty, oburzony, zniesmaczony. Ale zrozumiał, że koalicji z Platformą nie będzie.

Jednak im bardziej się zbliżała koalicja z Lepperem, tym wyraźniej bracia widzieli, jak wielką cenę zapłacą. Platforma tematu nie odpuszczała. W czasie jednej z sejmowych dyskusji Tusk przypuścił atak na Kaczyńskiego, sprawnie wyreżyserowany i świetnie odegrany. Spojrzał na ławy poselskie po prawej stronie i nagle oświadczył: „Nie ma już Prawa i Sprawiedliwości”. A potem patrząc w kierunku Kaczyńskiego, dodał: „Wiecie, kogo widzę w pierwszym rządzie? Andrzeja Leppera”. Posłowie z początku nie rozumieli, podniosły się krzyki: „Leppera nie ma na sali!”. Tusk kontynuował: „Owszem, nie ma, a wiecie dlaczego? Bo jest za niego Jarosław Kaczyński”. Cios zabolął, Kaczyński autentycznie się wściekł. Zażądał zwołania Konwentu Seniorów, przyszedł, aż kipiąc ze złości. Zdenerwowanym głosem domagał się przeprosin, nie uzyskał ich, więc po powrocie na salę ostro zaatakował Tuska. Co chwilę przerywał mu Palikot, krzycząc: „Lepper, zejdź z mównicy!”. Potem głos zabrał Rokita. Drwiącym tonem opowiedział, co się działo na Konwencie Seniorów. „Czerwony na twarzy Kaczyński – relacjonował Rokita – powiedział, że został »w sposób wyjątkowo obelżywy obrażony«. Czy w istocie został obrażony? – teatralnie się zastanawiał Rokita. – Został przyrównany do Andrzeja Leppera, do swojego partnera z koalicji. Czy to obelga?”. Posłowie PiS siedzieli cicho, nie mogli bronić przywódcy, nie obrażając koalicjanta. A Rokita dalej prowokował. „Czy jest to powód do procesu sądowego, czy do wniosku do Komisji Etyki Poselskiej? Chcę się zapytać Jarosława Kaczyńskiego – ciągnął – jak bardzo czujecie się obrażeni tym porównaniem? Czy tak bardzo, że nie jesteście w stanie wytrzymać?”.

Ten spektakl dał braciom przedsmak tego, co ich czeka w przyszłości. Co się stanie, gdy Lepper wejdzie do rządu, gdy pakt stabilizacyjny stanie się koalicją. Nie będzie PiS, a tylko Lepper, Lepper, Lepper. Jarosław miał chwilę słabości: „Popełniłem ciężki błąd. Może najcięższy w życiu” – wyznał najbliższemu współpracownikom. Ale gdy to mówił, koalicja z Lepperem nadal nie była konieczna, konstytucja dawała możliwość rozwiązania Sejmu poprzez tzw. trzy dymisje. Ale ta droga rodziła ryzyko utraty władzy, więc Jarosław szybko się pozbył wątpliwości. A naciskany przez brata prezydent wyraził zgodę na koalicję z Lepperem.



## UPADEK MARCINKIEWICZA

Lepper i Giertych chcieli być nie tylko ministrami, lecz również wicepremierami. Swoje ugrali, ale dzięki skupieniu na osobistych ambicjach reszta rządu pozostała bez większych zmian. Z punktu widzenia arytmetyki rządowych foteli cena koalicji była dla Kaczyńskiego niewielka. Zaprzysiężenie nowych członków rządu wyglądało jak rozmowa motywacyjna z więźniami przed wypuszczeniem na wolność. Prezydent pouczył ich, że „członkostwo w rządzie RP to awans niezwykle wysoki”, że „temu zaszczytowi trzeba podołać”, że ich odpowiedzialność będzie dużo większa niż zwykłych obywateli, a wolność dużo mniejsza. Zawiązanie koalicji sprawiło, że dla Marcinkiewicza było coraz mniej miejsca. Był premierem na czas budowy „popisu”. Nie udało się, nastąpiła nowa epoka, w której zadaniem premiera było utrzymanie koalicjantów pod butem. Lech zaczął szukać pretekstu do wymiany premiera, coraz częściej prowokował konflikty, nie ukrywał też przed Marcinkiewiczem, że nadal chce, aby to brat został premierem. Mówił do niego: „Jarosław nie ma zdrowia do takiej pracy, jak ty pracujesz, ale pozycja byłego premiera to już pozycja na całe życie”. Powtarzał to również bratu, ale Jarosław go zbywał. Wydarzenia nabrały przyspieszenia za sprawą szefa klubu PiS, postaci tyleż marnej, co istotnej. Bo przyszedł do prezydenta z gotowym pomysłem – skoro Jarosław boi się ogromu państwowych obowiązków, trzeba z jego barków zdjąć większość ciężarów. Politykę zagraniczną będzie prowadził prezydent, wysiłek administracyjny weźmie na siebie on, a Jarosław będzie twarzą rządu i jego strategiem. Lechowi plan się bardzo spodobał. Pozostał ostatni problem – przekonać brata.

Pomógł przypadek. Okazało się, że Gilowska będzie oskarżona o zatajenie współpracy z SB. Marcinkiewicz ustalił z Jarosławem, że gdy wpłynie zarzut, Gilowska z rządu odejdzie. Ale premier przyspieszył, zwolnił ją od razu, a nowego ministra powołał, nie pytając braci o zdanie. Tego było za dużo, zapadła decyzja o dymisji premiera. Marcinkiewicz nawet się nie zorientował, rozzuchwalony sondażami stracił kontakt ze światem. Od kilku miesięcy większość czasu spędzał, jeżdżąc po kraju. Lubił wyjść z auta, przejść się wiejską drogą. Patrzył na reakcje napotkanych ludzi, widział sympatię, entuzjazm. Opowiadał współpracownikom, że idąc przez Polskę, czuje, że się unosi nad ziemią. Dosłownie. Uważał, że jego stopy

znajdują się na wysokości kłosów. Rosło w nim przekonanie, że ze społeczeństwem połączyła go więź, jakiej nie miał żaden inny premier. Nie wierzył, że Kaczyński go odwoła, aż pewnego dnia marzenia prysły, premier dowiedział się, że szef klubu PiS rozpowiada, że wymiana szefa rządu nastąpi za kilka dni: „Prezes będzie premierem, a ja wicepremierem. A ponieważ prezes będzie się zajmował strategią i wielką polityką, tak naprawdę rządził będę ja”.

Marcinkiewicz gorączkowo zaczął szukać ratunku. Po kryjomu zwrócił się do Tuska z propozycją spotkania. Nie po to, aby zerwać z Kaczyńskim, chciał Tuska przekonać do wznowienia rozmów o „popisie”. W razie sukcesu mógłby obwieścić, że musi pozostać premierem, bo tylko on potrafi przekonać Platformę, aby weszła do rządu. Tusk na rozmowę skwapliwie się zgodził. Zaprosił premiera na spotkanie, ale w Sopocie, a potem dał przeciek do mediów. Była to na zimno wyreżyserowana intryga mająca na celu kompromitację Marcinkiewicza. Spotkanie w Warszawie można było jakoś wytłumaczyć, natomiast w Sopocie wyglądało jak spisek. Rozmowa od początku wzbudziła nieufność Marcinkiewicza. „Była dziwna, widziałem, że jest sztuczna. Piliśmy wino, on mówił, że Kaczyńscy mnie zniszczą, bo niszczą wszystkich takich ludzi jak ja, i że z nimi współpracować się nie da. Proponował bliską współpracę ze mną. Pytał: »Co ty z nimi robisz, jesteś porządny facet?«. Widziałem jeszcze w jego oczach tę porażkę sprzed roku. Ja mówiłem, że mam świadomość, że wszystko się może wydarzyć. zaproponowałem powrót do rozmów koalicyjnych po wyborach samorządowych. On na to przystał”. Obietnica powrotu do rozmów była tym, o co Marcinkiewiczowi chodziło. Przedstawiona władzom PiS mogła odwlec jego dymisję. Kłopot w tym, że po zakończeniu spotkania pojawiły się media. Kiedy Kaczyński zobaczył materiał w telewizji, uznał premiera za zdrajcę. Marcinkiewicz zwołał konferencję, próbował się bronić, mówił, że do Sopotu zaprosił go Tusk, że rozmawiali o współpracy przy kilku ustawach. Ale politycy Platformy nie pozwolili Marcinkiewiczowi uratować głowy. Ujawnili mediom, że do spotkania doszło z inicjatywy premiera. Główny cios osobiście zadał Tusk. Wystąpił na konferencji prasowej i powiedział, że premier się skarżył, że jego pozycja w rządzie jest zagrożona.

To był koniec Marcinkiewicza, wyszedł na zdrajcę. Został wezwany przed komitet polityczny. Wpierw odbyła się rozmowa z Jarosławem, który twardo zażądał dymisji. Chwilę potem Marcinkiewicz stanął przed komitetem politycznym. Zapłacił za swoją popularność, wszyscy po kolei poddali premiera miażdżącej ocenie. Marcinkiewicz musiał złożyć dymisję. Był premierem przez osiem miesięcy, jednak nigdy nie rządził. Kilka tygodni po objęciu przez niego urzędu zapadła decyzja

o przyspieszonych wyborach, więc zamiast rządzić, prowadził kampanię. Chwilę potem zaczęła się walka o rozbięcie Platformy, w której Marcinkiewicz miał uwieść rywala, więc znowu prowadził medialną kampanię. Ledwo misję skończył, znowu najważniejsze były sondaże, którymi – w obliczu wrogości prezydenta – budował własną pozycję. Jednak gdyby wybrał aktywność, też niewiele by zmienił. Był premierem czasu przejściowego, gdy zwycięzca wyborów jeszcze nie wiedział, co chce z władzą robić. W historii polskiej polityki Marcinkiewicz zapisał się jako kolejny premier doskonale nieważny.





# **Rozdział III**

## **Kaczyński bierze władzę**



## OCZEKIWANIE NA RADYKAŁA. I JEGO SKROMNE PLANY

**P**rzejście władzy przez Kaczyńskiego poprzedziły długie miesiące oczekiwania na apokalipsę. Bo w obrońcach status quo zwycięstwo PiS wzbudziło wielki strach. Kaczyński nie musiał nic robić, wystarczyło, że stał pośrodku politycznej sceny. Przez 15 lat wyrobił sobie wizerunek rewolucjonisty, twardego wroga rzeczywistości, nie jej fragmentów, ale całości. Państwo było skorumpowane, dyplomacja na granicy narodowej zdrady, gospodarka chora, bieda krzycząca. Przypominał radykałów, którzy twierdzą, że trzeba cały świat postawić do góry nogami, aby zaczął wyglądać normalnie. Ale nie miał radykalnych planów. Tusk i Rokita przez dwa lata chcieli koalicji z Kaczyńskim, bo wiedzieli, że jego krytyka szybuje na wysokim poziomie abstrakcji, a takie diagnozy są w polityce bezżębne. Petryfikacja struktury społecznej, peryferyjna mentalność, kapitalizm polityczny, postkomunistyczny cynizm, kryzys patriotyzmu – z takiego pułapu nie da się przejść do konkretnych decyzji. Kto szybuje tak wysoko nad ziemią, w polityce nawet kroku nie robi. W istocie, pod maksymalistyczną retoryką IV RP kryły się skromne decyzje. Chciał Kaczyński likwidacji jednej ze służb specjalnych, czyli wywiadu i kontrwywiadu wojskowego; chciał powszechnej lustracji; chciał powołania nowej służby specjalnej patrzącej władzy na ręce oraz reformy wymiaru sprawiedliwości. To był dość oczywisty pakiet w epoce wystraszonej korupcyjnymi aferami rządów SLD.

Jednak jego epoka – zwłaszcza jego wrogowie – widzieli w Kaczyńskim człowieka zdolnego do czynów wielkich, które Polskę zmieniają. Na dobre lub na złe, ale zmieniają głęboko. Powodem wyniesienia Kaczyńskiego nie były jego poglądy, lecz jego charakter. A dokładniej, jedna nitka tego charakteru: niezwykła zuchwałość. Odkąd pojawił się na politycznej scenie, nie uznawał żadnych zasad, żadnych granic, żadnych świętości. Stanął na politycznej scenie w 1989 roku, w świecie wyraźnych, opozycyjnych hierarchii i jako jedyny odmówił ich respektowania. Uderzał w każdego, kto mu stanął na drodze. A że stali najwięksi, z nimi wszystkimi poszedł na wojnę. Geremek mu zablokował karierę, więc Kaczyński sprawił, że nie został premierem. Mazowiecki go odtrącił, Kaczyński wypowiedział mu wojnę. Wałęsa zablokował sukces PC, rzucił się do gardła samemu Wałęsie. Wystarczyły dwa lata i walczył z całym solidarnościowym establishmentem. W walce nie uznawał reguł,

oskarżał wszystkich o wszystko, Mazowiecki i Geremek byli kryptokomunistami, Wałęsa agentem. Ciężar zarzutów zawsze był niezwykle. Kaczyński szarżował bez umiaru, od faktu, że dwadzieścia lat temu Wałęsa był Bolkiem, przeskakiwał do oskarżenia, że będąc prezydentem, nadal jest agentem. Grał brutalnie nawet wtedy, gdy brutalność nie była potrzebna. W latach 90. namówił prezesa Sądu Najwyższego do startu w wyborach prezydenckich, ale się rozmyślił i cofnął mu poparcie. Mógł się rozstać dyskretnie, wybrał prostacką awanturę. Hall, który wydarzenia oglądał z bliska, wspomina: „Tego... nie sposób nazwać inaczej niż świństwem. Zachowanie Jarosława Kaczyńskiego było nie tylko obrzydliwe, ale także irracjonalne”, a on sam „niepoczytalny”.

Ale było w Kaczyńskim coś więcej niż brak samokontroli. Był kierunek, w który skręcał, gdy kontrolę tracił. Zawsze w dół, w stronę praktyk ostentacyjnie brutalnych. Gdy trzeba było niszczyć rywala, Tusk sięgał po sztylet lub truciznę, dyskretne narzędzia niezostawiające śladów. Kaczyński odwrotnie, wolał pałkę lub kastet. Tłukł nimi przeciwnika na oczach wszystkich – dziko, zajadle, aż krew bryzgała dokoła. Jak wyrzucał kogoś z partii, to w aurze skandalu. Jak oskarżał, to ześlizgując się w oczywiste kłamstwa. Toczone przez niego wojny zawsze były brudne, nawet gdy racja była po jego stronie. Posuwał się do środowiskowych donosów, od niego Polacy dowiadawali się, że Wachowski zakłada Wałęsie kapcie albo że Kuroń pije wódkę z komunistami. Każdy polityk zna wiele podobnych historii, ale ujawniał je tylko Kaczyński. Dlatego inteligentom trudno było wytrwać u jego boku, uwodził ich diagnozą, ale zawstydział praktyką. Zarazem brutalne zachowanie dawało mu osobliwą siłę. W swoich wrogach wzbudzał strach – szczery, głęboki, paraliżujący. Dzięki niemu zawsze miał więcej wrogów niż zwolenników. I to oni byli jego wojskiem. Jego prawdziwą siłą byli ci, którzy się go bali, a nie ci, którzy za nim stali. Bo większość zwolenników głosowała na niego dlatego, że w drugiej stronie wzbudzał tak wielki strach. To mu dawało wiarygodność. Prawdziwą armią Kaczyńskiego byli jego wrogowie wpatrzeni w niego jak zając w kobrę. To ich strach sprawił, że ponad dekadę cała polska polityka obracać się będzie wokół Kaczyńskiego, bez względu na to, czy ma władzę, czy nie.

Gdy w 2005 roku wygrał wybory, powszechnie uznano, że jego zuchwała brawura nikogo się nie wystraszy. Żadnej potęgi, żadnego autorytetu, żadnej świętości. Oczywiście był to mit, wielka pomyłka epoki. Nie było w Kaczyńskim tej zawziętej woli, która buduje wielkich buntowników. Jego nieobliczalność była nieobliczalnością publicyisty gotowego wypowiedzieć każde zdanie, bez względu na to, jak szalone by było. Ale od słów do czynów droga daleka, wymagająca

umiejętności, których Kaczyńskiemu brakowało. Uprzedzając dalsze fakty – Kaczyński, podobnie jak Miller, był wielkim graczem, ale władcą nijakim. Techniki politycznych gier znał perfekcyjnie, technik rządzenia w ogóle. Chciał podpalić III RP, ale nie wiedział, jak się rozpała ognisko. Jego rewolucja mogła się wydać groźna tylko przez jego osobistą zuchwałość. Swoje nieśmiałe plany przedstawiał dziesiątki razy, mimo to ciągle się wydawały drapieżne. Wszystko z powodu dziwnej natury tego polityka.



## REWOLUCJA, KTÓRA ZACZEŁA SIĘ OD KONTRREWOLUCJI

Po wyborach Kaczyński poświęcił się budowie zaplecza dla rządu. Ujarmianie radykałów oraz kolejne starcia z Tuskiem pochłaniały całą jego energię. W tym czasie Polską rządził gabinet umiarkowany, mainstreamowy i leniwy, jak każdy rząd w okresie gospodarczego wzrostu. Rozpoczęcie walki z układem opóźniało się, trzeba było przygotować potrzebne ustawy, przeprowadzić je przez parlament, skompletować potrzebnych ludzi. Jednak strach przed Kaczyńskim narastał. Nie musiał nic robić, oczekiwanie strasznych czynów rodziło się z samego faktu, że wygrał wybory. Przekonanie o rychłym wybuchu rewolucji było tak wielkie, że każde słowo Kaczyńskiego traktowano jako wystrzał z krążownika Aurora.

Konflikt wybuchł na polu, które nie wydawało się szczególnie zapalne – reformy wymiaru sprawiedliwości. Plany PiS od dawna były znane: zaostrzenie kar za ciężkie przestępstwa, odejście od zbyt częstego orzekania kar w zawieszeniu, szybki tryb orzekania w przypadku chuliganów, reforma prokuratury, otwarcie prawniczych korporacji. Były to pomysły mocno wspierane przez Platformę, oddawały też ducha epoki – wcześniej kary zaostrzyły Francja, Niemcy i Anglia. Dopóki plany były wspólnym projektem „popisu”, życzliwie wypowiadały się o nich również środowiska prawnicze. Wszystko się zmieniło, gdy samotny PiS wziął się za wprowadzenie ich w życie. Ziobro zapowiedział pracę nad nowym kodeksem karnym, na co twórcy starego odpowiedzieli gniewnym sprzeciwem. Oczekujący na strzał z Aurory potraktowali to jako sygnał do rewolucji. I tak się wszystko zaczęło.

Karniści ruszyli z frontalnym atakiem, który robił wrażenie obrony przed barbarzyńskim zamachem. Było jednak odwrotnie, to kontrrewolucja była populistyczna. Prawnicy blokowali zmiany, uciekając się do skrajnej demagogii, manipulowali oficjalnymi danymi, przedstawiali Polskę jako kraj o rekordowo niskiej przestępczości. Twierdzili, że nieważna jest surowość kary, lecz jej nieuchronność, nie wspominając ani słowem, że Polska dramatycznie nie spełnia warunku nieuchronności. Że kary zapadające po wielu latach i to zwykle w zawieszeniu są w istocie bezkarnością i nigdzie na Zachodzie tak się nie dzieje. Największy atak skupili prawnicy na sądach 24-godzinnych, przejętych przez PiS z programu Tuska. Ich idea polegała na przyspieszeniu orzekania w przypadku prostych czynów chuligańskich – zamiast średnio dwóch lat, jak było w Polsce do tej pory,

w przypadku zwykłego chuligaństwa prokuratura miała zebrać materiał w 48 godzin, a sąd w 24 godziny zdecydować o karze. Polscy prawnicy nazwali ten pomysł powrotem do PRL, ludowym trybunałem, cyrkiem dla mas. Tymczasem postępowanie doraźne stosowane jest w Ameryce, Anglii, we Francji, w Niemczech, a niedługo przed sukcesem PiS sądy 72-godzinne wprowadziła Hiszpania.

Sporo w tym było osobistych emocji. Środowisko karnistów nie lubiło Kaczyńskich, bo bracia od początku zmian mocno ich krytykowali, słusznie im zarzucając, że w realiach transformacji całkiem się pogubili. Mieli dobre intencje, chcieli uciec od represyjności komunistycznego państwa, ale nie zrozumieli ducha epoki, nowych pokus dla przestępców, słabości policji oraz fatalnego stanu sądownictwa. Szli więc od błędu do błędu. Po 1989 roku namówili władzę do amnestii, potem na gwałtownie rosnącą przestępczość odpowiedzieli bardzo liberalnym kodeksem. Jako model docelowy był sensowny – gdy aparat ścigania jest sprawny, a sądy są szybkie, surowe kary nie mają większego sensu. Ale Polska nie spełniała obu tych warunków i było wiadomo, że ich szybko nie spełni. Kaczyński niepotrzebnie zaostrzył dawne konflikty, określając karnistów mianem „frontu obrony przestępców”, niemniej to nie agresja PiS stanowiła istotę tamtego sporu, ale korporacyjna pycha jednego z prawniczych środowisk, które uznało, że prawo karne jest jego domeną. Co było uzurpacją, bo tak nigdzie nie jest.

Podobna była logika oporu wobec wielkiej reformy systemu sprawiedliwości. Przed wyborami pomysły Kaczyńskich zbierały pozytywne recenzje, wszyscy prawnicy mieli poczucie, że system sprawiedliwości jest fatalnie zorganizowany. Adwokaci bezkarnie przewlekali procesy, sędziowie notorycznie orzekali kary w zawieszeniu, co trzeci prokurator nie prowadził śledztw, tylko kontrolował kolegów. Ale była w tej krytyce osobliwość, której z początku nikt nie zauważył – poparcie poszczególnych środowisk prawniczych zawsze dotyczyło zmian na cudzym podwórku. Sędziowie i prokuratorzy wsparli plany wobec adwokatury, sędziowie i adwokaci wobec prokuratury. Jednak gdy rząd zaczął omawiać projekty dotyczące ich własnej domeny, podniosły się ostre protesty. Szukano pretekstów do krytyki, a PiS ich masowo dostarczał. Wszystkie były z obszaru etykiety – szef klubu PiS brutalnie skrytykował adwokatów, Kaczyński obraził Trybunał Konstytucyjny, Ziobro zlekceważył korporacyjne zgromadzenie sędziów, prezydent nie przyszedł na rocznicową imprezę. Te gesty i słowa były żałośnie niemądre, ale robienie z nich zamachu na praworządność było nie mniej żalosne. Mściły się długie lata pozostawienia wymiaru sprawiedliwości samemu sobie. Prawnicy uznali, że to ich własny świat, pierwszą od 1989 roku krytykę swej pracy potraktowali jako najazd.

Tymczasem ta krytyka była łagodna. Było dużo gorzej, niż mówił PiS. Wymiar sprawiedliwości był największą porażką polskiej transformacji. Niepłacone alimenty, wiecznie nierozstrzygnięte konflikty sąsiedzkie, nieuregulowane kwestie własności, bezkarni chuligani, przedawnione oszustwa przeciw państwu, pewni siebie oligarchowie, politycy nigdy nieoglądający nieba z za krat. Równie fatalnie było w sądach gospodarczych. Właśnie gdy PiS ogłaszał swe plany, Bank Światowy przeprowadził wielkie badania. Okazało się, że w Polsce na wyrok trzeba czekać co najmniej 1000 dni, 20 razy dłużej niż w Holandii, dłużej niż w większości afrykańskich państw, choć jak stwierdzał Bank, nakłady na sądownictwo są w Polsce na zachodnim poziomie. Kiedy w trakcie próby reform zarzucano Kaczyńskiemu, że burzy państwo prawa, stawiano problem na głowie. On państwo prawa chciał wreszcie zbudować. Bo to, które zbudowano po 1989 roku, działało na dramatycznie niskim poziomie. Było sukcesem jedynie w porównaniu do PRL.

Racje reformatorów były tak oczywiste, że Platforma – choć ostro krytykowała zachowanie PiS-u – wsparła te plany. Oferowała nawet pomoc w zażegnaniu sporu, ale sporu zażegnać już się nie dało. Dużo w tym było winy PiS-u: zamiast pochylić się nad prawnikami jak nad górnikami czy hutnikami, kolejną nieracjonalną branżą, która w imię własnych interesów kontestuje reformy, zamiast ich zręcznie rozgrywać – mamić, dzielić, oszukiwać – aby swoje plany wymusić, Kaczyński zaczął się odgryzać – twardo, brutalnie, agresywnie. Nie jak przebiegły polityk, lecz zaciętrzewiony amator. Ze szczególną siłą bił w Trybunał Konstytucyjny, ten w istocie kilka razy mu stanął na drodze, jednak bijąc bez umiaru w Trybunał, stracił wiarygodność, prawnicy przedstawili go jako wroga praworządności i wojnę wygrali. Poparły ich media, poparły elity. Wielka reforma systemu prawnego, jedna z najważniejszych prób naprawy państwa po 1989 roku, poległa w fazie przygotowawczej. Politycy Platformy twierdzili, że gdyby Kaczyński miał inną reputację, gdyby Ziobro miał więcej zręczności, zmiany dałoby się przeprowadzić. Było inaczej, oni jedynie dostarczyli pretekstu. Prawnicy po prostu nie chcieli zmian. Mieli powody, aby nie ufać Kaczyńskiemu i Ziobrze, choć te najmocniejsze pojawiły się dopiero po roku rządzenia. Nie zmienia to faktu, że po upadku IV RP do reform nigdy nie wrócili. Co pokazało, że przeszkodą nie była nieufność wobec PiS, lecz niechęć do zmian.

## DYGRESJA O POSTAWIE ELIT

Warunkiem zwycięstwa prawników było wsparcie ze strony elit. A powodem, dla którego elity udzieliły wsparcia, były środowiskowe przesady. Bo tak jak polskie masy padały na kolana przed sutanną, tak polskie elity padały przed togą. Sądziły, że to zachodni standard, przez co nie zauważyły, że polski system sprawiedliwości na hołd nie zasługuje. Ich postawa w sporze z prawnikami mocno Kaczyńskiego dotknęła, po raz pierwszy ważne reformy w Polsce zostały zablokowane nie przez masy, lecz przez elity. Kaczyński nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego. Zwłaszcza że jego konflikt z elitami narastał od samego początku III RP. Elity uważały, że w transformacji najsłabszym punktem jest społeczeństwo, które spycha państwo ze słusznej drogi. Natomiast Kaczyński problem widział w elitach, które słusznej drogi wytyczyć nie potrafią. Bo nie myślą samodzielnie, bo nie patrzą pod nogi, bo się karmią frazesami. Z czasem Kaczyński oskarżenie wzmocnił, uznał, że elita III RP składa się z ludzi albo złych, albo głupich. Żli pracują dla układu, głupi tego nie widzą. Żli sprzedają ustawy, blokują konkurencję, nie pozwalają państwu odzyskać siły, głupi natomiast ten system umożliwiają, bo z tego, co się dzieje, niczego nie potrafią zrozumieć.

Konflikt z prawnikami był dla Kaczyńskiego potwierdzeniem dawnej diagnozy. Do zmian w prawie karnym był świetnie przygotowany, dziesiątki pomysłów, jakie w jego imieniu zgłaszał Ziobro, stanowiły najlepsze zachodnie rozwiązania. Więzienia weekendowe, elektroniczny monitoring, szybkie orzecznictwo, kary bez zawieszenia, niższe ceny usług prawniczych. To był pakiet, który powinien wzbudzić powszechny aplauz. Skoro nie wzbudził, to znaczy, że w Polsce normalność elitom przeszkadza. Kaczyński łatwo popadał w przesadną podejrzliwość, ale w tej sprawie nad jego emocjami warto się pochylić. Nigdy w historii III RP nie było tak dobrze przygotowanej reformy. Obok planu Balcerowicza oraz planu Hausnera nigdy też nie było tak ważnej reformy. Owszem, stał za nią demagog, który właśnie budował koalicję z Lepperem, ale w jego planie budowy państwa prawa nie było grama demagogii. Kaczyński nie potrafił zrozumieć, jak elity mogły kupić retorykę prawników. Jak mogły przeoczyć ich egoistyczne motywy. Zgodzić się na trwanie systemu, który sprawiedliwość czynił dobrem trudno dostępnym.

Ale nad emocjami elit też się warto pochylić. Kaczyński skarżył się, że jego zwycięstwo elity powitały agresją. To prawda, której jednak trudno się dziwić. Przez 15 lat Kaczyński oskarżał elity o głupie poglądy, nieuczciwe cele i brudne dochody. Nic dziwnego, że gdy doszedł do władzy, witała go krytyka. Bo co miało witać? Wojna to wojna. Jednak uderzając w Kaczyńskiego, uważnie go obserwowano. Mijały miesiące, a on nie potrafił wzbudzić zaufania. Jednego dnia obraził znaną dziennikarkę, drugiego oczernił właścicieli mediów, podważył uczciwość szefów banku centralnego, patriotyzm ministrów dyplomacji. Bił w sędziów Trybunału, w redaktorów naczelnych, w rzecznika sądu lustracyjnego, bił we wszystkich, którzy mu stanęli na drodze. Wybory dawno się skończyły, a w przywódcy zwycięskiego obozu nie było państwowej powagi. Spokoju, odpowiedzialności, majestatu. Zachowywał się jak partyjni harcownicy, których się wysyła do telewizji, aby krzykliwie obrażali rywali. Wchodził w sam środek każdej awantury. Nie chciał i nie potrafił nad sobą panować. Uderzony odgryzał się twardo, co było niepokojące, bo zbyt daleko odchodziło od znanych wzorów zachowań.

Nic dziwnego, że zaufanie do niego stało się kwestią wiary. Jedni mu potrafili uwierzyć, inni uwierzyć nie mogli. I w tych drugich Kaczyński zaczął budzić strach. Coraz większy i większy. Aż stał się dla nich równie demoniczny, jak układ był demoniczny dla Kaczyńskiego. Szef PiS nie miał racji z założenia, bo nawet gdyby przypadkiem ją miał, zrobiłby z niej zły użytek. Polityk, który chciał leczyć wszystkie polskie choroby, uznany został za chorobę największą. Nie wierzono, że potrafi zrobić coś pożytecznego. Dostrzegano liczne atuty jego rozumu, ale uznano, że nie rozum nim rządzi, lecz charakter – dziki, awanturniczy, paranoiczny. Kaczyński dla swoich wrogów nie był kolejnym politykiem, ale przybyszem ze świata nieobliczalnych żywiołów. Bano się go nie dlatego, że chciał walczyć z układem, ale ponieważ jego zachowania poruszały się po nieznanymi trajektoriami. Po kilku miesiącach elity miały pewność, że dawnej oceny Kaczyńskiego – z czasów, gdy palił kukły Wałęsy – zmienić nie chcą i nie potrafią.

## NOWY PREMIER I JEGO DRUŻYNA. LEPPER

Kaczyński nie miał cierpliwości. Jego zdziwienie zachowaniem elit szybko przeszło w złość, a potem we wrogość. Skoro nie chcą mnie, ja nie chcę ich. To był kluczowy moment w jego karierze. Zawsze szukał wojska na marginesach, jednak po to, aby podbić centrum. Był naturą pękniętą – jego metody były prostackie, jego potrzeby były inteligenckie. Jednak tym razem uznał, że z polskimi elitami nigdy mu nie będzie po drodze. Jego słowa o „łże-elitach” były gestem ostatecznego zerwania. Gdy zawiązywał koalicję z Lepperem, był już mentalnie po drugiej stronie. Nie tylko po innej stronie niż elity III RP, ale też po innej niż elity IV RP. Ci, którzy nadal marzyli o „rewolucji moralnej”, nie zrozumieli, że oni także zostali spisani na straty. Przestrzegali Kaczyńskiego przed Lepperem, sądząc, że ten naiwnie wierzy, że zdoła ocalić sztandar „rewolucji moralnej”, mając Leppera u boku. Tymczasem to oni byli naiwni, Kaczyński grał już inną grę. Od wielu miesięcy obserwował siłę, jaką mu daje radykalny elektorat. Dzięki niemu odnosił sukces za sukcesem. Wybory do Sejmu wygrał dzięki słuchaczom Radia Maryja, brata osadził w Pałacu dzięki wyborcom Leppera. Ten elektorat nie tylko przy nim pozostał, ale go pokochał. Gdy Kaczyński szedł na kolejne wojny z elitami, elektorat stał przy nim wiernie, podczas gdy patrioci „popisu” w kółko narzekali. Więc główną ofertę skierował ku marginesom. Zapatrzone w sztandar „rewolucji moralnej” prawicowe elity sądziły, że radykałowie są dla Kaczyńskiego narzędziem. Było odwrotnie, to sztandar się stawał narzędziem, pod którym Kaczyński umacniał nowe polityczne zaplecze. Dzieje koalicji z Lepperem i Giertychem nie były szamotaniną żoliborskiego inteligenta z obcym żywiołem, lecz walką o przywództwo w otoczeniu, które Kaczyński wybrał świadomie i które będzie odtąd jego środowiskiem życia. Także, gdy władzę straci.

Głównym rywalem był oczywiście Lepper. Sprawniejszy od Giertycha, silniejszy, bardziej ambitny. Od pierwszego dnia rządów Kaczyńskiego koalicja była w stanie wojny domowej. Lepper domagał się większych wpływów, stale krytykował własny rząd, jednak bez dawnej ostrości. Teraz udawał państwowca: brał stronę osób obrażanych przez Kaczyńskiego, wspierał działania opozycji, zastanawiał się, czy decyzje rządu są dobre dla państwa. Był nielojalny, jednak premier mu nie dał wyboru. Najpierw zabrał mu elektorat, teraz chciał odebrać mu posłów. Tuż po objęciu władzy pierwsi emisariusze zastukali do drzwi klubu Samoobrony

z zaproszeniem do PiS-u. Kaczyński nie miał skrupułów, Lepper nie był dla niego partnerem, lecz łupem. Nie chciał z nim rządzić, chciał go wycisnąć, odebrać wszystko, co miał, a potem się pozbyć. A że Kaczyński był notorycznym drapieżnikiem, w trakcie polowania zatracił się w nękaniu rywala. Premier, który dysponował skromną większością, stale prowokował koalicjanta do buntu. Robił to zrećnie, w stylu Tuska, aby opinia publiczna widziała tylko bunty Leppera, a nie zaczepki Kaczyńskiego. Traktował Leppera jak nikt wcześniej się nie odważył, upokarzając go na każdym kroku. Nie dawał mu złudzenia, że ma wpływ na rządzenie, nie pozwalał udawać wicepremiera nawet przed własną partią. Po kolejnych policzkach Lepper żądał konsultowania z nim rządowych decyzji oraz nominacji dla Samoobrony. Kaczyński się zgadzał, Lepper to obwieszczał swojemu zapleczu, a Kaczyński słowa nie dotrzymywał. Nie po to, aby chronić państwo przed Samoobroną. Ale aby Leppera osłabić, ośmieszyć oraz sprowokować do dalszych ataków na rząd. Lepper był zdezorientowany, nikt wcześniej tak go nie traktował. To on był zawsze stroną zaczepną, brutalną, zrywającą wcześniejsze ustalenia, teraz było odwrotnie. Aby ratować pozycję, zagroził, że Samoobrona nie poprze budżetu. Zgłosił szereg nierealnych żądań, ale był gotów się cofnąć za drobne ustępstwa. Jednak Kaczyński nie miał zamiaru negocjować, parł do przesilenia. Miażdżył Leppera, aż wreszcie w cieniu kryzysu budżetowego postanowił rozbić mu klub.

Akcja była korsarska, co nie zmienia faktu, że Kaczyński był wielkim korsarzem. Rozbicie koalicji poprzedziła fala negocjacji z kilkunastoma posłami Samoobrony. Ci wahali się, więc Kaczyński postanowił ich mocno docisnąć. Złożył PSL ofertę wejścia do rządu, a gdy usłyszał „tak”, zaatakował. Dzień dobijania Samoobrony miał drapieżną dramaturgię. Rano premier wysłał do Samoobrony łowców głów, a sam się spotkał z Lepperem. Ten był miękki, chciał jakichkolwiek zmian w budżecie, aby z konfliktu móc wyjść z podniesionym czołem. Kaczyński odmówił. „To budżetu nie poprzemy” – oświadczył zdesperowany Lepper. „To będziemy mieli wybory” – odpowiedział niedbale Kaczyński. Swoją zamiar od razu upublicznił, chciał wzbudzić w Sejmie panikę, skruszyć opór werbowanych posłów. Po kilku godzinach dostał raport, że presja zadziałała, że uda się wyprowadzić dziesiątkę posłów, czyli wystarczająco, aby razem z PSL mieć większość w Sejmie. I tak by się stało, gdyby Lepper nie zagroził użyciem weksli na pół miliona złotych, które musiał podpisać każdy poseł Samoobrony. Tylko czterech posłów odważyło się odejść, reszta się wystraszyła weksli. Tych Kaczyński postanowił docisnąć do ściany, wieczorem zerwał koalicję z Samoobroną. Decyzję przedstawił jako gest odpowiedzialności za państwo. Oświadczył: „Nie będziemy tolerowali warcholstwa”,

winę spychając na Samoobronę, a siebie stawiając w roli obrońcy budżetu. Zagrywka była zręczna, a Lepper zdruzgotany. Pod koniec dnia wystąpił w telewizji, był przybity, stłamszony. Skarżył się: „To nie ja zachowałem się jak awanturnik, jak cham, jak niewychowany... To, co premier wyprawiał w tym rządzie... I tak byłem cierpliwy, i tak wytrzymałem bardzo długo poniżanie, upokarzanie, niewywiązywanie się z umów”. Na koniec rzucił zdanie, które szybko nabrało znaczenia: „Mówią, że jestem warchołem, a to tam się dobrało kilku łotrów, którzy chodzą od klubu do klubu i wyciągają ludzi”.

Następnego dnia Lepper otrząsnął się. Wystąpił na konferencji prasowej z posłanką, która opowiedziała, że za przejście do PiS obiecano jej stanowisko w rządzie. Lepper dodał do tego dwie kolejne historie: jeden z posłów Samoobrony był kuszony fotelem wojewody, drugi umorzeniem procesów sądowych. Ujawnienie werbunku posłów nie powstrzymało Kaczyńskiego, łowcy głów zaatakowali jeszcze mocniej, a premier dostarczył im wsparcia. Zarządził natychmiastowe wyrzucanie polityków Samoobrony ze stanowisk państwowych. W centrali, w terenie, aby pokazać, że ci, którzy zostaną u boku Leppera, nigdy już nie posmakują władzy. Przeprowadzona w kilka godzin akcja wywołała potężny efekt, coraz więcej posłów zgłaszało gotowość odejścia, jednak prosząc o ratunek przed weksłami. Prawnicy PiS gorączkowo przygotowywali dla nich ofertę. Natomiast Kaczyński, aby mieć pewność bezpiecznej większości, łowców głów wysłał także do Platformy. Sześciu posłów PO dostało ofertę, każdy fotel wiceministra. Była to największa w historii III RP łapanka na posłów. Werbowanie w szeregach wrogów było częstą praktyką, ale nigdy nie robiono tego masowo i bezceremonialnie, niemalże wywieszając ogłoszenie na sali plenarnej. To był zuchwały styl Kaczyńskiego, ale ten styl dawał efekty. Watażkę, który przez dekadę wszystkich wodził za nos, Kaczyński złapał za gardło tak, że ten nie mógł oddychać. I dusił go na oczach wszystkich, udając, że sam jest ofiarą ataku. Było to chuligańskie, ale ponieważ obiektem agresji był większy chuligan, na cierpienie Leppera aż miło było popatrzeć. Był już w agonii. W akcie desperacji skierował weksle uciekinierów do komornika, a wtedy PiS użył całego aparatu państwa. Marszałek Sejmu oświadczył, że weksle są nieważne, minister sprawiedliwości zapewnił, że prawo posłów ochroni, Ministerstwo Finansów zażądało od Leppera za weksle ponad 10 milionów podatku. To już był koniec.

I w ostatniej chwili Lepper się zdołał odwinąć. Lojalna wobec niego posłanka wzięła udział w dziennikarskiej prowokacji. Od kilku dni udawała, że chce opuścić klub, co sprawiło, że łowcy głów do niej podchodzili najmocniej. Kamera nagrała jej trzy spotkania z emisariuszami PiS. W pierwszym i drugim wziął udział jeden



z liderów – minister i wiceprezes partii. Zaoferował posłance fotel wiceministra i zachęcał, aby namówiła kolejne osoby. „Mamy mnóstwo wolnych stanowisk” – zapewniał. Posłanka zgodziła się, ale nominację na wiceministra chciała dostać od razu. Premier się nie zgodził na ten warunek, więc pojawił się nowy negocjator – wiceminister, a zarazem jej dawny kolega. Przyjacielskim tonem wyjaśnił, że premier nie może jej dać stanowiska od razu, aby nie padło oskarżenie o polityczny handel. Posłanka skrzywiła się, ale usłyszała: „Nie szarp się. Za kilka tygodni wiceministra dostaniesz”.

Gdy nagrania zostały wyemitowane, opozycja zażądała dymisji rządu. Rokita oświadczył, że to afery większa niż sprawa Rywina. Przesadzał, ale jedno podobieństwo było uderzające – kolejna ekipa miała poczucie, że wszystko jej wolno. Oburzenie było tak wielkie, że PSL odmówił zawiązania koalicji. Politycy PiS dowodzili, że to normalne zwyczaje w politycznej kuchni, ale szybko im przypomniano, że właśnie takie zwyczaje obiecali wyplenić. Linia obrony – nie jesteśmy gorsi od poprzedników – nie była skuteczną strategią. Widząc powagę kryzysu, Kaczyński zrobił to, co robił zawsze w trudnych sytuacjach: wywołał spiskową histerię. Realną aferę postanowił ukryć pod zmyślnym spiskiem. Właśnie zbliżał się termin publikacji raportu o WSI, więc premier ogłosił orędzie, w którym nagranie rozmów nazwał „kontratakiem układu”, który chce wrócić do władzy, aby zablokować ujawnienie prawdy o sobie. Kaczyński mówił, że zna tezy raportu o WSI. Opowiadał, że prawda jest straszna, Polska jest „ubekistanem”, którym zza kulis sterują agenci. Na wiecu w Stoczni Gdańskiej mówił: „Wszystko, co dziś widzimy, spowodowane jest strachem przed prawdą i zmianami, które mają nastąpić w najbliższych miesiącach”. Twierdził, że „ci, którzy sprawę... porównują do afery Rywina są bezczelnymi hipokrytami i skończonymi łobuzami”. Na bieżąco był to kolejny etap zegnania się Kaczyńskiego z politycznym centrum, bo uderzał radykalnie, maniakalnie, obsesyjnie. Ale po latach ciekawsza jest polityczna kuchnia. Mówiąc to wszystko, Kaczyński dobrze już wiedział, że Macierewicz nie znalazł układu. Wszystko, co mówił o raporcie, o układzie, o groźbie kontrataku, było kłamstwem. Od a do z.

Ponieważ Platforma nadal się domagała rozwiązania Sejmu, Kaczyński znowu się odwinął na oślep, po furiacku uderzając w Rokitę. Minister ds. służb specjalnych ogłosił, że znalazł nowe materiały na temat inwigilacji prawicy w latach 90., kiedy Rokita był ministrem. Kaczyński oświadczył, że poznał materiały, że wina Rokity jest potworna – nie tylko wiedział o inwigilacji, lecz ją inspirował. „Poza mordami to najcięższe przestępstwo, jakie można popełnić” – oświadczył i zażądał,

aby Rokita na zawsze zniknął z polityki. Po kilku miesiącach okazało się, że nie było żadnych dokumentów w sprawie Rokity. Było to kolejne kłamstwo. W polityce kłamstwo, także bezczelne, jest częstym narzędziem, jednak w korzystaniu z tego narzędzia przez Kaczyńskiego było coś osobliwego. Nie zlecał go innym, zawsze posługiwał się nim osobiście. Cały polityczny brud – kłamstwa, pomówienia, obraźliwe epitety – z lubością brał na siebie. Był premierem, który mokrej roboty nie chciał zostawić innym.

Sejm przetrwał i rząd przetrwał, ale ponieważ nie miał większości, Kaczyński wyciągnął rękę do Leppera. Ten nie mógł odmówić – partia była głodna władzy, a widmo podatku od weksli wisiało nad głową. Więc po miesiącu wrócił do rządu. W ten sposób minęło pierwszych sto dni Jarosława Kaczyńskiego, pierwszego premiera, który nie cenił spokoju. Poobijany Lepper spokorniał, skupił się na kierowaniu resortem, stając się jednym z najlepszych ministrów rolnictwa. Idylla trwała dwa miesiące, gdy media ujawniły, że w Samoobronie kobietom oferuje się pracę za seks. Molestowane kobiety wskazały na Leppera oraz jego najbliższego współpracownika, figurę wyjątkowo obrzydliwą – prymitywnego osiłka z przeszłością donosiciela i kartoteką oszusta. Jedna z oskarżających kobiet stała się twarzą skandalu, bo dla awansów w partii uprawiała seks z jednym i z drugim. Współpracownika Leppera oskarżyła też o to, że jest ojcem jej dziecka. Opowiadała, że gdy dowiedział się o ciąży, zmuszał ją do aborcji, przysłał swojego asystenta, weterynarza, który w szóstym miesiącu ciąży robił jej zastrzyki na przyspieszenie skurczów porodowych, używając preparatu dla zwierząt. Oskarżenia ośmieliły kolejne ofiary. Ujawniła się następna kobieta, którą współpracownik Leppera zmuszał do seksu, a potem kolejna, która została przez niego zgwałcona. I jeszcze inna, którą do seksu za pracę zmuszało dwóch innych polityków Samoobrony. Premier zażądał odwołania winnych, problem w tym, że w ich gronie był również Lepper. Ten wszystkiemu zaprzeczał, ale na jaw wychodziły kolejne kompromitujące szczegóły. Media ruszyły w teren, kolejne reportaże pokazały partię, której prymitywny lider włóczył się po Polsce w poszukiwaniu seksualnych przygód. Kobiety namawiano pieniędzmi, obietnicą pracy albo groźbą jej odebrania.

Z zarzutów nie potwierdziło się jedno, kolega Leppera nie był ojcem dziecka głównej oskarżycielki. Więc prokuratura poleciła sprawdzić, czy ojcem nie jest aby Lepper. Tusk zażądał rozwiązania Sejmu, ale Kaczyński odmówił. „Rozwiązania Sejmu nie będzie – oświadczył – co najwyżej Leppera zastąpi inny polityk Samoobrony”. Przez kilka tygodni polska polityka czekała na test DNA wicepremiera, choć dla meritum nie miał on żadnego znaczenia. Problemem nie było posiadanie

nieślubnych dzieci, lecz brutalne traktowanie kobiet. Test wykazał, że Lepper ojcem nie był, więc Kaczyński sprawę uznał za zamkniętą, mimo że udział wicepremiera w ordynarnych praktykach stał się faktem bezspornym.

## DYGRESJA O NATURZE KACZYŃSKIEGO

Intrygująca była odporność premiera. Droga władzy nigdy nie jest czysta, ale z Lepperem u boku stała się marszem przez kanał. Mimo to Kaczyński rażno kroczył do przodu. Zrozumiałe było, że nie chciał oddać władzy w takim momencie, zapisując się w ludzkiej pamięci z rynsztokiem w tle. Jednak dziwiło, że idąc przez kanał, nawet nie zatykał nosa. Nie pojawiło się ani jedno świadectwo, z którego by wynikało, że Kaczyński choćby przez chwilę miał dość. Że marsz ku społecznym marginesom natrafił na opór jego inteligenckiej wrażliwości.

Kiedy rok wcześniej zdecydował się zawiązać koalicję z Lepperem, wszyscy się dziwili. Alians z Lepperem był jak zdjęcie z prostytutką, jak siedmiocyfrowe konto w szwajcarskim banku. Żaden polityk na takie wizerunkowe ryzyko nigdy by nie poszedł. Poza Kaczyńskim. Wtedy zdecydowała jego zuchwałość, potem ujawniła się inna cecha jego natury. W pierwszych tygodniach koalicji z Lepperem otoczenie Kaczyńskiego chętnie opowiadało, jak prezes się z nim męczy, jak nim gardzi, jak się nim brzydzi. Te historie miały pokazać wrażliwość prezesa, ale pokazały coś przeciwnego – że mimo niesmaku prezes wszystko przelknąć potrafi. Kilka miesięcy później, w trakcie seksafery, nie było już nawet niesmaku. Co odsłoniło kolejną cechę – elastyczność, która granic nie znała. Opinia publiczna często się dziwiła – jak Kaczyński mógł coś zrobić, coś powiedzieć, do czegoś się posunąć. Otóż mógł, bo jego zdolności adaptacyjne nie znały granic. Przystosowywał się momentalnie do każdych warunków, ewoluował w oczach, to, co przyrodzie zajmuje miliony lat, jemu zajmowało kilka miesięcy.

W trakcie seksafery zwolennicy PiS-u skreślali się ze wstydu i ze wstrętu. Marzyli, żeby Kaczyński wreszcie się pozbył Leppera. „Lepszy rząd mniejszościowy – mówili – niż barbarzyńcy u boku. Lepsze rozwiązanie Sejmu – apelowali – niż zapasy w kisielu”. Ale Kaczyński nie słuchał, nie miał ich oporów, nie czuł ich wstrętu. Dla niego była to gra, aby przejść do kolejnego etapu, musiał iść ramię w ramię z Lepperem, więc szedł. Choć Lepper stanowił jedynie połowę kompanii, był jeszcze Giertych.

## DRUGI KOALICJANT. GIERTYCH

Roman Giertych nie molestował kobiet. Na koncie nie miał też pobić, oszustw ani wyłudzeń, jak większość liderów Samoobrony. Niemniej był równie nieapetyczny. Winna była temu jego rodzina, wielopokoleniowy endecki klan, który zaszczyił mu poglądy przodków w wersji jeden do jednego. Wychowany na prowincji, z dala od świata, wiedział o nim tyle co pustelnik. Był wykształcony, myśli ujmował poprawną polszczyzną, jednak te myśli były mantrą przedpotopowego endeka. Nie lubił masonów, ateistów, kosmopolitów, socjalistów i komunistów. Nie lubił w sposób prząsny i siermiężny. Nie tyle z niechęci do lewicy, co do współczesności. Gdyby Dmowski chciał z zaświatów wskrzesić w III RP narodowy obóz, Giertych byłby jego ostatnim wyborem. Znalazłby w nim tylko antyzachodniość, klerykalizm i obskurantyzm. Nic z tego, czego lider endecji oczekiwał od nowoczesnego Polaka.

Mówił dużo o narodzie, o patriotyzmie. Ale jego polityczny profil zdefiniowały nie poglądy, lecz obsesje. Zwłaszcza na punkcie homoseksualistów. Zanim został ministrem edukacji, dowodził, że za rządów SLD „transseksualiści niemieccy za państwowe pieniądze uczyli dzieci, że płeć jest sprawą umowną”. Gdyby chociaż to mówił cynicznie, dla politycznego interesu. Ale on w to wierzył. W homoseksualistach widział mroczną siłę, która niszczy kolejne narody, ich rodziny, ich religie. Gdy objął władzę, zaczął od antygejowskiej krucjaty. Zakazał wpuszczania do szkół prelegentów z organizacji gejowskich. Ponieważ tych prelegentów nigdy nie było, ciekawsze było uzasadnienie. Giertych twierdził, że gejowskie stowarzyszenia są powiązane z mafią narkotykowymi i pedofilskimi. Chwilę potem zabronił korzystania z poradnika dla nauczycieli przygotowanego przez Radę Europy, zarzucając mu szerzenie homoseksualizmu. Rada Europy zwróciła się do rządu o wyjaśnienia, Parlament Europejski debatował nad stanem ochrony praw człowieka w Polsce. Jednak Giertych nie ustawał. To było niezwykle zjawisko. Kaczyński walczył z układem, Giertych z homoseksualizmem. To była jego misja, daleko wykraczająca poza prawicowe ramy. W środkowej Europie większość prawicowych partii wobec praw gejów była niechętna, Platforma dyskusje uciniała unikiem: „Jeszcze nie teraz”, PiS dodawał: „To nie jest dobry kierunek”. Na ich tle postawa Giertycha była nie tyle ultraprawicowa, co szalona. On nie bronił Polski

przed trendami, które szły przez Europę, lecz atakował. Chciał międzynarodowej krucjaty mającej przekonać Zachód do zmiany standardów. Na szczycie ministrów oświaty państw Unii zażądał stworzenia karty praw narodów Europy, w którą wpisany zostanie zakaz promocji homoseksualizmu. Wywołał gigantyczny skandal, zwłaszcza że oznajmił, że to stanowisko polskiego rządu. Wróciwszy do Polski, atakował dalej, zarządził wykreślenie Gombrowicza z kanonu lektur ze względu na wątki homoseksualne.

W szkolnym programie nie tylko Gombrowicz przeszkadzał Lidze, także idee Darwina. Ojciec Giertycha, eurodeputowany, zorganizował w Strasburgu konferencję, na której dowodził, że Darwin był kłamcą. Wszystkie organizmy żywe powstały w tym samym czasie, w sposób opisany w Biblii. Giertych przedstawiał dowody na prawdziwość biblijnych historii, miał na przykład obliczenia na temat wyporności arki Noego. Około 14 tysięcy ton, co pozwoliło zmieścić na pokładzie samca i samicę każdego gatunku. Konkluzją był apel o wycofanie ze szkół „ewolucjonistycznego kłamstwa”. Na apel od razu odpowiedział polski MEN, idąc znacznie dalej. Zastępca Giertycha oznajmił, że teoria ewolucji jest tylko jednym z wielu kłamstw, jakich się uczy w szkołach, i trzeba je wszystkie usunąć.

Dla rzeczywistości obsesje Ligi nie były ważne, nie doszło do prześladowań mniejszości, nie przeprowadzono rewizji podręczników. Niemniej te obsesje zbudowały wizerunek IV RP. Jej przywódca u jednego boku miał prymitywa zaciągającego siłą kobiety do łóżka, z drugiej inkwizytora ratującego przed piekłem mieszkańców Sodomy. Co ciekawe, w przerwach między krucjatami w Giertychu ujawniały się sensowna energia i pasja. Gdy nie wypowiadał swoich jaskiniowych poglądów, zgłaszał litanie merytorycznych pomysłów. Niektóre były słabe, część jednak była dobra lub bardzo dobra. Ale przez radykalizm obsesji Giertych był ostatnią osobą, której rodzice chcieli powierzyć opiekę nad dziećmi. I ostatnią, którą w tej roli akceptowała młodzież. Opozycja szybko zgłosiła wotum nieufności, a wtedy Kaczyński poszedł dużo dalej, niż musiał. Osobiście wystąpił z pryncypialną obroną Giertycha: „Wiem, że są w Polsce potężne siły, dla których samo pojęcie narodu jest nie do przyjęcia. Ale dziś rządzą ci, którzy swojego narodu się nie wstydzą”.

Było to kolejne przemówienie, które pokazało Kaczyńskiego w nowej odsłonie. W latach 90. brzydził się siermiężnym tradycjonalizmem, dewocyjną religijnością, endeckim patriotyzmem. Szukał dla prawicy poglądów bardziej liberalnych i bardziej nowoczesnych. Teraz dokonywał zwrotu. Podobnie jak Piłsudski w latach 30., kiedy się zwrócił ku endeckim żywiołom. Ale sytuacja marszałka była inna, tamto społeczeństwo było prymitywne, więc zanizanie oferty

było koniecznością, której marszałek się poddawał z głębokim wstrętem. Kaczyński postępował inaczej – endecka prawicowość była już marginesem, a on maszerował ku niej nie z konieczności, lecz z wyboru. Robił to, bo zdecydował, że społeczne bastiony PiS-u stworzy na marginesach, nie w centrum. Tam widział twardy grunt dla partii mającej lojalny elektorat i posłuszny aparat. Był to dramatyczny regres polityka, którego ambicją było kiedyś przywództwo nad centrum. Zarazem przyszłość pokazała, że na nowych pozycjach zbudował partię prywatną, o co mu zawsze najbardziej chodziło.

Większość partyjnej elity była niechętna marszowi ku marginesom, wołała nowoczesną tożsamość „popisu”. Jednak dla Kaczyńskiego była to opcja ryzykowna, bo skrojona na umiarkowanego przywódcę w stylu Marcinkiewicza. W popisowej normie nie mieściły się ani awanturnicza natura Kaczyńskiego, ani jego radykalny wizerunek. Pozostanie na centroprawicowej pozycji czyniło Kaczyńskiego bardziej problemem partii niż jej atutem, co w przyszłości mogło oznaczać ryzyko utraty przywództwa. A prezes miał obsesję na punkcie ambicji swego otoczenia, kiedyś na posiedzeniu władz partii wypalił do Dorna: „Ty, Ludwik, nie myśl, że kiedyś przejmiesz tę partię”. Przechodzenie Kaczyńskiego na prawo było obroną własnej pozycji, a gdy manewr się udał, było sposobnością do eksterminacji rywali. Wielka rzeź partyjnej elity, która zaczęła się w 2007 roku, była możliwa dzięki mocnemu przesunięciu partii na prawo. Partia prywatna mogła się zrodzić tylko w takim miejscu politycznego spektrum, w którym Kaczyński był dla partii naturalnym liderem, zaś centroprawicowi politycy jedynie ozdobą.

Główną polityczną treścią IV RP była konsolidacja zaplecza dwóch dominujących partii. Tam, gdzie sympatycy Kaczyńskiego lub Tuska widzieli wysiłek budowy IV RP albo heroizm obrony III RP, w istocie trwało przegrupowanie. Dokonywało się chaotycznie, w biegu, pod presją czasu, niemniej było najważniejszym, politycznym wysiłkiem epoki. Eksploatowano nową możliwość – utrzymania całej puli w rękach dwóch partii. Główni gracze – Kaczyński i Tusk – wyrwanie odpowiedniego kawałka społecznego tortu traktowali jako klucz do następnego rozdania. Z pierwszego, z 2005 roku, obaj byli niezadowoleni. Zaskoczyło ich, nie byli przygotowani do sytuacji, w której na scenie zostały tylko dwie prawice. Musieli na nowo zdefiniować swoje obozy, wytyczyć granice swoich wpływów. Kaczyńskiemu władza nie uderzyła do głowy. Nie chciał jej, ale gdy już miał, o przyszłości partii myślał nie mniej niż o doraźnych rządowych sukcesach. Budował nowy PiS. Ten, który swoją siłę i swoje oblicze pokazał po katastrofie w Smoleńsku.

W tej grze Giertych mało go obchodził. Był pionkiem, liczył się jego patron – ojciec Rydzyk, jedyny w Polsce posiadacz prywatnego elektoratu. Dzięki niemu zbudował Ligę i kierował nią z tylnego siedzenia. Istnienie tej partii było dla Kaczyńskiego egzystencjalnym ryzykiem. Wprawdzie w 2005 roku Ligę pokonał, ale rok wcześniej przegrał z nią wybory samorządowe. Zjeść Ligę i zachować przyjaźń Rydzyka – to było strategicznym celem Kaczyńskiego. Aby to osiągnąć, musiał przekonać Rydzyka, że ten Ligi już nie potrzebuje, że korzystniejsza będzie przyjaźń z PiS-em. Odkąd PiS wygrał wybory, był wobec Rydzyka lojalny i szczodry, władza wspierała wszystkie jego przedsięwzięcia. Giertych zrozumiał, że traci poparcie ojca dyrektora, więc gdy Kaczyński zaczął budować koalicję z LPR i Samoobroną, Giertych odmówił. Ale Rydzyk szybko mu przypomniał, kto w Lidze rządzi. W jego mediach ruszyła tak zmasowana krytyka Giertycha, że już po tygodniu musiał się poddać. Wszedł do rządu i postanowił pokazać, że tylko on ma odwagę bronić poglądów ojca Rydzyka. Nie przewidział, że Kaczyński pójdzie tym samym tropem.

Dopiero po wielu miesiącach Giertych znalazł sposobność do wykopania rowu między Kaczyńskim i Rydzykiem. Zaproponował wpisanie do konstytucji zasady ochrony życia od chwili poczęcia, co – w drugim kroku – pozwalało zaostrzyć ustawę antyaborcyjną. Strzał okazał się celny z powodu, którego Giertych nie przewidział. Z powodu prezydenta. Propozycja wywołała jego ostry sprzeciw, a także sprzeciw jego żony, która podpisała się pod apelem przeciw tym zmianom. Rydzyk się wściekł. Natychmiast zaatakował PiS. „Jestem rozczarowany – powiedział. – Myślałem, że katolicy doszli do władzy i mają coś do powiedzenia... Wiedźcie o tym, że ludzie was wyplują”. Następnego dnia zaatakował jeszcze mocniej. Tym razem osobiście prezydentową: „To skandal... Nie mówmy, że szambo jest perfumerią”. Od razu przyszła odpowiedź z Pałacu. „Moja żona została obrażona” – rozsierdził się prezydent. Był wzburzony nie tylko dlatego, że był chorobliwie czuły na punkcie swego honoru. Chodziło również o zasady. Między braćmi istniała zasadnicza różnica – w przeciwieństwie do Jarosława Lech był naturą pryncypialną, nie wszystko było dla niego grą, miał poglądy, których bronił bez względu na polityczne korzyści. Był liberalnym katolikiem i pełen zakaz aborcji, do którego parł Giertych, był dla niego nieakceptowalny. Poza tym nie znosił Rydzyka, brzydził się jego poglądami, nigdy nie przyjął zaproszenia do Radia Maryja. Spierał się w tej sprawie z Jarosławem, który go przekonywał do współpracy z Rydzykiem. Lech dostrzegał korzyści, ale dodawał, że Rydzyk wykracza poza zakres dopuszczalnej współpracy.

Jarosław łatwo przelknął obrazę bratowej. Oznajmił, że została wprowadzona w błąd, a Rydzykowi obiecał, że PiS włączy się do walki o ochronę życia. Był to blef,



Jarosław wiedział, że brat nie podpisze niczego, co może prowadzić do pełnego zakazu aborcji. W tej jednej sprawie nie mógł Rydzykowi dać tego, co chciał. Do gry wszedł prezydent, chciał pomóc bratu, ale na swoich warunkach. zaproponował zapis o ochronie życia niedający pretekstu do wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji. Giertych od razu zaatakował. Zarzucił PiS-owi zdradę chrześcijańskich wartości, nazwał ich masonami. Metodycznie wbijał klin między Rydzyka a PiS. Atakował tak mocno, że zdołał przenieść spór do środka PiS-u. 60 posłów i senatorów PiS napisało list do prezydenta z prośbą, aby wycofał swoją liberalną propozycję. W dniu sejmowej debaty na fotelach posłów PiS znalazły się kopie listu przewodniczącego Episkopatu ds. Rodziny apelujący do posłów, aby bronili życia. Położyli je tam posłowie Giertycha. Rzecznik dyscypliny PiS chodził po sali sejmowej i darł listy od biskupa. Ledwo ich się pozbył, posłowie LPR podrzucili kolejne prezenty – encyklikę Jana Pawła II w obronie życia oraz białe wstążki noszone w rocznicę śmierci papieża. Część polityków PiS wstążki przypięła, zanosilo się na bunt. Więc tuż przed głosowaniem przybył do Sejmu wściekły premier. Obiegł go tłum reporterów, traktując znaną dziennikarkę. Zarzucony pytaniami o rozłam, Kaczyński odpowiedział, że na podłodze leży kobieta i to bez butów. Urwawszy się dziennikarzom, wszedł na posiedzenie klubu. Nie ukrywał gniewu, ostro rugał posłów. Kazał im poprzeć propozycję prezydenta. Groził, że w przeciwnym razie będą wybory, a buntownicy zostaną wyrzuceni z partii. „Wolę partię mniejszą, ale zdyscyplinowaną” – oświadczył dobitnie.

Gdy liderzy PiS wchodzili na salę obrad, Giertych nucił im marsz żałobny Chopina. W istocie wygrał, kilkudziesięciu posłów poparło Giertycha. Nie wystarczyło to, aby zmienić konstytucję, ale PiS stanął na krawędzi rozłamu. Marszałek Jurek tuż po głosowaniu zapowiedział swoją dymisję. Kwadrans później zadzwonił do niego zdenerwowany Kaczyński. „Co się dzieje? To szkodzenie partii” – mówił premier. „Sam do tego doprowadziłeś” – odpowiedział marszałek. W istocie Kaczyński najpierw zgodził się, aby w sprawie aborcji posłowie kierowali się sumieniem, potem im tego zabronił. Następnego dnia było posiedzenie Rady Politycznej. Kaczyński bał się awantury, która da sygnał do rozłamu. Przed rozpoczęciem obrad spotkał się z Jurkiem, naciskał na niego, aby nie wracał do tematu aborcji. Ich rozmowa została opisana we wspomnieniach Jurka. „Wczorajszego tematu nie podejmujemy” – oświadczył Kaczyński. „Podejmujemy” – odpowiedział Jurek. Premier wpadł w furję, zaczął krzyczeć, że Jurek rozwała partię. Ten próbował mu przerwać, ale Kaczyński nie pozwalał: „Co mi tu będziesz gadał. Ja tu jestem szefem, nie ty. Dzięki mnie zostałeś marszałkiem, nawet posłem byś nie

był”. Na co Jurek spokojnie: „Marszałkiem właśnie przestaję być”. Słyszając to, premier się zachnął: „No nie, ja nie mogę. To jest agent albo wariat”. Obrażony Jurek wystąpił z PiS. A Kaczyński wrócił na salę i wygłosił tyradę o polityce zagranicznej. Politycy PiS-u byli zdziwieni, jednak się nie odważyli zmienić tematu.

Premier opanował sytuację, kryzys w partii, choć ostry, okazał się przelotny. Za Jurkiem posłowie nie poszli, a relacje z Rydzykiem szybko wróciły do normy. Giertych przegrał wojnę o sympatię Rydzyka. Przegrał dlatego, że Kaczyński przesunął PiS tak bardzo w prawo, że Liga Rydzykowi nie była potrzebna. Z wyjątkiem sprawy aborcji polityczne pozycje Rydzyka i Kaczyńskiego stały się podobne, a wrogów mieli dokładnie tych samych. W zbliżaniu się Kaczyńskiego do Rydzyka ujawniała się ciągle ta sama logika. To nie była konieczność, lecz wybór. To nie realia koalicji z Giertychem nadały PiS-owi ultrapravicowy rys. Odwrotnie, obecność Giertycha była zasłoną, pod którą Kaczyński mógł partię przesunąć tak mocno na prawo. Giertych nie był przyczyną, lecz alibi. Stało się to jasne, gdy Kaczyński, straciwszy władzę, na skrajnych pozycjach pozostał. Bieżąca percepcja wydarzeń, poczucie, że Kaczyński miota się w sieciach koalicji z radykałami, okazała się błędna. To Lepper i Giertych się miotali, bo Kaczyński pożerał im zarówno wyborców, jak i tożsamość. Zatrzymywał się w marszu ku marginesom jedynie wtedy, gdy słyszał, że to utrudni reelekcję bratu. Ale zatrzymywał na chwilę, aby potem przyspieszyć.

Ten marsz nie był owocem ani politycznego geniuszu, ani politycznego szaleństwa. Z początku Kaczyński ulegał porywom swojej awanturniczej natury. Aby po każdym radykalnym geście dowiedzieć się, że na nim nie stracił. To wytyczało kierunek na przyszłość. Im bardziej był radykalny, tym bardziej skuteczny. Im bardziej irracjonalny, tym więcej punktów zdobywał. Warunek był jeden – musiał bić bez umiaru albo w elity, albo w rzeczywistość. IV RP była lekcją uprawiania polityki za pomocą totalnej kontestacji. Przerysowanej, teatralnej, histerycznej. Z początku zadanie mogło się wydać niemożliwe, Kaczyński musiał uprawiać kontestację, występując w roli premiera. Czas pokazał, że to nie było specjalnym problemem. Kaczyński znalazł prosty schemat. Oddzielał czyny od słów. Pierwsze były racjonalne, drugie irracjonalne. Pierwsze wyważone, drugie szaleńcze. W większości resortów premier prowadził spokojną politykę państwową. Natomiast w politycznej retoryce był państwa czołowym wrogiem. Nazywał państwo – którym rządził – ubekistanem, jego dyplomatów zdrajcami, urzędników agentami. Podobna dwutorowość dotyczyła politycznych reguł – konstytucji, państwa prawa, liberalnych standardów, zasad panujących w Unii. W czynach, z paroma wyjątkami, premier ich przestrzegał.

W słowach był tych reguł krytykiem tak skrajnym, że nawet Rydzyk był zachwycony.

Rozziew między słowami i czynami sprawił, że Kaczyńskiego trudno było opisać. Jedni mówili: „Patrzcie na decyzje rządu, Kaczyński nic strasznego z państwem nie robi”. Drudzy odpowiadali: „Przecież on przeciw państwu prowadzi krucjatę”. Obie strony miały rację. Kaczyński nic państwu nie zrobił. Zarazem mobilizował siły, dla których państwo było głównym wrogiem. Co było istotą takiej praktyki? To, że Kaczyński jeszcze nie zrzucił bomby na własne państwo? Czy to, że te bomby masowo produkował? Otóż jedno i drugie. Naturą rządów Kaczyńskiego było połączenie odpowiedzialności państwowej ze społecznym wandalizmem. Kaczyński nie pozwalał podpalić państwa, ale podpalał społeczeństwo. Podpalał nie dla sprawy, lecz dla egoistycznej potrzeby. Aby mieć partię prywatną. Aby się mścić na elitach. Aby bezkarnie folgować swoim obsesjom.

Ujawniał przy tym wielki polityczny talent. Jeśli patrzeć na Kaczyńskiego przez pryzmat politycznych niezdar, jakie zaludniały III RP, był niewątpliwie olbrzymem. Jeśli patrzeć przez pryzmat jego własnych ambicji, o których opowiadał przez 15 lat, był karłem. Rok bycia u władzy zmarnował na budowę partii prywatnej, na okradanie Leppera i Giertycha z ich społecznych zasobów, na okopywanie się przed Tuskiem na defensywnych pozycjach. Na społecznych marginesach, wśród staruszek dewotek, wśród życiowych rozbitków, wśród frustratów szukających winnych swego losu. Okopał się tam, wiedząc dobrze, że z tamtych pozycji trudno się bić o władzę, a jeszcze trudniej o sprawczość. Właśnie przed chwilą doświadczył tego na własnej skórze. Sama wizja koalicji z Lepperem i Giertychem wystarczyła, aby zwycięski PiS stracił możliwości działania. Jeden mocniejszy konflikt z elitami doprowadził do tego, że nie przeforsował reformy wymiaru sprawiedliwości. A przecież teraz szedł dużo dalej. Kaczyński świadomie rezygnował z wielkich ambicji. Z chęci poważnych zmian. Z polityki rozumianej jako coś więcej niż źródło dochodu, prestiżu i znaczenia.

O Kaczyńskim mówiono, że jest jedynym politykiem, któremu o coś chodzi. Mówili tak zwolennicy, jak również wrogowie. Ale to nie była prawda. Obsesyjność pomyłono z ideowością. Zuchwałość z determinacją. Kaczyński był typowym politykiem – poglądy były dla niego narzędziem, za pomocą którego łowił społeczne poparcie. Jeśli w czymś był nietypowy, to w zdolności tworzenia wokół siebie aury pryncypialności.





# **Rozdział IV**

## **Wojna z układem**



## WIATR HISTORII

**C**zasem w historii wszystkie wydarzenia pracują na rzecz jednego scenariusza. Tak właśnie było w Polsce na początku XXI wieku, kiedy każdy fragment rzeczywistości pchał ją w kierunku antyestablishmentowej rewolty. Przede wszystkim narastający w społeczeństwie gniew. W 2001 roku dawne partie solidarnościowe, których koalicja tworzyła rząd Buzka, zostały zmiecione z politycznej sceny i wkrótce umarły. Przejęcie władzy przez Millera niczego nie zmieniło. Premier, któremu w dniu wyborów udzielono wielkiego poparcia, kilka miesięcy później dramatycznie dołował w sondażach. Okazało się, że społeczeństwo miało dość nie konkretnej ekipy, lecz całej polityki. Nagradzało wyłącznie kontestatorów. Radykałowie spod znaku Leppera i Giertycha nie schodzili w sondażach poniżej trzydziestu procent. Gdy PiS i PO zaostrzyły kurs, zbierały jeszcze więcej. Aby dostać poparcie, nie wystarczyło krytykować władzy, lecz wszystko, co się działo po 1989 roku. To nie była kontestacja selektywna, ale totalna. Nie bieżąca, lecz systemowa. Lepper dowodził, że cała polska polityka jest festiwalem złodziejstwa i głupoty, Kaczyński twierdził, że jest fragmentem układu, Tusk, że jest klasą próżniaczą. Wygrał Kaczyński, bo jego krytyka była najbardziej radykalna. Gniew na politykę w 2005 roku nie był hipotezą, lecz głównym faktem epoki. Kto gniewem nie pałał, z polityką się żegnał. Ten gniew był powtórką z 4 czerwca 1989 roku – poczuciem, że wszystko, co nowe, będzie lepsze od tego, co jest. Polacy żegnali się z rządami SLD z tą żarliwą potrzebą zmiany, z którą żegnali się z PZPR. Była to emocja przesadna, co nie zmienia faktu, że była realna.

Drugim gestem rzeczywistości było reanimowanie teorii układu. Swoje dobre lata miała już dawno za sobą, ze świeżej, przenikliwej hipotezy zamieniła się w obsesyjny dogmat. Ale właśnie wtedy, gdy stała się karykaturą, rzeczywistość obwieściła, że rozpoznaje się w tym lustrze. To była dziwna historia. Teoria układu powstała z potrzeby zrozumienia polskich wydarzeń. Po 1989 roku polskie elity żyły w naiwnym przekonaniu, że wystarczy ogłosić demokrację i rynek, aby je mieć. A potem wystarczy je popierać uczuciem i słowem, aby je w dobrym zdrowiu zachować. Transformację postrzegano jako proces nieskomplikowany, podobny do przejścia na drugą stronę rzeki. Jedynym problemem było społeczeństwo, które z lenistwa lub niemądrego podszeptu zaniecha marszu na drugi brzeg. Jeden

Kaczyński próbował zrozumieć, co dokoła się dzieje. Szukał sprężyn zmian, ich logiki, ich skutków. Odczarował transformację, opisywał ją nie jako mit, ale jako rzeczywisty proces. Społeczny, polityczny i gospodarczy. W którym muszą być beneficjenci i ofiary, sukcesy i porażki, zmiany realne i zmiany pozorne, zmiany na dobre i zmiany na złe. Pochylił się również nad *ancien régime*'em. Gdy stare porządki padają, dawne elity nadal odgrywają poważną rolę, czasem z pożytkiem dla nowej epoki, czasem z ewidentną szkodą. Kaczyński tropił więc dawne twarze w nowych realiach, starając się opisać ich rolę.

Gdyby na tym wysiłku poprzestał, byłby najciekawszym umysłem epoki. On tymczasem ześliznął się w pospieszne potępienia. Największe szkody przyniosła wiedza, jaką czerpał od brata, wówczas szefa NiK-u. W pierwszych latach w Polsce działy się rzeczy dziwne, czasem wręcz dzikie. Wielka zmiana wprowadziła do gry prawdziwe wilki. Wokół intratnych biznesów epoki – kantorów, handlu wódką, prywatyzacji, zamówień rządowych – pojawił się tłum awanturników: skorumpowanych urzędników, oficerów dawnych służb, przestępców, a nawet mafiosów. Przez kilka lat bezkarnie okradali państwo. Lech przynosił z NiK-u kolejne sensacyjne historie, z których Jarosław układał coraz mroczniejsze opisy. Teoria układu powstała w trzech krokach. Najpierw całe transformacyjne zło związał Kaczyński z postkomunistami. Potem zło nadał status większościowy, uznając, że nie jest ono defektem w tkance nowego systemu, lecz jego istotą. Na koniec uznał, że zło jest efektem działania świadomego, zaplanowanego i zorganizowanego. A zatem z istnienia transformacyjnego zła wyciągnął Kaczyński wniosek o istnieniu diabła. Demonicznej elity, która wszystkim zawiaduje. Jako szefów układu wskazał Wojskowe Służby Informacyjne, jedyną służbę specjalną, która po 1989 roku nie przeszła weryfikacji, zaś ci, którzy sami z niej odeszli, wzięli udział w największych przedsięwzięciach finansowych epoki. Kaczyński wskazał na WSI nie dlatego, że dużo o nich wiedział, ale dlatego, że nie wiedział nic. Ulokował zło wedle logiki, że mieścić się musi tam, gdzie jest najciemniej.

Po 15 latach transformacji Kaczyński operował diagnozą, która miała jeden tylko atut – nie odwracała się od faktu dzikiej walki o własność w pierwszej dekadzie zmian. Wszystko inne było w niej wątpliwe. Zwłaszcza przekonanie, że wspólnota dawnych grzechów doprowadziła do zawiązania syndykatu zbrodni, który przejął władzę nad Polską. W 2003 roku teoria układu była anachroniczna, gołosłowna i obsesyjna, nieciekawa nawet dla zbuntowanej publiki. I nagle seria przypadków dodała jej skrzydeł. To był zdumiewający spektakl, kolejne afery, które wybuchwały w epoce Millera, uwiarygadniały istnienie układu. Afera Rywina, Dochnała, Orlenu,



Starachowice, paliwowa. Wszystkie rozgrywały się w samym centrum władzy, czołowe role odgrywali w nich chciwi i sprzedajni postkomuniści, dookoła roilo się od służb, a w tle pojawiała się zorganizowana przestępczość. Jak w opowieściach Kaczyńskiego – najważniejsze decyzje podejmowano przy stoliku, wokół którego zasiedli oligarchowie, skorumpowani politycy, przestępcy i służby. Żadne wydarzenie nie było dowodem na istnienie układu, każde pokazywało zbyt wąski wycinek, ale wszystkie wycinki idealnie pasowały do obrazka namalowanego przez Kaczyńskiego. Patrząc na tamte wydarzenia z wiedzą o ich finale, nie sposób się oprzeć wrażeniu, że los drwił sobie z Polaków. Całą sekwencją wydarzeń przekonywał ich do fałszywej wizji. Nawet do jej najbardziej szalonego fragmentu dotyczącego demonicznej roli WSI. Przez dekadę poza Kaczyńskim nikt o tych służbach nie mówił. I nagle po 2002 roku afera zaczęła gonić aferę. Wśród baronów mafii paliwowej znalazło się kilku oficerów WSI. Kilku innych pracowało dla rosyjskiego wywiadu. Jeszcze inny dla amerykańskiego. Na jaw wyszła sprawa sprzed dekady, kiedy WSI sprzedawały broń do Jugosławii. Okazało się, że nie tylko tam – sprzedawały też broń arabskiemu terroryście, powiązanemu z bin Ladenem. Sprzedawały też mafii rosyjskiej. Żadna z transakcji nie była operacją państwa, ale nielegalnym interesem robionym na boku. Handlowano nawet jadem węży. Był jeszcze jeden element, który wzbudził nieufność. Służby wojskowe w 1989 roku nie przeszły weryfikacji, a ich archiwa zostały spalone. Jednak nie w całości, okazało się, że niektóre teczki przetrwały i są w posiadaniu szefów WSI. W tym – teczki na temat pracowników konkurencyjnych służb cywilnych. Dwa lata afer sprawiło, że reputacja WSI legła w gruzach. Platforma zażądała rozwiązania WSI. Uznała, że tak zdegenerowanej struktury nie warto naprawiać, lepiej powołać nową. Inne wnioski wyciągnęli zwolennicy Kaczyńskiego. Ich zdaniem demoniczna rola WSI została udowodniona.

Lawina zdarzeń wspierających tezy Kaczyńskiego nie miała końca. Dowody przybywały nawet z zagranicy, zwłaszcza z Rosji. W latach 90. panowało przekonanie, że cały postsowiecki świat zmierza w stronę Zachodu. Jedni maszerują szybciej, drudzy wolniej, ale wszyscy w tę samą stronę. Jednak od 1999 roku, odkąd władzę przejął Putin, obraz mocno się skomplikował. Na czele państwa stanął niedawny szef FSB, władzę objęli siłowicy, Rosja wróciła do starych symboli i do starych praktyk. Każdy rok przynosił dowody na to, że reformy lat 90. były fasadą, pod którą swoje interesy skryły dawne KGB, świat przestępczy oraz oligarchowie. Każdy rok przynosił dowody na to, że w Rosji układ postkomunistyczny istnieje naprawdę. Niedługo potem Polacy dowiedzieli się, że podobnie jest na Ukrainie. Nie

był to dowód na to, że w Polsce jest tak samo, ale teoria postkomunistycznego układu jako jednej z dróg wychodzenia z komunizmu przestała być intelektualnym szaleństwem. To był wariant, który naprawdę się spełnił. Wariant, który – biorąc pod uwagę wielkość Rosji i Ukrainy – okazał się główną ścieżką wychodzenia z komunizmu.

Kiedy jesienią 2005 roku obóz Kaczyńskiego wygrał podwójne wybory, nie tylko on miał poczucie, że historia przyznała mu rację. Liryczny obraz polskich zmian został tak mocno skompromitowany, że demoniczny zyskał status dowiedzionej diagnozy. Gdyby polskie elity miały więcej rozumu, w obiegu byłyby trzy diagnozy – liryczna, realistyczna i demoniczna. Ale środkowej oferty nie było. Polska polityka płaciła cenę za podział pracy, który się utarł od początku III RP, w którym jedni zmian bezkrytycznie bronili, drudzy je krytykowali zawzięcie. Zamknięta w prostym schemacie wyobrażenia Polaków z jednej skrajności przejść mogła tylko w drugą. Ci, którzy nie chcieli widzieć żadnej patologii, doprowadzili do władzy tych, którzy widzieli same patologie. Gdyby to oznaczało konflikt przerysowanych obrazów świata, nie byłoby najgorzej. Kraj zaludniony przez notorycznych optymistów i programowych pesymistów mógłby stworzyć klimat cieplej groteski. Kłopot w tym, że różnica postaw spełniała się we wzajemnej wrogości. Jedna strona oskarżała drugą o prowadzenie kraju do katastrofy.

Przez chwilę istniała szansa na kompromis, za sprawą dwóch osób – Rokity i Tuska. Po sprawie Rywina dokonali czegoś realnie ważnego, zaakceptowali perspektywę obu stron. Stąd zrodziła się magia „popisu”. To było połączenie dwóch nurtów polskiego myślenia, które się rozjechały ponad racjonalną miarę. Jednak wynik wyborczy proces zatrzymał, władza zamiast mediatorowi dostała się jednej ze stron sporu. Wrogość wróciła w stare koleiny. Konflikt, który się właśnie wypalał, rozognił się do skali wcześniej nieznanej.

W tej historii uderzały dwie rzeczy. Po pierwsze, że siły niezależne od woli polityków tak mocno pchały wydarzenia w jednym kierunku – ku konfliktowi obu obozów. Społeczny gniew, wysyp afer uwiarygadniających teorię układu, związany z tym wyborczy sukces PiS-u oraz nieuchronny w tej sytuacji rozpad „popisu”. Mówiąc w skrócie: zapadał zmierzch, gdy nagle Tutsi i Hutu odkryli, że ktoś im zostawił maczety na progach. Jednak w następujących potem wypadkach uderzające było nie to, że były tak brutalne, ale że były aż tak łagodne. I to jest druga osobliwość epoki: emocjom rozpalonym do poziomu hysterii, w sferze faktów realnych towarzyszył niemalże bezruch. Wzajemna nienawiść spełniała się w słowach. Nikt o maczetach nawet nie myślał. Wrażliwość tamtej epoki była tak bardzo

pacyfistyczna, że nie zauważono największej osobliwości zapowiadanej wojny z układem. Na wielką wojnę Kaczyński szedł bez ostrych narzędzi. Bez żądania ujawnienia źródeł majątku oligarchów, bez groźby konfiskaty mienia, bez planu nękania ich kontrolami, odbierania koncesji, bez wyznaczenia polskiego Chodorkowskiego, którego zniszczeniem innych przerazi. Bano się zapowiedzi Kaczyńskiego, porównywano go do Putina, tymczasem jego plany były nieśmiałe. Kaczyńskiemu uznanie i władzę dała komisja w sprawie afery Rywina, więc walkę z układem wyobrażał sobie jako kolejną sejmową komisję. Po wyborach chciał powołać megakomisję, która zbada historię III RP. Wyobrażał sobie, że posłowie będą przesłuchiwać polityków, oligarchów i oficerów służb z taką sprawnością, że wyciągną wszystkie ich grzechy. Potem prokuratura zbierze materiały i przeszłość zostanie rozliczona. Plany na przyszłość też nie były drapieżne. Nie będzie WSI, więc układ straci głowę. Nie będzie nieujawnionych teczek, więc narzędzie nacisku na polityków zostanie zniszczone. Wszystkie kluczowe stanowiska obejmą politycy PiS, co da gwarancję, że będą spoza układu. A gdyby ich swędziały ręce, pilnować ich będzie CBA. Kto zna realia walki z mafią we Włoszech czy USA, wie, jak kruche były wybrane narzędzia. Kaczyński na wojnę z układem – który opisywał jako wielkie imperium – wziął pistolet na wodę i gumowe kajdanki.

## PIERWSZE KROKI

Po wyborach na froncie walki z układem niewiele się działo. Na starcie zaliczył Kaczyński porażkę: powołanie sejmowej megakomisji okazało się niemożliwe, konstytucja zezwala na komisje w sprawie jednej afery, a nie wszystkich możliwych. Na wymarzone narzędzia – ustawę o WSI, CBA i lustrację – musiał poczekać, dopiero trwały prace nad nimi. Na wiele miesięcy wysiłek tropienia układu wziął na siebie Ziobro. Ten palił się do czynów, wznawiał stare śledztwa w sprawach, w których oskarżani byli politycy Sojuszu, zwłaszcza Miller i Kwaśniewski. W pravicowej mitologii były to ważne etapy z dziejów układu, ale po kilku miesiącach okazało się, że wertowanie starych spraw jest ślepą uliczką. Ziobro zmienił metodę, powołał grupę prokuratorów specjalnych mającą być odpowiednikiem Centralnego Biura Śledczego. Kiedyś CBS zniszczył mafię, teraz odważni prokuratorzy mieli zniszczyć układ. Pomysł wydawał się dobry, ale nie przyniósł owoców. Ziobro spodziewał się, że samo przejęcie prokuratury da mu wgląd w listę spraw, które zamiast do sądów trafiły do szuflad. Jednak w szufladach niczego nie było. Ziobro zaczął więc rozdymać sprawy małe do rangi wielkich. Od kilku lat prokuratura prowadziła śledztwo w sprawie łapówek, jakie brali wysocy urzędnicy Ministerstwa Finansów. Ziobro zarządził aresztowania. W środku dnia urzędnicy zostali z ministerstwa wyprowadzeni w kajdankach. „Ci, którzy nie wierzyli w istnienie układu, teraz mają dowód” – oświadczył Ziobro na konferencji prasowej. Ale dobrze wiedział, że to nie układ, lecz płotki. 10 miesięcy rządów PiS zapisało się jako seria tyrad Kaczyńskiego na temat wszechmocy układu oraz jeszcze większej liczby konferencji Ziobry, na których dowodził, że nowa władza siedzi już diabłu na ogonie. Ale pytany o szczegóły ogona opisać nie potrafił.

Kiedy Marcinkiewicza zastąpił Kaczyński, presja na sukces wzrosła. Właśnie weszły w życie ustawy o WSI i CBA. Po dwóch tygodniach od przejęcia władzy u jednego boku premiera pojawił się Macierewicz, u drugiego Kamiński. Ale ich sytuacja prosta nie była. Aby przeszukać archiwa WSI, Macierewicz potrzebował długich miesięcy. Podobnie Kamiński – miał skompletowaną ekipę, ale na pierwsze wyniki trzeba było poczekać. Ciężar walki z układem nadal spoczywał na dawnych strukturach. Te, nie mając realnych sukcesów, uciekły w medialne igrzyska. Prostych zatrzymań zaczęli dokonywać funkcjonariusze CBS. Ubrani jak antyterrorysty –

w kominiarki, hełmy, z karabinami maszynowymi w rękach – w świetle kamer dowozili płotki na przesłuchania. Media zaczęły pisać o państwie policyjnym, co budziło u Kaczyńskiego rosnącą irytację. On widział sprawę odwrotnie, państwo było słabe, nie potrafiło wytropić choćby fragmentu układu. Kaczyński tego nie rozumiał, co kilka tygodni wzywał kluczowe postaci. Ziobrę, Dorna, szefa ABW, prokuratora krajowego. Prosił o bieżące informacje, plany, oceny.

W tym zespole szybko się ujawniła różnica postaw – Ziobro kipiał entuzjazmem, Dorn sceptycyzmem. Ziobro wierzył w szybki sukces, Dorn przeciwnie. Ziobro ciągle się chwalił sprawami, nad którymi pracuje, relacjonował ich szczegóły, wyolbrzymiał znaczenie zebranych materiałów, zapewniał, że jest o włos od sukcesu. Wiedział, że Kaczyński tego oczekuje, a był karierowiczem doskonałym. Potrafił podejść do Kaczyńskiego i powiedzieć: „Jest pan najlepszym premierem, jakiego znam, także z historii”. Albo oświadczyć: „Panie premierze, tak jak pan nie mam rodziny, bo chcę się cały poświęcić dla kraju”. Z początku Jarosław był nieufny, widział w nim zarozumiałego młodzieńca, który mocno mu podpadł po wyborach. Dostał świetny wynik, ale chwalił się nim bardzo niedojrzale. Nazajutrz po wyborach przyszedł na posiedzenie komitetu politycznego ostentacyjnie spóźniony. Podszedł do swojego o dwadzieścia lat starszego rywala z Krakowa, późniejszego szefa służb, i powiedział z udawaną radością: „Gratulacje! Świetny wynik! Dostałeś kilkanaście tysięcy głosów!”. „A ty ile dostałeś?” – spytali koledzy. „Jakieś 120 tysięcy” – rzucił Ziobro od niechcienia. Kaczyński aż się zachnął. „Widzieliście to, panowie? Co za bezczelność!” – powiedział do współpracowników. Nie znosił młodych ludzi nierespektujących wiekowych hierarchii. Jednak z czasem się do Ziobry przekonał. Podobało mu się, że ten młody prawnik odważył się pójść na wojnę z całym środowiskiem, podobało mu się, że nie ugiął się nawet wtedy, gdy elity zapalały nienawiścią do niego. Widział w nim karierowicza, ale widział też człowieka gotowego do walki, a to było dla niego najważniejsze. Kaczyński szczerze wierzył w demoniczność układu, więc do walki z nim posyłał jednostki szczególne. Wiedział, że Macierewicz niebezpiecznie przekracza granicę politycznego szaleństwa, ale uważał, że tylko taki człowiek się nie wystraszy układu. Wiedział, że Kamiński jest fanatykiem, ale sądził, że tylko taka natura sprosta ciśnieniu misji. Również w Ziobrze dostrzegł potrzebną cechę – nadgorliwość. Natomiast Lech, który był patronem kariery Ziobry, z czasem stracił do niego zaufanie. Bał się właśnie tego, co polubił Jarosław. Niedojrzałości, entuzjazmu, pochopności. Powtarzał współpracownikom, że Ziobro „jest 35-letnim mężczyzną o mentalności 25-latka”. Wieszczył, że „Ziobro kiedyś wywróci rząd”.

Z kolei Jarosław problem widział w Dornie. Do drużyny idącej na wojnę z układem coraz mniej mu pasował. Był zbyt racjonalny, zbyt chłodny. Nie wierzył w polowanie na układ zakończone spektakularnym sukcesem. W śledztwo, które wywoła społeczny wstrząs. Nie wierzył w powtórkę z afery Rywina. I słusznie, bo była ona przypadkiem niezwykłym. Rozegrała się z filmową klarownością. Wystąpiły w niej czołowe publiczne postaci; fabuła była prosta – żądanie łapówki za ustawę; z kluczowego momentu afery – złożenia oferty – pozostały dobrej jakości nagrania. Inne afery tak nie wyglądają, zwykle są zagmatwane, wielowątkowe, trudne do zrozumienia, niejednoznaczne w ocenie. Tymczasem Kaczyński wierzył w coś, co Dorn nazywał „afery Rywina razy dziesięć”. W przypadek tak dobitny, że wszyscy zobaczą, że układ istnieje. Wierzył, bo jego wyobrażenie układu było spiskowo-kryminalne, była to grupa przestępców na każdym poziomie – kraju, województwa, miasta. Grupa, którą można pokazać w chwili popełniania przestępstwa. Dorn takie myślenie odrzucał, miał inną wizję układu, nie personalną, lecz systemową. Uważał, że patologie tak głęboko wgrzyzły się w tkankę społecznego życia, że problemem nie są ludzie, lecz utrwalone przez lata praktyki, które patologie uczyniły powszechną ścieżką działania. Te różnice prowadziły do innych strategii działania. Dorn nie chciał układu tropić, chciał mu dać odpór. Podobnie jak Rokita był zwolennikiem naprawiania państwa, aby miało siłę narzucić zdrowsze reguły. Skupił się na przeglądzie policyjnych kadr, na analizie stosowanych procedur, na cierpliwym wprowadzaniu poprawek. Kaczyński z początku to akceptował, ale gdy został premierem, jego cierpliwość się wyczerpała. Zaczął naciskać na szybki sukces, na spektakularne akcje. Tłumaczył Dornowi, że nie mają czasu, że rozbicie układu jest warunkiem politycznego sukcesu, że ta obietnica dała PiS-owi władzę w 2005 roku i tylko jej spełnienie pozwoli ją utrzymać w następnych wyborach. Dorn nie uległ presji, więc napięcie rosło. Kaczyński zaczął go oskarżać, że dał się omotać generałom, że układ go ograł. Aż wreszcie po pół roku odebrał mu urząd.

## PIERWSZE CIOSY W UKŁAD

Wraz z odejściem Dorna skończyła się epoka bezruchu. Ekipa Kaczyńskiego ruszyła do boju. Z tym, co miała, czyli z niczym. Pierwszy zaatakował Kamiński. Jednym z miejsc, które sprawdzali agenci CBA, był szpital MSWiA. Podślucho szefa kliniki kardiologii, który w telefonicznej rozmowie z lekarzem dyżurnym mówił, że przeszczep, którego ostatnio dokonał, był błędem, że trzeba chorego odłączyć od aparatury, ale nie na intensywnej terapii, ale aranżując fikcyjną operację, w czasie której umrze. Dla laika brzmiało to brutalnie. Szef kliniki mówił: „Spróbujcie odłączyć to... przecież nie będziecie siedzieć cały weekend”. Dyżurny odpowiadał: „Jak odłączymy będzie pa, pa”. CBA poszło tropem lekarza, założono w szpitalu podsłuch i kamery. Szybko się okazało, że pacjenci zostawiają lekarzowi prezenty, także koperty z pieniędzmi. Agenci zaczęli przesłuchiwać otoczenie lekarza. Jedni pacjenci mówili o łapówkach, inni o altruście ratującym życie, pielęgniarki skarżyły się na szefa, że nadużywa władzy, krzyczy, wyżywa się. Typowy chaos informacyjny. Zamiast zarzuty sprawdzić uważnie, Kamiński i Ziobro przygotowali pospieszne oskarżenie. Nagraną rozmowę uznali za tak mocny materiał, że nie czekali na twarde dowody. Do szpitala została wysłana kolejna ekipa w kominiarkach, chirurga skuto kajdankami, jego wyprowadzenie sfilmowały kamery. Chwilę potem odbyła się wielka konferencja prasowa z udziałem Kamińskiego i Ziobry. Zarzucili lekarzowi zabójstwo, łapówki i mobbing. Przemawiali pewnie, twardo, jak ludzie mający niezbite dowody. Ziobro zarzucił mu dokonanie morderstwa i triumfalnie oświadczył, że „nikt nigdy nie będzie już pozbawiony życia przez tego pana”. Równie ostro przemawiał Kamiński: lekarz „roztaczający wokół siebie aurę wirtuoza polskiej kardiologii to cyniczny i bezwzględny łapówkarz”. Oskarżyciele wykazali się jednak ignorancją medyczną. Główny zarzut – zabójstwa – już po kilku dniach okazał się nie do utrzymania. Kardiolog nie zrobił niczego, co wykraczało poza medyczne standardy. Na spotkaniu z szefami pionów śledczych Kaczyński spytał, czy zarzut zabójstwa był zasadny. Usłyszał, że nie. Na co odpowiedział spokojnie: „To wynika z niedoświadczenia Mariusza Kamińskiego, to jest jednak młoda służba... Każdemu w tej młodej służbie może się jeszcze zdarzyć błąd”. Kolejne oskarżenia zostały zweryfikowane już po upadku rządu. Zarzut mobbingu w ogóle nie miał sensu,

prokuratorzy dali się nabrać na marudzenie pielęgniarek, które szef kliniki zmuszał do wydajnej pracy. Tylko zarzut łapówkarstwa został potwierdzony. Przynajmniej w kilku przypadkach od łapówki lekarz uzależnił wykonanie operacji, za co został skazany. Byłoby to choćby śladowe uzasadnienie akcji przeciw lekarzowi, gdyby nie to, że wyszły na jaw manipulacje CBA i prokuratury. Udostępnione opinii publicznej nagrania z pokoju lekarza zostały zmontowane pod tezę. Wycinano sceny, kiedy lekarz odmawiał łapówki, oddawał koperty, a jednego pacjenta wręcz wypychał z pokoju. Doklecano natomiast sceny, kiedy wkładał coś do kieszeni.

Kaczyński nie zrażał się porażką. Zwłaszcza że Ziobro oświadczył, że wpadł na trop układu, gigantycznej mafii węglowej. Sprawę zreferował premierowi na spotkaniu z szefami innych służb. Powiedział, że występują w niej czołowi politycy SLD. Dowodzili, że to jest „megaukład”, którego ujawnienie pozwoli spełnić obietnicę wyborczą. Zebrane oskarżenia uznał za mocne. Wsparł go szef ABW, powiedział, że nakaz aresztowania dostanie bez trudu. „A dowody dla sądu?” – spytał jeden z uczestników narady. „Trochę posiedzi, to się znajdą dowody” – replikował szef ABW. Ale premier nie chciał kolejnej wpadki. Oświadczył, że jeśli ma dojść do aresztowań, prokuratura musi zebrać „mocne dowody”, bo inaczej SLD „nas rozjedzie”.

Zaczęły się przygotowania do akcji, która stanie się głośna pod nazwą „sprawa Barbary Blidy”, byłej minister budownictwa, polityka Sojuszu. Jej koleżanką była jedna z najbogatszych bizneswoman, która zbiła fortunę na kontraktach z państwowymi kopalniami. Jeszcze w czasach rządów SLD prokuratura odkryła, że podobnie jak wiele firm handlujących z kopalniami oszukiwała Skarb Państwa na wielką skalę, a być może nawet dawała łapówki za korzystne ustawy. Kobieta została zatrzymana. Po wyborach zainteresowało się nią ABW, bizneswoman poszła na współpracę, mówiła dużo – w zeznaniach oskarżała prezesów spółek węglowych, jak również lewicę. Twierdziła, że pieniądze od spółek węglowych zasiliły kampanię Kwaśniewskiego, że trafiły na konto śląskiego barona. Blidę oskarżyła o to, że w jej imieniu wręczyła łapówkę szefowi kopalni. Jej opowieści były ciekawym materiałem do dalszego śledztwa, ale jako dowody wciąż były słabe. Ziobro chciał się jednak wykazać. Raportował premierowi, że sprawa jest mocna, że Blidę trzeba aresztować. Kaczyński postawił warunek – aresztowanie ma być cywilizowane. Żadnych kamer, żadnych kajdanek. O szóstej rano funkcjonariusze weszli do domów kilku prezesów spółek węglowych, a także do domu Blidy. Aresztowanie prezesów przebiegło spokojnie. Natomiast Blida – jak oświadczyła ekipa z ABW – wbiegła do łazienki, złapała rewolwer i popełniła samobójstwo. Nie tak miała wyglądać walka z układem.



W Sejmie wybuchła dzika awantura. Opozycja krzyczała, że brutalna władza zaszczyła niewinną ofiarę. PiS krzyczał, że skoro się zabiła, musiała być winna. Ale od początku PiS ten spór przegrywał. Polała się krew, rodząca się czarna legenda IV RP miała swoją ofiarę, miała dowód brutalności rządów Kaczyńskiego.

Prawdę udało się poznać kilka lat później, wraz z wyrokami w kolejnych procesach. Mafia węglowa była jedynie grupą nieuczciwych prezesów. Hipoteza istnienia takiej mafii nie była jednak konfabulacją Ziobry, lecz podejrzeniem prokuratury, które zrodziło się jeszcze w czasach SLD. Wobec Blidy oskarżenia były dramatycznie słabe, jednak nie zostały spreparowane przez PiS. To bizneswoman wyczuła polityczne wiatry i cynicznie oskarżała koleżankę. Aresztowanie Blidy było niepotrzebne, niemniej było dopuszczalne. Naciski na śląskich prokuratorów zbadał zarówno sąd, jak też sejmowa komisja. I tych nacisków nie było. Ani ze strony premiera, ani ze strony Ziobry, ani ze strony szefa ABW. W całej sprawie jedynym skazanym okazał się porucznik kierujący ekipą, która przyszła aresztować Blidę. Nie przeszukał mieszkania, pozwolił aresztowanej sięgnąć po broń. Wielka polityczna zbrodnia po latach okazała się sprawą, w której ważnych jest tylko kilka sekund aresztowania. Bo wiele wskazuje na to, że Blida nie popełniła samobójstwa, lecz w panice złapała za rewolwer, a gdy w szamotaninie próbowano go jej odebrać, broń wypaliła. Jedyne uchwytne matactwa popełniło kilku funkcjonariuszy, którzy ze strachu przed odpowiedzialnością zacierali w domu Blidy ślady swojej nieudolności. Było prawdą, że PiS polował na polityków Sojuszu, sądząc, że są kręgosłupem układu. Ale polując na nich, prawa nie złamał.

## DYGRESJA NA TEMAT SPOSOBU OPISU TAMTYCH WYDARZEŃ

W epoce rządów Kaczyńskiego opinia publiczna miała poczucie, że świat ruszył z posad. Wydarzenia, opowiadane tu jedno za drugim, działały się w tym samym czasie. Ich gęstość dała epoce aurę gorączkowości, a ludziom poczucie rewolucyjności. Po latach jednak, gdy się rozsypuje nitki wydarzeń, każde się okazuje raczej wątlą historią. Aż trudno uwierzyć, że na bieżąco Polacy mieli poczucie przełomu. Jednak to nie było szaleństwo, po prostu dramaturgia wydarzeń była niezwykła. Z wybuchu rewolucji francuskiej ludzkość najmocniej zapamiętała zburzenie Bastylli, wydarzenie nieważne, bo w sławnym więzieniu siedziało już tylko sześć osób. Jednak to był ten gatunek niewydarzeń, które trafiają do wyobraźni swoją sensacyjną oprawą. W Czwartej RP sporo było takiej właśnie oprawy. Niemal każdego dnia działo się coś symbolicznego, malowniczego, ekscytującego. Kogoś zakuto w kajdanki, kogoś podsłuchano, ktoś się zastrzelił. Jeden polityk gwałcił kobiety, drugi gwałcił rozum. Widząc, że Bastylia pada, Polacy malowali twarze w barwy wojenne. Szli bronić wolności, demokracji, praworządności – jedni przed Trzecią RP, drudzy przed Czwartą. W tym spektaklu rząd i opozycja grały po tej samej stronie, wspólnie budując iluzję rewolucji. Opozycja, aby nią straszyć, władza, aby się nią chwalić. Po latach z tego teatru niewiele zostało. To była rewolucja gestów, nie czynów. Rozegrała się w mediach, nie w rzeczywistości.

Po latach prawdę można wskrzeszać na dwa sposoby. Wracając do dawnych emocji, czyli oddając klimat epoki, jej gorączkę, jej rozhuśtanie, jej obawy i jej nadzieje. Albo też skupiając się na materialnej stronie polityki, na konkretnych czynach, decyzjach, skutkach. Jedna i druga opowieść jest historią prawdziwą. Pierwsza pochyla się nad społeczeństwem, druga nad władzą. Pierwsza jest historią narodu i jego doświadczeń, druga historią polityki i państwa. Ponieważ ta książka dotyczy drugiego tematu, społeczne przeżycia i mity zejść muszą na drugi plan. W IV RP najciekawsze jest nie to, czy dała społeczeństwu poczucie zerwania politycznej ciągłości, bo bez wątplenia dała. Ale to, czy pod tym poczuciem kryło się rzeczywiste zerwanie. Dlatego kolejne wydarzenia epoki są opisywane szeroko jedno za drugim. Nie zasługują na to, nie były tak ważne, ale aby im to znaczenie odebrać, trzeba je szerzej opisać.

## SZTURM NA WSI I ARCHIWA SB

Jesienią 2006 roku, w trzecim miesiącu rządów Kaczyńskiego, Wojskowe Służby Informacyjne przestały istnieć. Jednostkę rozwiązano, funkcjonariuszy zweryfikowano, część przeszła do nowego wywiadu wojskowego, resztę zwolniono. Układ został rozbity. Pozostało jeszcze dowieść, że wcześniej istniał. Zajął się tym Macierewicz. Raport z likwidacji WSI miał być anatomią postkomunistycznego układu. Opiszem jego wpływów, jego praktyk, jego dziejów. Kaczyński wierzył, że jeśli nawet większość materiałów zniszczono, wystarczające dowody zostaną. I wierzył słusznie – jeśli coś jest tak wielkie, że władza krajem, zostawia po sobie równie wielkie ślady. Kłopot w tym, że śladów nie było. Nawet małych, najmniejszych. Materiały, jakie znalazł Macierewicz, pokazały nie układ, lecz uwiad – jednostkę źle zorganizowaną, mającą więcej wpadek niż sukcesów.

Macierewicz się jednak nie zrażał, Kaczyński również. Z mniejszych odłamków nieraz budowali większe oskarżenia. I taką strategię przyjęli. Im układ okazywał się mniejszy, tym większą sensację zapowiadali. Podsycali w mediach atmosferę grozy. „WSI dopuszczały się bezprawnych działań wobec świata mediów, polityki i gospodarki – mówił Macierewicz jednego dnia. – Dopuszczały się przestępstw – dodawał drugiego. – Zagrozały Polsce” – mówił trzeciego. Ile w tym było fanatyzmu, ile bezczelności, do dziś zostaje zagadką. Ale chyba więcej tej drugiej. Kaczyński i Macierewicz już dawno odkryli, że wygrywa ten, kto oskarża mocniej, zaś dowody w polityce niewiele się liczą. Kaczyński szczycił się tym, że największe bitwy wygrywał, mając najslabsze karty. Sprawę WSI rozgrywał w ten właśnie sposób. Inny polityk widząc, że układu nie ma, pracę nad raportem przeciągałby w nieskończoność. Tymczasem Kaczyński postanowił raport ujawnić. Mając słabe karty, chciał je rzucić na stół z tak pewną miną, aby świat uwierzył, że ma pokera. Macierewicz dorzucił pomysł jeszcze ostrzejszy – listę agentów WSI, którą razem z raportem można ujawnić. Kaczyński pomysł podchwycił. Lista Macierewicza z lat 90. była potężnym narzędziem. Pozwoliła zniszczyć Wałęsę, głównego gracza epoki, a także stworzyła potężną legendę, którą przez dekadę karmiły się kolejne prawicowe formacje.

Gdy Macierewicz pomysł upublicznił, poza PiS-em protestowali wszyscy. Że to będzie złamanie prawa, że nazwisk agentów nie wolno ujawniać, że jeśli nawet

mają na koncie przestępstwa, ich winę stwierdzić może jedynie sąd. Kaczyński protesty zrzęcznie ominął, koalicja uchwaliła ustawę pozwalającą ujawnić raport i listę. Zdobywszy sankcję legalności, parł dalej do przodu. Bieżące problemy sprawiły, że na celowniku znalazły się media. Właśnie zostały ujawnione nagrania negocjacji z posłanką Samoobrony. PiS odpowiedział przeciekiem: „Dziennikarz stacji, która wyemitowała nagrania, pracował dla WSI”. Ruszyła lawina przecieków na temat kolejnych dziennikarzy. Macierewicz dowodził, że pod koniec lat 90. większość mediów znalazła się pod kontrolą WSI. Ponad stu dziennikarzy było agentami. Ulokowani w kluczowych miejscach pozwalali służbom panować nad obiegiem informacji. Tupet kampanii był niezwykle. PiS oskarżał, że WSI rządziły mediami na kilka tygodni przed publikacją materiałów, które pokazały, że oskarżenie w całości było zmyślane. Na liście znalazły się drugoligowe nazwiska i drugoligowe redakcje, zaś cały wpływ WSI polegał na tym, że podrzuciły mediom kilka pomniejszych informacji, zwykle na temat wojska. Aby uprzedzić krytykę raportu, jego publikację premier poprzedził oświadczeniem, że ze względu na tajemnicę państwową jest tylko fragmentem prawdy. „Dopiero pełna wiedza – mówił premier – którą ja dysponuję, pozwala zrozumieć mechanizmy rządzące naszym życiem publicznym”. Macierewicz zagrał podobnie. Oświadczył, że w raporcie zdążył zawrzeć tylko część informacji. Reszta się znajdzie w kolejnej części.

Mając tak słabe karty, Kaczyński rozegrał je świetnie. Większość jego zwolenników miała poczucie, że stało się coś ważnego, że Kaczyński wypełnił misję. Tylko dla uważnych czytelników raport był klęską, zwykłą publicystyką, rozpaczliwie zagadującą nieistnienie układu. Najchętniej rozpisywał się Macierewicz o czasach, kiedy WSI jeszcze nie było. O formacji poprzedzającej WSI, o wywiadzie wojskowym w latach 80., o jego współpracy z Moskwą, o powiązaniach z GRU. Z trzech głównych tez Kaczyńskiego – że WSI rządziły polityką, mediami i gospodarką – nie utrzymała się żadna. WSI kilkakrotnie ingerowały w politykę, ale w sprawach pomniejszych i wobec pomniejszych postaci. W przypadku mediów WSI były mało ambitne i mało skuteczne. W przypadku gospodarki od czasów FOZZ nie działały w strategicznych miejscach. Macierewicz znalazł kilkadziesiąt przestępstw, ale ani jednego na miarę układu. Kilku funkcjonariuszy zdefraudowało 1,5 miliona dolarów, inna grupa handlowała bronią, jeszcze inna prała brudne pieniądze albo fałszowała akcyzę na paliwa. Jedyne mocny zarzut dotyczył bierności wobec służb rosyjskich. Nie zdrady, bo na to dowodów nie było, lecz braku skuteczności w walce z rosyjskim wywiadem. Raport przekonująco pokazał, że takie służby nie były państwu potrzebne. Ale dramatycznie poległ na tezie, że państwem rządziły.

Z publikacji raportu oraz listy agentów opozycja zrobiła narodowy kataklizm. Kompromitację państwa, skandaliczne ujawnienie własnej agentury, samobójcze zniszczenie wywiadu wojskowego w czasie wojny w Afganistanie. Była to gruba przesada. Nie udało się potem wykazać Macierewiczowi działań sprzecznych ani z prawem, ani z racją stanu. Jak zwykle Macierewicz obrażał nie prawo, lecz rozsądek. Na tym zresztą polegał fenomen trwającej ćwierćwiecze kariery Macierewicza, jak również Kaczyńskiego. Oskarżano ich o bezprawie, ale żaden sąd tego dowieść nie zdołał. Jak wszyscy politycy działali w szarej strefie położonej na granicy prawa. W świecie bezkarnej manipulacji. Od innych różniła ich tylko bezczelność. Szli dużo dalej. Reszta się bała przekroczenia granicy absurdu. Oni wiedzieli coś więcej – że w polityce nie ma takiej granicy. Pod warunkiem, że do końca się wytrwa w swej roli. Oni to potrafili. Gdy po publikacji raportu opozycja była w premiera, ten oświadczył: „Trwa zaciekle obrona układu”.

W tym chaosie tylko nieliczni zrozumieli istotę wydarzenia. To, że Kaczyński się pomylił. Ale dramatycznie. Totalnie. Absolutnie. Przez piętnaście lat walczył z układem, którego nie było. Przez piętnaście lat dziesiątki ludzi oskarżył o kolaborację z czymś, co nie istniało. Miliony Polaków dały mu władzę, aby zniszczył coś, co się okazało jego fantazją. To nie była pomyłka. To nie była wpadka. To była kompromitacja. Kaczyński szydził z Mazowieckiego, że nie dostrzegł śmierci komunizmu i z lękiem chodzi wokół rozkładającego się trupa. Tymczasem Kaczyński zachował się nie mniej komicznie. Nie dostrzegł śmierci postkomunizmu, bił w zwłoki na oślep i krzyczał, że się nadal ruszają. Wyobrażał sobie, że w siedzibie WSI znajduje się wielki pulpit sterowniczy, z za którego układ zawiaduje Polską. Zdołał się wedrzeć do środka, a tam nie było ani pulpitu, ani ludzi potrafiących pulpit obsłużyć. Nie pomylił się trochę, nie pomylił się dużo – pomylił się całkowicie. Diagnoza układu jako alternatywnego państwa okazała się jednym z największych błędów epoki. Była zbyt obsesyjna, a przez to zbyt naiwna. Świetnie zorganizowany syndykat, działający lepiej od państwa? W Rosji, owszem. Tam istniało KGB, instytucja potężna, która przez długie dekady dźwigała na sobie światowe imperium. Ale nie w Polsce. Resztki po czymś, co nie miało siły, aby żyć – po peerelowskim państwie – nie mogły stworzyć potężnego lewiatana.

## CZY KACZYŃSKI POPADŁ W PARANOJĘ? DYGRESJA

Kaczyński był wielki, gdy jako pierwszy dostrzegł patologie transformacji i nauczył innych je tropić. Jednak sam nie zdołał ich trafnie zrozumieć. Najbliższy prawdy był w pierwszej fazie transformacji, tej najbardziej dzikiej. Gdy państwo, właściciel wszystkiego, przekazywało majątek w prywatne ręce. Wtedy było tak, jak mówił Kaczyński – kradzież lub wyłudzenie były główną metodą podziału. Politycy, urzędnicy, prokuratorzy nawet nie próbowali temu zapobiec, albo nic nie widzieli, albo sami byli ogarnięci gorączką złota. Trudno im się dziwić, to była największa wyprzedaż w polskiej historii. Objęła nie koszule i buty, lecz fabryki, sklepy, domy, a nawet dwory i pałace. W drugiej fazie transformacji sytuacja się uspokoiła, bezwstydną kradzież zesłała na drugi plan, bo już niewiele zostało do rozdrapania. Jednak ludzie, którzy doszli do fortun na skrót, biznes prowadzili podobnie. Silni gracze niszczyli konkurencję, jeszcze silniejsi kupowali państwowe decyzje, a na słabych polowali urzędnicy nawykli do pobierania haraczu. W krytyce patologii drugiej fazy Kaczyński już nie był samotny. Opisywano ją różnymi pojęciami – afrykańskiej korupcji, kapitalizmu politycznego, oligarchii czy wreszcie postkomunistycznego układu. Bez względu na to, jaka to była choroba, w trzeciej fazie zderzyła się z mocami większymi od siebie. Wchodzące na polski rynek zachodnie koncerny – banki, ubezpieczyciele, koncerny zbrojeniowe – zażądały czytelnych reguł. Chwilę potem przyszyły unijne standardy, wymuszone na rządzie jako warunek akcesji. Za sprawą presji zewnętrznej patologie zostały wciśnięte w bardziej cywilizowane ramy. Co nie znaczy, że polscy przedsiębiorcy nie mieli na co się skarżyć. Wieczna bierność państwa sprawiła, że w pierwszej fazie przegrali wyścig o własność ze złodziejami, w drugiej nie dostali ochrony przed dyktatem urzędników i oligarchów, w trzeciej bez żadnego wsparcia musieli stawić czoła światowym korporacjom.

Kaczyński trzecią fazę zmian kompletnie przegapił. Co sprawiło, że afery Rywina oraz Orlenu, w swojej naturze anachroniczne, przynależne do dwóch pierwszych faz, potraktował jako objawy zaostrzenia choroby. Tymczasem kiedy brał władzę, polski kapitalizm nie był już bardziej chory niż włoski, grecki, węgierski czy bułgarski. Co ważniejsze, polski kapitalizm nie cierpiał już na lokalne dolegliwości związane z wychodzeniem z komunizmu, lecz na najbardziej powszechną na świecie

chorobę. Na brak silnego państwa potrafiącego wymusić zdrowe reguły zachowań. Bo zdrowie w świecie społecznym nie jest stanem naturalnym, lecz sztucznym. Nie układ je odbiera, lecz państwo je narzuca. Kaczyński zamiast naprawiać to, co realne, czyli słabe państwo, ścigał to, czego nie było, czyli wszechmocny układ.

Jednak Kaczyński nie był sam. Nie tylko on polskie problemy ujmował za pomocą spiskowych hipotez. Podobnie myśleli Kwaśniewski, Oleksy czy Tusk, tyle że mówili o tym jedynie w prywatnych rozmowach. Właśnie kiedy Macierewicz kończył pisać raport, wyciekło nagranie rozmowy Oleksego z Gudzowatym, potentatem w handlu gazem z Rosją. Powody, dla których biznesmen rozmowę nagrał, były niejasne, ale treść była ciekawa. Siedząc przy stole, obaj panowie rozmawiali o polityce. Były premier mówił, że w Polsce panuje polityczny kapitalizm będący dziełem polityków Sojuszu. Oleksy mówił dobitnie: „Kapitalizm polityczny stworzył Kwaśniewski”. Swoich kolegów opisywał jako sitwę, o nadużycia oskarżał Millera, Borowskiego, Kwaśniewskiego. Sypał z rękawa zarzutami, twierdził na przykład, że Kwaśniewski dostał od oligarchy apartament, a dom w Kazimierzu kupił na podstawioną osobę. Materialna wartość tych oskarżeń być może była zerowa, niemniej Oleksy je traktował z pełną powagą. Co pokazało, jak polskie realia postrzega polityk, który nie tylko sprawował najwyższe urzędy, ale też dał się poznać jako człowiek rozsądny i umiarkowany. Również Tusk uważał liderów Sojuszu za twórców i beneficjentów politycznego kapitalizmu. Nie wierzył w postkomunistyczny układ, ale uważał, że za najważniejszymi decyzjami epoki stali powiązani z Sojuszem oligarchowie albo służby. Kwaśniewski w rozmowach prywatnych nie mówił o oligarchach, miał z kolei obsesję na punkcie służb. Uważał, że to one pociągają za sznurki. Sami oligarchowie, których Kaczyński opisywał jako filary postkomunistycznego układu – Kulczyk, Krauze i Gudzowaty – też uważali, że Polską rządzą służby specjalne. Najbardziej demoniczną wizję przedstawiał Gudzowaty, który twierdził, że Polską rządzi „łoża minus pięć”. We Włoszech „łoża minus dwa” nazywano mafię, Gudzowaty zmienił nazwę na „minus pięć”, bo uważał, że polski układ jest bliższy piekła. W latach 90. był jednym z trzech najbogatszych Polaków, miał poparcie SLD, dobre kontakty z Rosją. I nagle zaczął być brutalnie wypierany z rynku. Grożono, że straci życie, straszono porwaniem i zabiciem syna. Z początku podejrzewał rządzącą ekipę, ale kolejne zmiany władzy jedynie zaostrzyły represje. „Zrozumiałem wówczas, że sprawcą moich problemów musi być ktoś, kto stoi poza rządem, poza politykami. Ktoś, kto manipuluje członkami elit politycznych, jest gdzieś z boku”. Gudzowaty opisywał problem tak samo jak Kaczyński: „Łoża minus pięć działa regularnie od początku procesu polskiej prywatyzacji... Jest

obsługiwana przez wiele osób, także przez pracowników służb specjalnych, którzy robią wszystko, żeby nie ujawnić prawdy. Oni istnieją ponad podziałami politycznymi, ponad rządami. Mają dojścia do każdego kolejnego układu politycznego”.

Gudzowaty nie miał dowodów, podobnie jak nie mieli ich Kaczyński czy Oleksy, ale ich podejrzliwość portretowała klimat epoki. Upadek komunizmu był wydarzeniem zrywającym ciągłość rzeczywistości. Istota nowych porządków stała się zagadką. Czy to pomalowany PRL, czy zachodnia normalność? Świat stracił solidność, grunt pod nogami był tajemnicą. Panowało przekonanie, że natura rzeczywistości może być zupełnie inna, niż się wydaje. Chaos, jaki zrodziła transformacja, był olbrzymi. Im kto lepiej rozumiał wydarzenia, tym wyraźniej widział, że nikt nad nimi nie panuje. W takim świecie każda hipoteza była możliwa. Dopiero upływ czasu nadał realiom solidność i bardziej uchwytną treść. Na bieżąco wszyscy szli przez mgłę, a nic nie widząc, głośno zgadywali. Geremek wyczuwał obecność hordy populistów, Michnik faszystów, Olszewski agentów. Inni czuli macki obcych potęg. Powszechnie podejrzewano, że realna władza nie jest w rękach rządu. Jedni obawiali się, że Polska jest rządzona z zewnątrz – przez zachodnie banki, wielkie koncerny albo agentów KGB. Inni sądzili, że za decyzjami rządu stoją oligarchowie, baronowie medialni, służby. Generacja Kaczyńskiego nie potrafiła uwierzyć, że III RP nie ma drugiego dna. Miała poczucie kruchości porządku, jaki zbudowała. Ciągle spodziewała się ciosu w plecy.

U Kaczyńskiego obawy poszły daleko. Często widziano w tym przejaw szaleństwa, ale niesłusznie. Jego obsesje stanowiły przerysowany, przez co wyraźniejszy, umysłowy portret epoki. Ci, którzy się go panicznie bali, jedynie potwierdzali swe pokrewieństwo z Kaczyńskim. Mieli podobne jak on poczucie kruchości świata, podobnie katastroficzną wyobraźnię. Tak samo jak Kaczyński obawiali się, że demokratyczna Polska jest domkiem z kart, który jednym dmuchnięciem można wywrócić. Apokaliptyczny lęk przed układem i paraliżujący lęk przed Kaczyńskim były podobnej natury. Można było w Kaczyńskim widzieć politycznego szkodnika. Ale niszczyciela demokracji? Grabarza państwa prawa? Badając lęki tamtej generacji, można zauważyć jedną uchwytną różnicę – jedni mieli obsesję na punkcie rzeczy nieistniejących (np. układ), inni na punkcie istniejących (np. Kaczyński). Co może skłaniać do pogardliwych, psychiatrycznych klasyfikacji albo do bardziej życzliwej diagnozy. Widocznie tamten czas utrudniał złapanie umysłowej równowagi. Wielkie obsesje epoki były tyleż przesadne, co naturalne.

Jednak nie były konieczne. Bo nie wszyscy im ulegli. Wałęsa, Miller,



Cimoszewicz, Rokita czy Bugaj w ogóle nie poddali się emocjom epoki. Tusk, Kwaśniewski czy Dorn swoim podejrzaniom potrafili narzucić racjonalne granice. Natomiast Kaczyński tego nie potrafił. Być może był najinteligentniejszym politykiem III RP, ale z powodu tego defektu zamiast rządzić swoim czasem, dał mu jedynie świadectwo.

## POCZĄTEK KOŃCA

W ostatnich miesiącach rządów chaos narastał. Zaczęło się od miękkiego serca prezydenta, który nie mógł się pogodzić z przeforsowanym przez Platformę modelem lustracji. PO upierała się przy ujawnieniu wszystkich teczek, także niewinnych ludzi, i takie rozwiązanie przeforsowała w Sejmie. PiS nie protestował, główne punkty ustawy były mu bliskie, przede wszystkim rozszerzenie listy lustrowanych zawodów. Objęła ona blisko pół miliona ludzi – administrację rządową, samorządową, adwokatów, sędziów, prokuratorów, notariuszy, dziennikarzy, nauczycieli akademickich. Jeden prezydent nie mógł się pogodzić z tym, że ucierpią niewinni działacze opozycji. Że w otwartych archiwach dziennikarze znajdą donosy na temat ich prywatnego życia – kochanek, alkoholu, kłopotów rodzinnych, zdrowotnych. Opozycjonistów uważał za narodowych bohaterów, swoją prezydenturą chciał im wystawić pomnik, więc uznał, że do takiej lustracji nie przyłoży ręki. Ustawę podpisał, ale zapowiedział, że nim wejdzie w życie, jego kancelaria zmieni kontrowersyjne zapisy. I zmieniła, ale przy okazji wprowadziła inne procedury lustracji. Platforma ustawę poparła, jednak w oczach elit nowa ustawa była już tylko pisowskim dzieckiem. Ta zmiana praw autorskich dała sposobność do buntu przeciw władzy Kaczyńskich. Im bardziej się zbliżał termin składania oświadczeń lustracyjnych, tym więcej osób deklarowało, że ich nie wypełni. Każdego dnia do buntu dołączali się znani dziennikarze, znani naukowcy, a z czasem całe uczelnie. Protestujący wiedzieli, że łamią prawo, ale twierdzili, że niesprawiedliwych praw nie trzeba przestrzegać. Sytuacja była niezwykła, elita zdecydowała się wypowiedzieć posłuszeństwo władzy. PiS dowodził, że robi to ze strachu przed ujawnieniem grzechów przeszłości, ale zarzut był bez sensu, byłych konfidentów nie mogło być tak dużo. To był odwet za „łże-elity”, za ostentacyjną pogardę, jaką im okazywał premier. Jarosław nie dostrzegł powagi sytuacji. Potraktował sprawę ambicjonalnie, ostro skrytykował buntowników, co jedynie rozпалиło bunt. Dołączyły do niego prawie wszystkie wyższe uczelnie, budując ruch społeczny dążący do upokorzenia władzy. Do buntu przyłączył się również Trybunał. Opozycja zaskarżyła ustawę, zwykle wyrok zapadał po wielu miesiącach, tym razem sędziowie szybko przystąpili do pracy i zakwestionowali większość zapisów. Nie ze złościwości, argumenty mieli mocne i przekonujące.

Lech wprowadził rząd na minę, a Jarosław, zamiast ją zręcznie zdetonować, poszedł z elitami na czołowe zderzenie. Nie kalkulował korzyści, bił na oślep, pokazując dobitnie, że politykę potrafi uprawiać jedynie młotem. Finał lustracyjnej wojny był festiwalem bezsensownej brutalności. Kaczyński postanowił naukowców docisnąć do ściany. Sprawdzić, czy się odważą złamać prawo, za co groziło wyrzucenie z uczelni. Spodziewając się niekorzystnego werdyktu Trybunału, postanowił opóźnić termin jego wydania. Poseł PiS został wysłany do IPN, na kilka godzin przed rozprawą wertował teczki sędziów, sprawdzając, czy któryś był agentem służb PRL. Żaden nie był, w archiwach znalazł teczki dwóch sędziów: jeden twardo odmówił współpracy, drugi współpracował, ale w III RP. Poznawszy prawdę, poseł PiS stawiał się przed Trybunałem, oświadczył, że dwóch sędziów było agentami, i zażądał odroczenia rozprawy. Nie udało się, Trybunał wyłączył obu sędziów i pracował dalej. Kilka godzin później manipulacja PiS wyszła na jaw, wywołując wielkie oburzenie. Przegrawszy rozprawę, premier próbował raz jeszcze uderzyć. Zwlekał z publikacją decyzji Trybunału, aby weszła w życie po upływie terminu składania lustracyjnych oświadczeń.

Ostatecznie niczego nie ugrał. Przegrał sromotnie, co było sporym upokorzeniem. Jego zuchwały bonapartyzm rozbił się o najsłabszą grupę społeczną. Polscy premierzy bywali rzucani na kolana przez rolników, przez stoczniovców, przez górników. Przez grupy mające potężne narzędzia protestu. Ale zaliczyć siarczysty policzek od akademików... tego jeszcze nie było. Sprawa była ciekawa także od strony wymierzającego policzek. Większość elit naukowych po raz pierwszy coś zrobiła w sferze publicznej. Byli bierni wobec największych wydarzeń epoki – wobec czystek antysemitycznych na uczelniach, stanu wojennego, odzyskania politycznej wolności. Dopiero Kaczyński ich zaktywizował, dopiero on w nich ożywił odwagę buntu. To był fenomen, dla kolejnych grup społecznych Kaczyński stawał się najważniejszym punktem odniesienia. Rosnące poparcie dla Platformy nie było miarą aktywności Tuska, lecz wyłącznie Kaczyńskiego. To on stał w centrum publicznej uwagi, to emocje wzbudzone przez niego decydowały o tym, kto chce głosować za PiS-em lub przeciw niemu.

Kłopot Kaczyńskiego polegał na tym, że stale rekrutował więcej wrogów niż zwolenników. Jednak było w tym spektaklu coś imponującego. Podobnie jak Wałęsa, Kaczyński walczył tylko ze sobą. Nie miał rywali, polityczne zmagania epoki polegały na tym, że jego talenty biły się z jego wadami. Głównie z toksyczną potrzebą nadużywania metod siłowych. Wojna o lustrację na każdym etapie była do wygrania, Kaczyński mógł się taktycznie wycofać, złagodzić niektóre zapisy, wykreślić kilka

profesji z listy lustrowanych zawodów. Pełna lustracja nie była mu potrzebna, nie był Lechem, sentymentalnym opozycjonistą, który pragnął wymierzyć sprawiedliwość wszystkim, którzy donosili na działaczy podziemia, a często to byli koledzy z uczelni. Dla Jarosława lustracja była narzędziem oczyszczenia państwa. Ważne były kadry administracji, samorządów, wymiaru sprawiedliwości oraz spółek Skarbu Państwa. Jednak gdy akademicy stanęli mu na drodze, zamiast ich ominąć, postanowił przeciwnika rozjechać.

## AFERA GRUNTOWA

Przegrana mocno zirytowała premiera, ale to nie była tragedia. Rząd miał stabilną większość, więc mógł dalej trwać. Zwłaszcza że trwanie miało swój cel – Kaczyński nadal wierzył w wielką korupcyjną aferę, której ujawnienie zapewni mu kolejną kadencję. Kłopot w tym, że aferę wytropiono we własnym obozie. Wszystko zaczęło się niewinnie, do CBA dotarła informacja, że kilku biznesmenów dostało ofertę odrolnienia gruntów za łapówkę. Propozycję składało dwóch ludzi z otoczenia Leppera. Więc agent CBA, podając się za szwajcarskiego biznesmena, spotkał się z nimi. Dowiedział się, że usługa kosztuje 3 miliony złotych. Tłumaczyli, że tak dużo, ponieważ jeden milion trafi do Leppera, drugi do jego kolegi. Agent CBA się zgodził. Nadszedł dzień zapłaty, agent wręczył walizkę z pieniędzmi. Kiedy współpracownik Leppera kończył liczyć pieniądze, nagle zadzwonił telefon z ostrzeżeniem o akcji CBA. Więc ten oświadczył, że pieniędzy nie weźmie, i akcja spaliła na panewce. Funkcjonariusze CBA sądzili, że część zawartości walizki potem trafi do Leppera, a wtedy zostanie aresztowany z dowodem winy w ręku. Nie udało się. Mimo to nie zmienili planów. Wkroczyli do Ministerstwa Rolnictwa, przeszukali gabinet Leppera, wierząc, że znajdą przeciw niemu inne dowody. Niczego nie znaleźli. Przesłuchali Leppera. Ten oświadczył, że rano został ostrzeżony o akcji CBA, o czym poinformował swoje otoczenie, mówiąc, że Kaczyński chce go wykończyć za pomocą służb.

Niedługo potem Lepper został zdymisjonowany. Korupcyjnym zarzutem zaprzeczył i był chyba naprawdę niewinny. Z tym większym impetem oskarżył premiera, że użył CBA, aby się go pozbyć. Opozycja wsparła go ze wszystkich sił. Nie dlatego, że wierzyła Lepperowi, lecz ponieważ znalazła okazję do obalenia rządu. Poczucie nadchodzącego sukcesu dodało jej skrzydeł. Po raz pierwszy atak na władzę był mocny, czytelny, wyrazisty. W stylu Kaczyńskiego. Nie był litanią zawitych pretensji, lecz jasnym oskarżeniem: demokracja się w Polsce skończyła. Kaczyński zbudował państwo autorytarne oparte na policji politycznej. Niszczy ona wrogów władzy pod pretekstem walki z korupcją. Co ciekawe, opozycja opisywała IV RP słowami i schematami, jakimi Kaczyński opisywał III RP. Krajem rządzi wąska grupa mająca demoniczne cele, używająca przestępczych metod. Jej kręgosłupem są służby specjalne, tyle że nie WSI, lecz CBA. Ale to nie była obsesja, opozycja uderzała na

zimno i wyrachowanie. Histerii na punkcie CBA uległy elity i media, ale nie politycy, coraz mocniej czujący, że sukces się zbliża. Moment dochodzenia do władzy zawsze polityków uskrzydla, dodaje twardości, inteligencji i cynizmu. Przez ostatnie dwa lata Platforma popadła w jałowy lament. Kaczyński był dla niej zbyt silny, aby go zranić. Jednak kiedy zranił się sam, kiedy Platforma poczuła, że krwawi śmiertelnie, zaczęła rywala dziarsko osaczać. Oskarżała Kaczyńskiego w jego własnym stylu – bez związku z logiką. Nie tłumaczyła, po co Kaczyński niszczy Leppera, skoro go wcześniej ujarzmił. Nie wyjaśniała, czemu użył CBA, skoro mógł go zwolnić za seksaferę. Realne wydarzenie Platforma zamieniła w mit, w którym zły władca do swoich wrogów wysyła posłańców w kominiarkach. Wysyła nie dlatego, że musi, ale dlatego, że jest zły. Ze spotkania z posłańcami jedni wychodzą z dymisją, inni w kajdankach, jeszcze inni z kulą w brzuchu.

PiS zaczął tonąć. Broniąc zasadności akcji CBA, Kamiński i Ziobro skupili się na tropieniu źródła przecieku. Przesłuchano osoby znające termin operacji. I nagle został aresztowany szef MSW. W trakcie przesłuchania skłamał, ukrył fakt, że w przeddzień akcji spotkał się w hotelu Marriott z oligarchą Ryszardem Krauzem. Obaj zostali uznani za główne ogniwo w łańcuchu przecieku. Oskarżenie było poszlakowe, niemniej sugestywne. Udało się odtworzyć – ze zdjęć z kamer ulicznych i hotelowych – jak po naradzie w sprawie akcji CBA minister pojechał do hotelu i wszedł do pokoju oligarchy. Po jego wyjściu kolejnym gościem był polityk Samoobrony. Opuścił pokój wyraźnie zdenerwowany, a nazajutrz wczesnym rankiem odwiedził Leppera. Właśnie po spotkaniu z nim Lepper poinformował swoje otoczenie o akcji CBA. Jednak najbardziej obciążyla ministra nie sekwencja spotkań z tamtego wieczoru, ale to, że rozmowę z Krauzem desperacko starał się ukryć. Podśłuchano rozmowy jego bliskich kolegów – szefa policji, CBŚ i PZU – którzy gorączkowo budowali alibi dla niego.

Oskarżenie ministra okazało się dramatycznym błędem, bo ten, zwolniony z aresztu, nie tylko wszystkiemu zaprzeczył, ale broniąc się, ostro atakował rząd. Szeroko opowiadał, jak od środka wygląda pisowska władza. O zainteresowaniu premiera aferami, o spotkaniach w jego gabinecie, naciskach na tropienie układu, o gorliwości Ziobry, cynizmie szefa ABW, o naciąganych dowodach zbieranych przez CBA. Szczególnie mocno uderzał w Ziobrę, którego przedstawiał jako karierowicza gotowego aresztować każdego, kogo szef mu wskaże. To było więcej, niż opozycja mogła sobie wymarzyć. Czarną legendę IV RP potwierdził jeden z jej kluczowych graczy. To było to, na co czekał Kaczyński, powtórka z afery Rywina. Układ denuncjujący sam siebie. Tyle że nowy Rywin składał donos nie na

postkomunistyczny układ, ale na układ pisowski. Upolowany przez kamery minister stał się świadkiem koronnym dla drugiej strony. To był jeden z tych przypadków, których w polityce nie sposób przewidzieć. Śmiertelny cios zadał Kaczyńskiemu pomniejszy karierowicz. Zadał ze strachu, bo zdradził. Koalicja rozpadła się, Kaczyński stracił większość, zaś opozycja postanowiła powołać sejmowe komisje, które rozliczą IV RP.

Jednak nie utrata władzy była najgorsza, lecz kompromitacja. Sympatycy PiS zobaczyli, jak mianowany przez Kaczyńskiego szef MSW skrada się hotelowym korytarzem do pokoju oligarchy. Odsluchali rozmowy, w których szefowie policji i CBS zrywali się, jak oszukać prokuraturę, aby chronić ministra i oligarchę. To była kompromitacja braci Kaczyńskich. Wzięli władzę, aby walczyć z układem, i jedyny, jaki znaleźli, był we własnych szeregach. Kiedy powstało CBA, Kamiński butnie zapowiadał w Sejmie, że skończyły się czasy, kiedy oligarchowie opłacali polityków. „Chcemy powiedzieć takim panom jak pan Kulczyk, pan Gudzowaty, pan Krauze: jeśli liczą na to, że dzięki temu będą ponosili korzyści w biznesie, to są w wielkim błędzie” – mówił wtedy Kamiński. Rok później wyborcy PiS usłyszeli, że pisowski komendant policji i pisowski szef CBS w prywatnej rozmowie nazywają Krauzego „największym płatnikiem”. Chwilę potem okazało się, że Krauze miał bliskie kontakty również z pisowskim prezydentem. Na tyle bliskie, że gdy ABW przyszło go przesłuchać, po pomoc zadzwonił właśnie do Pałacu. Jarosław sprawą był potężnie przybity. Lech jeszcze bardziej, uważał, że skompromitował brata. Podwójnie. Utrzymywał zbyt bliskie kontakty z oligarchą i rekomendował bratu fatalnego ministra oraz jego szemranych kolegów. „To największy zawód mojego życia” – powiedział o szefie MSW prezydent.

Rząd upadał. Pozostał ostatni problem: jak ten upadek przebiegnie. Czy dokona się poprzez rozwiązanie Sejmu, czy poprzez wybór nowego premiera. Cała opozycja wołała rozwiązanie drugie. Chciała jak najszybciej rozliczyć IV RP, jeszcze w tej kadencji. Dyszała żądzą zemsty, także posłowie Platformy. Jeden Tusk się temu sprzeciwił. Nie z obawy, że półroczna koalicja z Lepperem, Giertychem i Sojuszem skompromituje Platformę. Tusk chciał zablokować rozliczenie Czwartej RP, bo dobrze rozumiał, że aura jej zbrodni jest większa niż same zbrodnie. I lepiej niech tak zostanie.

## DYGRESJA NA TEMAT ZBRODNI IV RP

W następnych latach działaniom Kaczyńskiego, Kamińskiego i Ziobry przyglądały się sądy i sejmowe komisje. Nie znajdując większych uchybień. Nie znaleziono śladów nacisku premiera na aparat państwa, nie znaleziono dowodów presji na prokuraturę ze strony Ziobry, nie udowodniono politycznych motywacji akcjom Kamińskiego. Natomiast ofiary ich akcji często dostawały wysokie wyroki, co pokazywało, że Czwarta RP legalnie ścigała nieuczciwych ludzi. Często przy tym popełniała nadużycia – oskarżała na wyrost, urządzała medialne nagonki, nękała przesłuchaniami – ale te polityczne przewiny nie były na tyle wielkie, aby móc władzę ukarać.

Po kilku latach obraz się skomplikował. W kolejnych instancjach ofiary zaczęły wygrywać, natomiast służby nadal potwierdzały swoją niewinność. Sytuacja zrobiła się dziwna, bo to znaczyło, że Czwarta RP w zgodzie z prawem nękała niewinnych ludzi. Rozwiązanie zagadki pojawiało się po następnych latach, kiedy sędziowie przemyśleli uniewinniające wyroki. Ofiary śledztw zaczęły wygrywać procesy, gdy obrońcy skupili się na wstępnej fazie śledztw CBA i podważyli legalność pierwszych dowodów: pierwszych podsłuchów, pierwszych inwigilacji. Właśnie w tym momencie prawo było łamane, służby krzątały się wokół niewinnej osoby, inwigilowały, zakładały podsłuch bez zgody prokuratora, bo podejrzenia przestępstwa jeszcze nie było. Najpierw służby zastawiały pułapkę, a długo później zdobywały prawny mandat do tego – gdy ofiary już wchodziły w pułapkę, gdy stawały się podejrzane. Sędziowie poszli tym tropem i zrozumieli, że nielegalne były nie konkretne czyny CBA, lecz przyjęta przez nie metoda. Dopiero po długich latach sędziowie zrozumieli, że w działalności CBA nielegalne było kuszenie niewinnych ludzi, testowanie ich odporności, namawianie do przestępstwa.

Odtąd Kamiński zaczął procesy przegrywać. Słusznie, bo klarownie opisane metody CBA były praktykami państwa policyjnego. Niesłusznie, bo wcześniej natura tych metod wcale nie była klarowna. W pierwszych instancjach wobec ofiar CBA zapadały wyroki skazujące. Sędziowie potrzebowali wielu lat, aby problem rozsypać. Nie z powodu defektów swojej inteligencji, lecz realnej zawilości problemu. CBA miało walczyć z korupcją, czyli z przestępstwem trudnym do wykrycia, bo nie ma w nim pokrzywdzonego, więc wszystkie strony przestępstwa jego fakt ukrywają



przed światem. Dlatego tworząc Biuro Antykorupcyjne, dano tej służbie podobne narzędzia, jakie miał CBS. Prawo do inwigilacji, do prowokacji, do agentów pod przykrywką. W przypadku CBS te narzędzia się świetnie sprawdziły, więc sądzono, że podobnie będzie tym razem. Ale między służbami była zasadnicza różnica. CBS działał przeciw mafii, przeciw notorycznym przestępcom, CBA wobec ludzi, których kartoteki były czyste. Nikt nie przemyślał prawnych problemów związanych z tą zasadniczą różnicą.

W szczególności nie przemyślał ich Mariusz Kamiński. Gdy obejmował władzę nad CBA, nie chciał nękać niewinnych ludzi, lecz bezkarnych oligarchów, sprzedajnych polityków, skorumpowanych sędziów. Chciał łowić grube ryby. Chciał, lecz nie potrafił. Kaczyński mianował go szefem CBA, bo uważał, że w tej służbie kompetencja jest sprawą wtórną. Korupcję w Polsce postrzegał jako tak powszechną i ostentacyjną, że jedyny problem widział w odwadze stawienia jej czoła. To staw tak pełen ryb, że nie trzeba umieć łowić, wystarczy chcieć. Jednak było inaczej. To były ryby myślące, inteligencją przerastające wędkarza. Po kilku miesiącach nieudanych połowów Kamiński zaczął się miotać, podobnie jego ekipa. Wtedy zaczęło się podchodzenie do ludzi niewinnych. Nie było w tym cynicznej logiki, szukania kozłów ofiarnych. CBA zbyt długo potem sprawdzano, aby taki fakt ukryć. Wszystko się odbywało trywialnie. Nie potrafiąc złowić dużych ryb, zaczęli polować na mniejsze, potem jeszcze mniejsze, aż w końcu sięgnęli po tak drobne sieci, aby cokolwiek w nie wpadło. Nawet nie zauważyli, kiedy na celowniku pojawili się ludzie niewinni. Praca funkcjonariuszy CBA polegała na tropieniu korupcji, więc tropili, jak potrafili. A że nie potrafili, więc zaczęli wszystkim wręczać łapówki. Kilkuset agentów przemierzało Polskę, oferując napotkanym ludziom walizkę z pieniędzmi. Byli przy tym tak niezdarni, że tylko kilka osób dało się nabrać.

Mechanizm działania CBA pokazały dwie akcje sławnego agenta Tomka. Pierwszą było polowanie na prezesa państwowego wydawnictwa książkowego, które właśnie było prywatyzowane. Ponieważ korupcja często towarzyszyła prywatyzacjom, CBA tam zarzuciła sieci. Agent Tomek wraz z kolegą zgłosili się do prezesa, udając brytyjskich przedsiębiorców. Powiedzieli, że chcą kupić wydawnictwo, ale wiedzą, że w Polsce trzeba płacić łapówki. Podali prezesowi kopertę z 10 tysiącami euro, lecz ten się zachnął, pieniędzy nie wziął, powiedział, że firma będzie sprzedana w uczciwym przetargu. Agenci odpuścili temat. Powiedzieli, że staną do przetargu, i zaczęli się zaprzyjaźniać z prezesem. Kiedyś im wyznał, że ma duży dług wobec ZUS. Agenci zaproponowali pożyczkę, ale prezes odmówił. Widząc opór, agenci zaprzyjaźniali się dalej. Spędzali wspólnie weekendy, obchodzili

uroczystości rodzinne, odwiedzali się po domach. Kiedy relacje stały się bardzo bliskie, zaatakowali raz jeszcze. Pod koniec kolacji w domu prezesa wręczyli mu 10 tysięcy euro jako pożyczkę, z której spłaci ZUS. „Przyjaciele muszą sobie pomagać” – usłyszał. Znowu odmówił, ale agenci wychodząc z domu, zostawili na stole kopertę. Następnego dnia prezes ją znalazł i zaakceptował pomoc. Powiedział, że weźmie pożyczkę, ale oficjalną, poświadczoną umową, którą zgłosi w urzędzie skarbowym. Jednak zanim to się stało, CBA aresztowało prezesa. Druga akcja agenta Tomka miała podobną logikę. Tym razem celem była kobieta, posłanka Platformy. Z nią się nie zaprzyjaźniał, lecz ją uwodził. W przeciwieństwie do prezesa wydawnictwa była chętna do wzięcia łapówki. Co nie zmienia faktu, że przed akcją CBA była niewinną osobą.

W obu operacjach można dostrzec bezwzględność policyjnego państwa, które wciągało w pułapkę niewinne osoby. I to jest jedna prawda o CBA. Ale istnieje też druga. W kraju pełnym korupcji CBA nie potrafiło znaleźć skorumpowanych ludzi. Musiało kusić niewinnych, co było kosmiczną porażką. Kto oceniał Kamińskiego przez pryzmat nadużyć, niepotrzebnie mu dodawał wielkości. Czynił Brudnym Harrym kogoś, kto był raczej inspektorem Clouseau. W walce Kamińskiego z korupcją istotniejsze było nie to, że stratował kilku niewinnych, lecz że nawet jednego winnego nie dopadł. Kto spojrzy na Kamińskiego bez oburzenia, zobaczy największą ofermę w dziejach III RP. Miesiąc po miesiącu kompromitował swój obóz. Jedna nieudana akcja goniła drugą, zaś ostatnią – przeciw Lepperowi – obalił swój rząd. Jedyne powaga wydarzenia – prowokacja przeciw wicepremierowi – nie pozwoliła dostrzec błędów Kamińskiego. Uważano, że cynicznie wykonał polityczne zlecenie, więc cynizm brano pod lupę. Ale tego cynizmu nie było, bo i nie było zlecenia. Premier był akcji mocno niechętny, co we wspomnieniach potwierdza jego brat. Prawdziwą kanwą tej historii był nie cynizm, lecz niezdarność. Kamiński wierzył, że wpadł na trop układu. Wierzył naiwnie, bo jedynym „dowodem” były słowa pośrednika, że milion łapówki trafi do Leppera. Kroki CBA od początku były niezdarne. Źle wytypowano działkę, pośrednikowi zaproponowano łapówkę za grunt, który można było odrolnić za darmo. Gdyby pośrednik sprawą się zajął, od razu by zrozumiał, że to prowokacja. W ostatniej chwili agenci musieli ingerować u lokalnych władz, aby spreparować odmowę. Ale zrobili to nieprofesjonalnie – nie dość, że zdradzili wójtowi termin akcji, to wzbudzili w nim tak wielką podejrzliwość, że doniósł na nich do prokuratury. Kiedy prowokacja się nie udała, Kamiński powinien sprawę zakończyć. Ale szef CBA był równie sprawny jak jego ekipa. Wysłał agentów do gabinetu Leppera w nadziei, że tam znajdą dowody. Bezmyślność

operacji była niezwykła – Kamiński kazał zrewidować gabinet jednej z najważniejszych osób w państwie, nie mając żadnych dowodów, jedynie w nadziei, że tam znajdzie dowody, które po fakcie uzasadnią rewizję. Nie znalazł. To już była kompletna porażka. Jednak zamiast sprawę zakończyć, okłamać Leppera, że akcję podjęto nie przeciw niemu, lecz jego urzędnikowi, Kamiński zrobił coś niebywałego. Nadal nie mając dowodów, zapewnił premiera, że Lepper jest winny. Więc Kaczyński Leppera zwolnił. Opozycja zażądała dowodów. Gdyby Kamiński je miał, rząd by ocalał. Ale ich nie miał, więc rząd musiał upaść. Gdyby nie to, że Kamińskiego otoczyła legenda niezłomnego szeryfa, Kaczyński by go z hukiem wyrzucił.

Czarna legenda Czwartej RP miała dwa ostrza. Zdemonizowała ekipę Kaczyńskiego w oczach wrogów, zarazem usprawiedliwiła w oczach zwolenników. To właśnie ostra krytyka Kamińskiego, Ziobry i Macierewicza zbudowała im pomnik przesłaniający fakt, że dramatycznie zawiedli. Przecież realna historia walki z układem brzmiała następująco: Kamiński nie wytropił nikogo, Macierewicz nikogo, Ziobro nikogo. To, że w trakcie pogoni – przez butę i niezdarność – skrzywdzili kilka niewinnych osób, dało im alibi. Wielka pretensja o przelaną krew niewinnych ukryła to, że ani jeden winny nie został draśnięty. Przez dwa lata władzy PiS aparat sprawiedliwości po prostu zamarł. Pozorna aktywność przesłoniła bierność, wręcz zastój. Za rządów SLD trwał festiwal korupcji, ale trwał również festiwal ścigania korupcji. Aparat sprawiedliwości wytropił aferę Orlenu, aferę starachowicką, afery Dochnała. Wsadził do więzienia kilku prominentnych polityków SLD. Ledwo nastał PiS, wszystko się skończyło. Gdyby Kaczyński siedział w ławach opozycji, premiera Czwartej RP oskarżyłby o to, że jest głową układu. Ale ponieważ to on był premierem, porażkę tłumaczył inaczej. Nie było festiwalu ujawniania afer, bo nie było festiwalu afer. Udało się układ zastraszyć. Samo istnienie CBA miało wychowawcze znaczenie.

Być może tak było, ale jeśli to strach zakończył festiwal afer, to lista zasłużonych jest dłuższa. Po pierwsze, aparat sprawiedliwości III RP, który po latach bierności nagle zaczął ścigać wielkie afery. Po drugie, sejmowe komisje z lat 2003-05, które wzięły na cel postaci wcześniej nietykalne – premiera, prezydenta, oligarchę, barona medialnego. Po trzecie, twórcy klimatu powszechnej inwigilacji, liczne służby oraz amatorzy nagrywania prywatnych rozmów, którzy naruszyli społeczne zaufanie potrzebne zarówno dla dobrych, jak też złych praktyk. Po czwarte, krzewiciele czarnej legendy IV RP, bo tylko dzięki nim CBA mogło się wydać groźne. I dopiero na ostatnim miejscu samo CBA.

## RZUT OKA NA DWA PIERWSZE LATA CZWARTEJ RP

Przez całe swoje życie Kaczyński składał donosy na rzeczywistość. Na korupcję władzy, na niesprawiedliwość świata, na zepsucie obyczajów. Oburzał się, że biedni są biedni, bogaci są bogaci, elity niemądre, a demokracja pozorna. Dziwne, że nigdy nie usłyszał: „Owszem, ale co z tego? Przecież tak jest wszędzie”. Kaczyński przemawiał, jakby te defekty były polską osobliwością, jakby właśnie nad Wisłą wołały o pomstę do nieba, tymczasem to były najbardziej typowe usterki społecznego świata. Był sugestywny, potrafił w ludziach wzbudzić gniew na rzeczywistość oraz marzenie o lepszym świecie, ale jak ten świat zbudować, nie miał pojęcia. Był jedynie kontestatorem, notorycznym i obsesyjnym tropicielem wszelkich defektów tego świata, zarówno naprawialnych, jak też wpisanych w naturę rzeczy. Gdyby się urodził we Francji czy w Niemczech, też by znalazł oligarchię, też by się domagał nowej republiki, której też by nie potrafił zbudować. W czasie jego rządów nic się ważnego nie stało, bo nic się stać nie mogło. Kontestatorzy i utopiści – o ile nie są krwawi – są z natury bezzębni. Potrafią podpalić emocje społeczne, ale wobec realiów pozostają bezradni. Przeciwnicy Kaczyńskiego skarżyli się, że obrażał wszystko i wszystkich. Owszem, ale na słowach się kończyło. On nie walczył ze złem tego świata, lecz tylko ze ślepotą na zło. Krzyczał na tych, którzy go dostrzec nie chcieli.

Aurę wyjątkowości Czwartej Rzeczypospolitej zbudowała publiczność, która słowom Kaczyńskiego dała się porwać i w hałaśliwego proroka wpatrywała się z bezgranicznym napięciem. Jedni w poczuciu, że za chwilę zniszczy polską demokrację, inni, że ją wreszcie ożywi. Społeczny odbiór zmitologizował tamten czas, przysłonił fakt, że Kaczyński był jedynie kolejnym ogniwem w sztafecie władzy. Ci, którzy patrzyli na rzekomą stawkę – nadchodzącą katastrofę lub wybawienie – przegapili realną politykę i realnego Kaczyńskiego. Zamiast realiów widzieli własne lęki i własne marzenia. Podobnie było w 1989 roku, w czasie wielkiego przełomu. W Mazowieckim widziano wówczas nie polityka, lecz świętego męża, który z dała od politycznego brudu kładzie fundamenty wolności. Tymczasem on również – choć naturę miał bardziej idealistyczną – przede wszystkim podlegał regułom profesji. Zawzięcie walczył o przejęcie kontroli nad solidarnościowym obozem, o pozbycie się rywali, zwłaszcza Wałęsy i Geremka. Mimo dramatycznej sytuacji kraju większość politycznych możliwości zużył na budowę własnej pozycji.

Kaczyński, mając władzę, robił to samo, lecz z większym rozmachem. Wiedział, że premierzy wraz z władzą tracą również partyjne przywództwo, więc postanowił ten bieg spraw odwrócić. Rzucił rękawicę przeznaczeniu, wszystkie jego strategiczne decyzje – od początku do końca kadencji – wyznaczały jeden cel: aby partii nigdy nie stracić. Ten cel dał władzę słabemu Marcinkiewiczowi, a potem, gdy stał się silny, władzę mu odebrał. Ten cel sprawił, że Sejm nie został rozwiązany, choć PiS mógł zdobyć bezwzględną większość. Ten cel wyznaczył PiS-owi koalicjantów, ten cel przesunął partię w prawo, ten cel kazał wyeliminować potencjalnych następców. Jako premier Kaczyński popełniał liczne błędy, jako lider partii nie mylił się nigdy. Był najsprawniejszym partyjnym liderem w dziejach polskiej demokracji – rozważnym, wyrachowanym, bezwzględnym. Premierostwo było dla niego przygodą, natomiast partia była całym jego życiem. Dla niej porzucał swoje poglądy, dla niej pogrążał się w radykalizmie, dla niej narażał się na krytykę. Potrzeba zachowania partii zawładnęła nim całkowicie, nie było dla niego ważniejszego celu. I wygrał; wielonurtową, centroprawicową partię przerobił w osobistą drużynę charyzmatycznego przywódcy. Zbudował partię prywatną. Szczęśliwy los, który dał mu w 2005 roku wyborcze zwycięstwo, wykorzystał w pełni. Gdy po dwóch latach władzę tracił, miał potężną partię, której nie był liderem, lecz właścicielem.

Nie było momentu, w którym Kaczyński sobie powiedział, że dla takiej partii rezygnuje z państwowych ambicji, niemniej stopniowo to zrobił, bo ceną za ucieczkę z centrum była utrata możliwości działania. Partia, która z Rydzykiem i Lepperem u boku prowadziła wojnę z establishmentem, stała się formacją jałowego protestu. Mogła wszystko obiecać, ale nie mogła niczego zrobić. Każdy jej pomysł traktowano nieufnie, każdy paraliżowano, każdy ośmieszano. Mała i zanarchizowana Unia Wolności zmieniała rzeczywistość, wielki i sprawny PiS o zmianach jedynie gawędził. Zanim Kaczyński objął fotel premiera, pozbawił się możliwości działania. Nie mógł zostać tyranem choćby dlatego, że był bezsilny. Przegrywał najważniejsze wojny, w sprawie lustracji miał wszystko, co premierom wystarcza – poparcie sejmowej większości oraz podpis prezydenta. A jednak poległ, elity ustawę zbojkotowały, Trybunał ich bunt zalegalizował. Przywódca Czwartej RP sam sobie związał ręce.

Podobnie jak Wałęsa czy Miller swoją pozycję budował poprzez nieustanne wojny. Należał do tego gatunku polityków, którym dopiero konflikt pozwala sformułować atrakcyjną ofertę. Więc Czwarta RP była taka jak jej przywódca – rozedrgana, niespokojna, hałaśliwa. Co nie znaczy, że trwała w niej realna wojna, to była szamotanina, w której nie lała się krew, lecz latały zniewagi. Obsesją epoki stało

się poszukiwanie strony bardziej agresywnej, jednak porównywanie ciężaru obelg sensu nie miało. Obie strony codziennie przekraczały granice, które jeszcze wczoraj wydawały się nieprzekraczalne. Bez Kaczyńskiego do tego by nie doszło, on był szczupakiem, który wpuszczony do stawu z karpami wprowadził wojnę w ich życie. Nie zmienia to faktu, że ledwo się szczupak pojawił, karpom zęby wyrosły. Kaczyński nawet sennych akademików zamienił w piranie, a potem wszyscy się gryźli z takim zapalem, że polityka stała się pasmem krzyków i jęków.

Ideowej treści nie było w tym żadnej, choć część publiki miała inne wrażenie. Uważała, że Kaczyński burzy ład zwany Trzecią Rzeczpospolitą, natomiast Tusk go zawzięcie broni. Skala pomyłki była spora, bo ani Kaczyński niczego nie burzył, ani Tusk niczego nie bronił. W przypadku Kaczyńskiego błąd się dało zrozumieć, on Trzecią przynajmniej słowami oczerniał. Tymczasem Tusk Trzeciej nigdy nie bronił, mocno krytykował rządy Kaczyńskich, ale zawsze z „popisowych” pozycji. We wszystkich kruczatach przeciw III RP Kaczyński miał poparcie Tuska: powołanie CBA, likwidacja WSI, lustracja, rozliczanie PRL, nękanie polityków Sojuszu, reforma systemu sprawiedliwości. O dyplomacji mowa będzie później, ale tu również Platforma żądała zerwania z III RP. Przez dwa lata Tusk atakował Kaczyńskiego nie za jego cele, lecz za awanturnictwo. Oskarżał braci, że są groźni nie przez swoje zamiary, lecz swoje charaktery, „żądne władzy” i „niezrównoważone”. Intencję obrony III RP Tuskowi przypisywał Kaczyński, aby go w ten sposób skompromitować. Jednak Tusk szedł tak krytycznym kursem, że lewica i liberałowie zarzucali Platformie, że jest drugim PiS-em.

Nie było to dalekie od prawdy. Tusk był zafascynowany Kaczyńskim, jego sukcesem w 2005 roku, a potem zdolnością do utrzymania poparcia. Nic dziwnego, to było niezwykle widowisko, rząd co dwa tygodnie zaliczał potężny kryzys, jednak z każdego potrafił się podnieść. Im więcej Kaczyński miał wrogów, tym się wydawał silniejszy. Platforma prowadziła w sondażach, jednak panowało przekonanie, że kolejne wybory znowu wygra PiS. Tusk przez dwa lata szedł po śladach Kaczyńskiego, bo uważał, że on najlepiej odczytał społeczne emocje i najtrafniej rozumiał polityczne reguły. Podpatrywał, jak korzysta ze spin doktorów, jak manipuluje informacjami, jak przerabia rząd w uległą ekipę, jak buduje partię prywatną. Dopóki Tusk nie wygrał wyborów, ani razu nie odważył się zejść z drogi, jaką kroczył rywal. I nie był to plagiat, lecz przenikliwość – Tusk pierwszy zrozumiał, że nastąpiła epoka Kaczyńskiego, że lider PiS stał się dla polskiej polityki punktem odniesienia. I zamiast z tym faktem walczyć, lepiej go wykorzystać. Bo w epoce Kaczyńskiego wcale nie musi rządzić Kaczyński.

W wielu sprawach Kaczyńskiego kopiować nie musiał, bowiem ich poglądy były uderzająco podobne. Obaj żywili głęboką pogardę do poprzedników, widzieli w nich natury niezdarne, miękkie, sparaliżowane gazetowymi banałami, że polityka ma być elegancka, ambitna i odpowiedzialna. Cenili wyłącznie Wałęsę i Millera, resztę politycznej elity postrzegali jako lękliwe stadko niepotrafiące ani walczyć o władzę, ani władzy sprawować. W ich oczach liderzy III RP byli napuszeni i niekompetentni, niezdolni do zanurzenia się w politycznym brudzie, uciekający przed konfliktem, nierozumiejący mas. Udawali silnych, ale byli słabi. Wszyscy im wchodzili na głowę – media, służby, oligarchowie, biskupi.

Tuż po wyborach w 2005 roku Tusk i Kaczyński rzucili się sobie do gardeł z zajadłością, jakiej polska polityka wcześniej nie widziała. Wraz z upadkiem Kaczyńskiego nic się nie zmieniło, rok 2007 nie był końcem epoki, Czwarta RP, czyli świat polityki opartej na permanentnym konflikcie, okrzepła w tej postaci na długie lata. Tusk i Kaczyński byli ulepieni ze zbyt podobnej gliny, aby wymiana jednego na drugiego coś istotnego zmieniła. Destabilizowanie mas, rozbudzanie w nich histerycznego gniewu oraz obsesyjnego lęku, i to codziennie, a nie tylko w czasie wyborów, stało się mechanizmem rządzenia. Do 2007 roku wojnę napędzał Kaczyński, gdy władzę stracił, do wojny budził go Tusk, zwykle obrażając mu brata. A po katastrofie smoleńskiej inicjatywę znowu przejął Kaczyński. O ile w 2006 roku w obu liderach widziano śmiertelnych wrogów, już rok później dostrzeżono, że ich wrogość spełnia kryteria udanej symbiozy. Nie był to przypadek. Przed wyborami w 2007 roku Tusk naciskany, aby dobić PiS, aby go rozliczyć w sejmowych komisjach, powtarzał swojej ekipie: „Nie będzie żadnego dobijania, przeciwnie, będziemy hodować PiS”. Słowo „hodować” powtarzał często, bo Kaczyński był dla niego czymś więcej niż wygodnym przeciwnikiem, był warunkiem zachowania bezpiecznego świata, złożonego z dwóch prawicowych partii, w którym dla trzeciej nie było miejsca. Elity bombardowały Tuska staroświeckim przekazem, że Platforma potrzebuje programu, ideowej wyrazistości, on tymczasem wiedział, że potrzebuje jedynie Kaczyńskiego. To on podpalił społeczeństwo i tylko on mógł ten stan podtrzymać. Kaczyński nie potrzebował Tuska, ale Tusk potrzebował Kaczyńskiego, po dwóch latach wiedział, że bycie anty-PiS-em jest najsilniejszym politycznym paliwem, z jakim się spotkał w swojej karierze.

Jeśli przez Czwartą Rzeczpospolitą rozumieć ideę, to umarła ona w 2005 roku bez próby wcielenia jej w życie. Jeśli rozumieć praktykę, która się zaczęła wraz ze zwycięstwem PiS, to nie umarła ona wraz z jego klęską. Nie tylko Kaczyński, również Tusk był władcą Czwartej RP, choć każdy z nich wyrzeźbił jej własny wariant. Dla

społeczeństwa cezurą był 2007 rok, bo zmianę władzy – dokonującą się w klimacie politycznej gorączki – przeżyło głęboko. Jedni ją przeżyli jako wybawienie, drudzy jako katastrofę. Jednak z perspektywy polityki ostatnim realnym przełomem był 2005 rok, bo wtedy się zmieniły polityczne reguły, dwa lata później zmieniła się jedynie osoba, która wedle nowych reguł sprawuje władzę. Świat rządzony przez Kaczyńskiego oraz świat rządzony przeciw Kaczyńskiemu były do siebie bardziej podobne niż do epok wcześniejszych. Ożywiały je konflikt dwóch polityków o podobnych poglądach, prowadzących walkę po to, aby zbudować klimat wojny domowej potrzebny do zachowania politycznego monopolu. Świat III RP, pełen licznych partii, ideowych kontrastów, słabych władców, krótkich kadencji został zastąpiony nawet nie przez dwie partie, lecz przez dwie osoby mające więcej swobody, więc również mniej skrupułów. Obaj gracze mieli podobne ambicje, nie chcieli być zakładnikami swoich partii, mediów, oligarchów, elit. Nie chcieli nie po to, aby skutecznie rządzić, ale aby dumnie panować. Mieli w sobie głód osobistej suwerenności i potrafili ten głód zaspokoić.

Stało się to możliwe, ponieważ obu liderom przyszło rządzić w epoce niebywałego wzrostu – w czasie dwóch lat rządów PiS gospodarka wzrosła o 13 procent, a w czasie siedmiu lat rządów Tuska o kolejne 24 procent. To były rekordy na skalę polskiej historii, Kaczyński i Tusk w prezencje dostali komfort, o jakim poprzednicy marzyć nie mogli. Nowa, pionowa architektura władzy, z potężnymi liderami, ze stabilną dominacją dwóch prawicowych partii mogła powstać tylko w cieplarnianych warunkach.







# **Rozdział V**

## **Na scenę wchodzi Tusk**



## ZWYCIĘSTWO TUSKA

**T**o była dziwna kampania, nie było w niej wielu graczy, lecz jeden. Jarosław Kaczyński. Przywódca tyleż charyzmatyczny, co toksyczny, który podzielił społeczeństwo na swoich zwolenników i wrogów. Jeszcze dwa lata wcześniej na środku sceny politycznej stało kilku graczy – Tusk, Lepper i Kaczyński, którzy walczyli o prawo dobiecia Trzeciej RP, oraz lewica, która się podjęła obrony realiów. Teraz pośrodku stał jedynie Kaczyński. Cały polityczny świat kręcił się wokół niego, innym rozdając drugorzędne role. Co nie znaczy, że stawka, o jaką się bili gracze z drugiego szeregu, była poślednia, przeciwnie, była olbrzymia. Ponieważ Kaczyński mobilizował więcej wrogów niż zwolenników, gdyby wrogowie poparli jedną partię, byłaby ona zwycięzcą wyborów. Dlatego od początku Czwartej RP umiejętność zarządzania lękiem przed Kaczyńskim stała się główną polityczną kwalifikacją. To nie był przejaw antypisowskiej agresji, na co się skarżył Kaczyński, on sam podyktował takie warunki. Sprawił, że tożsamości ideowe i historyczne zeszły na dalszy plan, że dla większości Polaków ważniejsze od tego, kto będzie rządził, stała się pewność, kto rządzić nie będzie.

Przywódcą wrogów Kaczyńskiego od dwóch lat był Tusk, co oznaczało, że może wygrać wybory. Kaczyński postanowił rozłamać antypisowski elektorat, więc swoim przeciwnikiem mianował Sojusz. Odmówił debaty z Tuskiem, oświadczył, że nie będzie dyskutował z pomocnikiem, woli z szefem, czyli z Kwaśniewskim. Lewica chętnie weszła w tę grę, odbyła się debata Kaczyńskiego z Kwaśniewskim, niezbyt ciekawa, były prezydent był zbyt dostojny, aby mocniej uderzyć, a i Kaczyński nie potrafił udawać, że lewica budzi w nim żywe emocje. Gra Kaczyńskiego nie była szczególnie wyrafinowana, niemniej poczucie, że PiS idzie prostą drogą do kolejnego zwycięstwa, stało się powszechne. Tusk psychicznie załamał się, popadł w depresję, na długie dni zniknął albo spał do południa, aby potem pojawić się w partii znękany, nieobecny duchem, bez wiary w zwycięstwo. Jego sztab bił się o debatę z Kaczyńskim, ale był moment, w którym Tusk się wystraszył i chciał zrezygnować z debaty. Gdy wreszcie ustalono jej termin, przyszedł kolejny kryzys. Tusk nie wierzył w swoje zwycięstwo, dwa lata wcześniej przegrał z Lechem Kaczyńskim, rywalem słabym, który nie był ani wielkim mówcą, ani twardym zapaśnikiem. Teraz miał walczyć z jego bratem, rywalem wielokrotnie silniejszym. W ostatniej chwili sztab

zapanował nad paniką lidera, zatrudniono trenera, zaczęły się ćwiczenia, Tusk się odbudował, uwierzył w zwycięstwo. Był naturą chwiejną, w chwilach słabości był miękki, stremowany, bojaźliwy, gdy się podnosił, był twardy, zimny, zdeterminowany. Do telewizyjnego studia przyjechał w zwycięskim nastroju. Uśmiechnięty, skupiony, pewny siebie. Ciosy, jakie zadawał, nie były finezyjne, zwłaszcza gdy wypytywał premiera o ceny podstawowych produktów. Jednak jego pewność siebie wybiła Kaczyńskiego z rytmu. Jemu też sztabowcy przygotowali kartkę z cenami, gdy Tusk zaczął go przepytować, sięgnął po kartkę, ale nie mógł otworzyć okularów. Ktoś z publiczności krzyknął: „Kaczor, nie ściągaj!”, a ten speszony uświadomił sobie, że debatę przegrywa. Na koniec Tusk miał przygotowany mocny sztych, rozmawiali właśnie o działaniach Ziobry i Kamińskiego, gdy Tusk zwrócił się wprost do Kaczyńskiego: „Odgrywa pan człowieka gołębiego serca. Coś panu przypomnę: wiele lat temu chodził pan po Sejmie z bronią. Kiedyś spotkaliśmy się w windzie, wyciągnął pan pistolet i powiedział: »Dla mnie ciebie zabić to jak splunąć«”. „Nie było takiego wydarzenia” – uciął natychmiast Kaczyński, ale ta riposta nie wystarczyła. Tusk wygrał debatę, co potem przyznał Jarosław: „To była wpadka... Poszedłem na debatę wymęczony, trochę chory i jednocześnie nieprzygotowany”. Lech opowiadał, że tuż po starciu z Tuskiem zadzwonił do brata, ten był bardzo niezadowolony, ale nie miał poczucia, że przegrał kampanię. Natomiast prezydent nie miał złudzeń: „Po tej debacie wiedziałem, że wybory są przegrane”. Ale był też drugi sprawca porażki, najmocniejszy cios swojej partii jak zwykle zadał Kamiński. Na pięć dni przed wyborami ujawnił akcję CBA dotyczącą posłanki Platformy. Sprawę niejasną, bo z jednej strony posłanka wzięła łapówkę, z drugiej, aby ją namówić, agent wcześniej ją uwiódł. Poparcie dla Platformy gwałtownie wzrosło, po wyborach Kaczyński przyznał, że decyzja Kamińskiego była błędem: „Trzeba było dać sobie z tym spokój”.

Wynik wyborów pozwolił oszacować siłę oddziaływania Kaczyńskiego – pozytywnego i negatywnego. W 2005 roku potencjały obu partii były wyrównane, około trzech milionów wyborców. W 2007 PiS miał już 5 milionów, a Platforma blisko 7. W ciągu dwóch lat Kaczyński zrekrutował PiS-owi dwa miliony nowych wyborców, a Platformie cztery. Ludzie, którzy od wielu lat nie głosowali, ruszyli do urn. Po dwóch latach rządów PiS-u frekwencja wzrosła o 33 procent – część zbudziła się po to, aby Kaczyńskiemu władzę zostawić, część, aby go władzy pozbawić. Bo począwszy od 2007 roku, wybory stały się referendum: za i przeciw Kaczyńskiemu. Przez wiele lat Tusk był organizatorem tych referendów oraz ich beneficjentem, ale ich bohaterem był wyłącznie Kaczyński. Tusk pasożytował na sytuacji, którą budował

inny polityk – bardziej wyrazisty od niego, bardziej charyzmatyczny, bardziej utalentowany. Co przysłoniło fakt, że w cieniu Kaczyńskiego skrył się polityk nie mniej ciekawy. Wygasły entuzjasta, który dawne pasje zastąpił skrajnie odczarowaną wizją świata, a doświadczenie swojej generacji przekuł w ultrasceptyczne credo. Bo całkowicie przestał wierzyć w politykę – w jej możliwości, w jej twórców i w jej odbiorców.

## CREDO TUSKA

Kiedy Tusk zakładał Platformę, nie był już liberałem, lecz politykiem, poglądy nie były dla niego celami, lecz narzędziami. Celem była władza pojmowana jako osobisty triumf, jako wzięcie pełnej puli stanowisk przez grupę kolegów. Między sobą ten cel nazywali „projektem”; tym chłodnym, technicznym pojęciem odreagowywali porażkę solidarnościowego obozu, jego idealizm i niezdarność, które zastąpili cynicznym profesjonalizmem. Jednak w tamtym czasie był to cynizm bardziej deklarowany, chcieli się umieć cynicznie zachować, ale jeszcze nie potrafili. Dali się ponieść emocjom epoki, zarówno oburzeniu na praktyki rządów Sojuszu, jak też maksymalistycznym marzeniom o nowych realiach. W 2005 roku poszli do wyborów z planem „3 razy 15” i naprawdę chcieli obniżenia podatków. Wierzyli jeszcze, że społeczeństwu na czymś zależy. Jednak po wyborczej porażce Tusk zrozumiał, że do cynicznego chłodu było mu daleko. Nadal idealizował politykę i masy, więc został pokonany prostackim straszaniem biedą. Kaczyński udzielił mu życiowej lekcji, nadał ostateczną miarę sceptycyzmowi, który od dawna w Tusku narastał. Od lat gardził inteligencją diagnozą społeczną. Prasówkę zaczynał od bulwarówek, był nimi zafascynowany, w ich szefach widział prawdziwych znawców mas, wiedzących, co je porusza, czego pragną, czego się boją. Sukces PiS potwierdził w oczach Tuska bulwarową wizję ludzkiej natury. Kiedy się wreszcie otrząsnął z porażki, wziął winę na siebie. „Nie byliśmy w stanie odpowiedzieć na atak. Nie żalę się, nie epatuję wybitymi zębami. Oni mieli prawo do tego, a my byliśmy nieprzygotowani”.

Na porażkę Tusk zareagował nową postawą. Nie pogniewał się na społeczeństwo, na jego kapryśność, ignorancję i podejrzliwość, na myślenie w krótkim horyzoncie, alergię na zmiany, które bolą dziś, a profitują jutro. Tusk to wszystko po prostu przyjął do wiadomości, uznał, że nie będzie się troszczył o masy ani bardziej, ani mądrzej, niż one się troszczą o siebie. Oświadczył, że każdy, kto wspomni o bolesnych reformach, zostanie wyrzucony z Platformy. Przez długie miesiące przygotowywał partię do wzięcia władzy w logice sługi mas, a nie ich przywódcy. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić w praktyce, ale generalna zasada została wykuta. Zasada nowa, bo nie był to minimalizm postkomunistów, którzy wróciwszy w 1993 roku do władzy, robili jak najmniej, aby społeczeństwu nie

podpaść. Bo oni mieli ambitne cele, choć obawiali się za nimi iść. Minimalizm Tuska był inny, był unicestwieniem wszelkich ambicji. Pochwałą bierności, trwania, spokoju. Nie brał się z bieżących konieczności, nie był punktem, do którego doprowadza premierów praktyka rządu, lecz planem powziętym na długo przed wzięciem władzy. Planem antypolitycznym. Tusk nie chciał prowadzić lepszej polityki, lecz chciał politykę do minimum ograniczyć. Różni ludzie brali w Polsce władzę, ale w chwili zaprzysiężenia ich głowy kipiały od marzeń, jak mali chłopcy śnili o wielkich czynach i sławie, jakie po nich zostaną. Tusk rozumował inaczej, chciał zdobyć społeczną sympatię dyskretną abdykacją, usunięciem się władzy w głęboki cień. Gdy z czasem zrozumiano jego strategię, pytano, po co w ogóle brał władzę. Niesłusznie, powodów sięgania po władzę jest wiele, rządy jest tylko jednym z nich.

Drugim przekonaniem, które dopełniło ekscentryczne credo Tuska, była zasadnicza niewiara w państwo. Ale nie ta dawna, z lat 90., będąca konsekwencją jego liberalnych poglądów. Teraz nie wierzył nie tyle w państwo, co w polskie państwo. Zamiast krępującego jednostkę lewiatana widział zdezelowaną maszynię, która się zacina przy wszystkich skomplikowanych zadaniach. Nie potrafi prywatyzować, budować dróg, panować nad służbami, stawiać czoła korupcji, ścigać przestępczości. Kaczyński powiedziałby, że polskiemu państwu kręgosłup skruszył układ, że mocy pozbawili go postkomuniści, agenci oraz złodzieje. Tusk zgadzał się i co do postkomunistów, i co do agentów, i co do złodziei, niemniej za najliczniejszych uważał idiotów. Gdy w wąskim gronie mówił o państwie, również w czasie, gdy rządził, mówił, że zaludniają go sami „debile”, „idioci”, „durnie”. Nie były to wybuchy gniewu, Tusk szczerze tak myślał, niezdarność i niekompetencję uważał za istotę administracji centralnej. Chorobę postrzegał jako tak rozległą, że plany naprawcze miał za utopię. Nie zamierzał państwa leczyć, jego wady – podobnie jak wady społeczeństwa – przyjął do wiadomości. Nie zdradzał publicznie swoich przemyśleń, były zbyt pesymistyczne, ale diagnoza polskich realiów, jaką roztaczał w rozmowach ze swoją drużyną, była równie sceptyczna, co Kaczyńskiego. Nie ma na czym oprzeć sensownej polityki. Społeczeństwo jest pogubione, elity niemądre, państwo popsute. Wady społeczeństwa Tusk akceptował z sympatią, a nawet z szacunkiem, natomiast wobec elit oraz aparatu państwa czuł głęboką pogardę.

Pesymizm Tuska nie miał prostego oblicza. Była w nim wielka umysłowa dojrzałość, niezwykła zdolność do spojrzenia z dystansu na wszystko, do rewizji każdej oczywistości, do stawienia czoła każdej konkluzji. Nikt wcześniej nie potrafił i nie chciał tak trzeźwo spojrzeć na władców, na masy, na elity, na państwo.

Kaczyński zawsze sobie wybierał taką perspektywę patrzenia, aby naprzeciw widzieć diabła, a w lustrze anioła. Tusk wobec siebie i świata był zupełnie szczery. W swoim myśleniu był cyniczny, jednak ten cynizm stanowił intelektualną konkluzję, a nie moralną słabość. Tusk przemyślał losy swoich poprzedników, ich krótkie rządy, ich nagłe upadki, ich wyśmiane projekty. Zarazem był w Tusku defekt, jaki rodzi bezkompromisowa mądrość, która upojona własną głębią i dojrzałością nie zadaje sobie najważniejszego pytania. Nie o własną prawdziwość, lecz o użyteczność. Tusk skupił się na pułapkach rządzenia, podczas gdy mądrością praktyki jest zdolność zapomnienia o nich. Kto zbyt wyraźnie widzi ryzyko, nie potrafi go podjąć. Kto widział zbyt wiele upadków, boi się chodzić, a nawet stać. Tusk ze strachu przed upadkiem postanowił się od razu położyć. To go zabezpieczyło przed upadkiem, nikt nigdy go nie wywrócił, nikt nie zdarł mu z głowy korony. Zarazem zanim stał się władcą, zdecydował, że władcą nie będzie. Bo bez minimum odwagi, ryzyka, pańskości władzy być nie może. Tusk objął władzę nazbyt świadomie, w chwili gdy został premierem, był więcej niż dojrzały, był przejrzały.

Gdyby mu to powiedzieć, zlekceważyłby zarzut. Przecież nigdy nie chciał rządzić, lecz jedynie panować. W 2005 roku bił się o Pałac, bo nie chciał władzy realnej, lecz tytularnej. W 2007 roku nic się nie zmieniło, celem nadal była prezydentura, jedynie okoliczności sprawiły, że aby zostać prezydentem, na trzy lata musiał zostać premierem. Gdyby oddał fotel innemu – jak kiedyś Kaczyński – mógłby stracić i partię, i prezydenturę. Tusk wziął władzę nie po to, żeby rządzić, ale by się podobać. W związku z ekscentrycznością zamysłu przed władzą stanęły zupełnie nowe pytania. Czy przez trzy lata można nie rządzić? Czy społeczeństwo można uspić biernością? Czy Jarosław nie zawiedzie i się nie zamieni w baranka? Od strony politycznej kuchni przyszłość planów Tuska była bardzo ciekawa.



## PIERWSZE KROKI

Tusk był konsekwentny. To, co zaplanował, wprowadzał w życie. Od wielu miesięcy członkowie partyjnej elity przygotowywali się do objęcia ministerialnych foteli. Nominacje dostali, ale na inne funkcje. Ten, kto się wybierał do resortu sprawiedliwości, dostał infrastrukturę, ten, kto miał objąć MON, dostał Ministerstwo Kultury, ten, który miał zostać ministrem finansów, został szefem klubu. Tusk nie chciał ambitnych ministrów, którzy mają swoje plany i swoje ambicje, bał się ich porażek, bał się również sukcesów, po których zanadto wyrosną. Większości swoich ministrów nie cenił, o nich również mówił „idioci”, często w ich obecności, ale nie zamierzał szukać lepszych. Jego ocena urzędników była tyleż opisem, co samospełniającą się dyrektywą kadrową. Do rządu wprowadził tylko trzy osoby, których kompetencje szanował, reszta miała utknąć w ministerstwach i zatonać w bieżących sprawach. Tusk od początku uważnie ministrom patrzył na ręce, bał się, że go wprowadzą na minę, co się z początku zdarzało. Minister zdrowia, zarazem przyszła premier, przygotowała fatalny projekt ustawy, Tusk przeczytał go w ostatniej chwili, wściekł się, zrugął ją od stóp do głów, doprowadził do płaczu, kazał innemu ministrowi pisać projekt od nowa. Po kilku miesiącach tresury ekipa zrozumiała reguły, nikt nie pragnął niczego poza świętym spokojem, nikt nie miał własnych ambicji, nie robił niczego bez zgody premiera. Tusk w pełni zapanował nad swoją drużyną. To, że nie był to zespół orłów, nie umniejsza sukcesu, bo u nietotów ambicje bywają większe. Twarde, kastracyjne rozkazy poszły nawet w stronę Ministerstwa Finansów, które oficjalnie pracowało nad redukcją publicznego długu, ale po cichu zostało zmuszone do wycofania się z planów.

Tusk nie krył antypolitycznych planów. Od pierwszych miesięcy otwarcie odcinał się od szerszych wizji, od dużych projektów. Mówiąc o rządzeniu, używał prozaicznych, rzemieślniczych metafor: „dłubanie”, „ścibolenie”... Dowodził, że ideałem jest rozwiązywanie problemów metodami administracyjnymi, bez nowych ustaw, bez wyrazistych ruchów, samym moderowaniem codziennej praktyki. Zarazem rozumiał, że biernością nie może się chwalić zbyt często, premier nie może każdego dnia ogłaszać, że zablokował kolejne plany swoich „idiotów”. Więc poszedł z duchem epoki, której ton nadał Sarkozy, francuski prezydent, który co tydzień ogłaszał kolejne ambitne plany, porzucając te sprzed kilku tygodni. Tusk robił to

samo, uważnie analizował sondaże, a potem serwował oferty dla wszystkich. Elity biznesowe zjednął zapowiedzią, że za dwa lata zostanie zniesiony podatek od lokat bankowych, a za cztery lata wejdzie podatek liniowy; zwolenników reform uspokoił planem wejścia do strefy euro, masy kupował nierealnymi obietnicami w rodzaju darmowego komputera dla każdego gimnazjalisty albo seansami twardości, w których obiecywał przymusową kastrację pedofilów, wojnę z chuligaństwem albo walkę z dopalaczami. Wbrew zarzutom, w swoich praktykach nie był bezczelny, manipulował ludźmi łagodnie, z umiarem, nie wykraczając poza społeczny popyt na aktywność władzy.

Partii niezbyt to się podobało. Uważano, że warunkiem zachowania władzy jest sukces w rządzeniu, że nie wystarczy sam brak porażek. Z Tuskiem się zgadzał jedynie Bielecki, jego najbliższy doradca. To on utwierdzał Tuska w przekonaniu, że gdy premierowi zdarzy się komfort wzrostu gospodarczego, nie powinien nic robić. Opowiadał, że tak wygląda polityka na Zachodzie, że liderzy są aktywni w polityce zagranicznej, natomiast w krajowej nie robią nic. Gdy się pojawiają problemy, nie rozwiązują ich, lecz odsuwają na przyszłość. Tusk odsuwania uczył się szybko, świetnie się przy tym bawiąc. Nad każdym problemem pochylał się z teatralną powagą, ogłaszał konsultacje, powoływał komisje, do których wprowadzał ludzi o przeciwstawnych poglądach, co albo paraliżowało pracę, albo przynosiło sprzeczne projekty, nad którymi praca musiała ruszać od nowa.

Jednak do lekcji Bieleckiego Tusk dodał osobiste motywacje. Zachodnia polityka była pasywna z lenistwa i egoizmu, polska z powodu lęków i obsesji premiera. Tusk w decyzjach bał się wszystkiego. Bał się ich społecznych skutków, tego, że w kogoś uderzą, co spowoduje protesty. Bał się mediów, uważał, że na niego polują, również te, które udają przychylność, czają się tylko, aby zadać mu cios. Ale najbardziej obawiał się lobbystów, którzy do każdej decyzji potrafią dopisać swoje brudne interesy, co może pogrążyć premiera. Tusk miał obsesję na punkcie afer, uważał, że Polska jest do gruntu skorumpowana. Nigdy się nie czuł bezpiecznie, lękał się prowokacji, lobbysty, który do niego podejdzie, nagra rozmowę, albo przypadkowego spotkania, które ktoś uwieczni na zdjęciu. Konsekwentnie odmawiał spotkań z ludźmi biznesu. Na zewnątrz pogodny, Tusk był skrajnie nieufny, wiecznie czujny, wręcz najeżony. Jego pesymistyczna wizja świata kazała mu wszędzie szukać pułapek. Reprezentował ten typ ostrożności, który cechował władców żyjących w czasach okrutnej polityki. Nie wierzył, że nadejście demokracji zmieniło naturę polityki, sądził, że tylko ją lepiej ukryło. Jeśli sukces uznać za kryterium prawdy, Tusk miał rację – ostrożność pozwoliła mu zostać najdłużej rządzącym premierem.

Od pierwszych tygodni rządów Tuska PiS krzyczał, że wraca Trzecia RP, ale to nie była prawda, Tusk jedynie zerwał z retoryką wielkich zmian, nie był natomiast obrońcą dawnych porządków. Podtrzymał linię Kaczyńskiego, ale dyskretnie, bez jego wojowniczości. Po wyborach oświadczył, że nie będzie ani „depisyzacji”, ani „dekaczyzacji”. Nie były to puste słowa, premier oparł się naciskom, nie zlikwidował CBA, nie zdymisjonował Kamińskiego. Cała „popisowa” diagnoza chorób polskiej polityki została przez Tuska podtrzymana: jest ona skorumpowana, naiwna wobec wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeń, oparta na tandetnym państwie, nadmiernie skupiona na perspektywie elit, niedająca satysfakcji masom, bojaźliwa wobec silnych państw. Tusk różniła od Kaczyńskiego nie diagnoza, lecz sposób jej traktowania. Kaczyński budował z niej głośne oskarżenie, którym legitymizował swoje rządy, natomiast Tusk czynił ją założeniem politycznej praktyki niewymagającym krzykliwych anonsów.





# **Rozdział VI**

## **Tusk kontra drugi Kaczyński**



## EMOCJE PREZYDENTA

**W**ziąwszy władzę, Tusk nie od razu znalazł się w centrum uwagi, bo do gry wszedł mocno drugi Kaczyński. Prezydent głęboko przeżył porażkę brata, na długie tygodnie popadł w depresję, nie opuszczał Pałacu, snuł się po nim apatycznie albo wpadał w ataki złości na Tuska. O ile Jarosław natychmiast się otrząsnął z porażki, Lech cierpiał za obu. Uważał, że bratu stała się wielka krzywda, że Tusk poprowadził kampanię wyjątkowo nieczysto, a Polska mocno ucierpi na odejściu premiera, którego uważał za postać na miarę historii. Po przegranej Jarosława nie widział w polityce miejsca dla siebie, chciał osłaniać wielkie projekty wprowadzane przez brata, wraz z jego upadkiem prezydentura straciła sens. Lech nie potrafił ukryć swoich emocji, przez wiele tygodni publicznie się dąsał, nie chciał spotkać się z Tuskiem, zwlekał z desygnowaniem na urząd premiera, mnożył formalne problemy. W końcu się przełamał i przystąpił do ofensywy. Próbował zablokować dwie ministerialne nominacje, nie miał dobrych argumentów, ale działał racjonalnie, chciał wyznaczyć premierowi drugie miejsce w szeregu. Tusk opinie prezydenta zignorował, ministrowie zostali powołani. Przegrawszy pierwszą bitwę, prezydent atakował dalej, premier podjął pierwsze dyplomatyczne decyzje, prezydent uznał je za skandal, dowodził, że wedle konstytucji to głowie państwa podlega polityka zagraniczna. Nie miał racji w tym sensie, że konstytucja niczego jasnego na ten temat nie mówi. Ale to nie było ważne, w sporach kompetencyjnych od racji ważniejsza jest siła. Problem w tym, że Lech nie miał ani racji, ani siły. Wałęsa potrafił premiera tak mocno ścisnąć za gardło, że ministrami w MSZ, MON i MSW zostawali politycy wskazani przez niego, Lech tego nie potrafił. Zarazem nie chciał ustąpić premierowi, który pokonał mu brata. Próbował się więc rozpychać, do czego się dramatycznie nie nadawał. Nie umiał się bić, był naturą miękką, brutalną stronę politycznego rzemiosła zawsze brał na siebie Jarosław.

Oświadczył, że chce reprezentować Polskę na unijnych szczytach, co zapoczątkowało wielomiesięczne przepychanki, bo premier nie miał zamiaru się poddać. Próbował być ofensywny także w polityce krajowej, zwołał Radę Gabinetową. Chciał pokazać, że panuje nad rządem, ale wywołał całkiem inny efekt. Wyciekł stenogram posiedzenia, był ciekawy nie dlatego, że prezydent nie zapanował nad wrogim gabinetem, ale że w ogóle zapanować próbował. Zamiast odsiedzieć trzy

kwadransie, a potem oskarżyć rząd, że z niczym sobie nie radzi, prezydent postępował tak, jakby wierzył, że swoim autorytetem onieśmieli ministrów, że zmusi ich do wyznania swoich błędów i zaniechań. Próbował być majestatyczny, cesarski, nieustannie przypominał ministrom, że jest prezydentem. Zadawał kolejne pytania, ale niezadowolony odpowiedziami gorączkowo przerywał, aby dalej dowodzić, że prezydent ma prawo więcej usłyszeć. Włączał się premier – wrogi, protekcyjny, drwiący – prezydent odbierał mu głos i z jeszcze większą niezdarnością walczył o dominację.

Problem był poważniejszy niż jedno spotkanie. Prezydent nosił w sobie głód szacunku – nieopanowany, natrętny, monarchiczny. Tłumaczył to troską o autorytet państwa, twierdził, że żąda szacunku nie dla siebie, lecz dla Polski, ale to nie było prawdą. W tej raczej sympatycznej naturze kryły się całkiem pokaźne wady. Z dekady na dekadę stawał się coraz bardziej przemądrzały, wiecznie wszystkich pouczał, poprawiał, musztrował. Gdy Ziobro wchodził do jego gabinetu, Kaczyński sprawdzał, czy ten się przywitał z sekretarką. Jeśli zapomniał, prowadził go do sekretarki i kazał całować w rękę. Ministra finansów potrafił zrugać za to, że przeszedł drzwiami przed urzędniczką. Uczył innych nie tylko manier. Ciągłe chełpił się swoją wiedzą, przywódców państw potrafił przepytować ze znajomości historii. Wiecznie wszystkich poprawiał: polityków, dziennikarzy, nawet tłumaczy, choć nie znał żadnego języka. Jego uwagi były na poziomie, że „very, very” nie można tłumaczyć jako „bardzo”, lecz „bardzo, bardzo”. Była też druga słabość, jeszcze większa – Lech łaknął hołdów, uznania, splendorów. Gdy na początku politycznych karier bracia objęli urzędy w Kancelarii Prezydenta, największe konflikty z Wałęsą dotyczyły precedencji, czyli porządku witania, przemawiania, siadania. Przewrażliwienie braci granic nie znało, ciągle się czuli pominięci i obrażeni. Wałęsa opowiadał: „Co ja się z nimi miałem! Ciągłe przychodzili z pretensjami o precedencję. Że ktoś inny wszedł pierwszy do samolotu... że ktoś zajął ich miejsce na trybunie”. Osobiste słabostki Lecha nie byłyby ważne dla polityki, gdyby nie to, że właśnie w niej się ujawniły najostrej. Stop dwóch potrzeb – pouczenia i szacunku – uczynił go nadmiernie drażliwym i pchał w stronę groteskowych prób wymuszania posłuchu. Zachowywał się jak faraon, któremu skradziono pastorał, nieustannie przypominał, że jest prezydentem, swoim urzędnikom, dziennikarzom, politykom. „To ja tu jestem prezydentem”, „Ja sobie wypraszam!”, „Proszę czekać, aż udzielię głosu”, „Ja mówię” – dziesiątki świadectw opowiadają o jego wybuchach. Gdy w pierwszych miesiącach kadencji mieli go odwiedzić Tusk i Rokita, odwołał spotkanie, bo Komorowski skrytykował go w mediach. Gdy potem ich zaprosił, był śmiertelnie obrażony,

wyciągnął teczkę z wycinkami z gazet, w których Tusk i Rokita jego zdaniem go obrazili. Innym razem, znowu w tym samym gronie, wpadł w irytację, że Tusk i Rokita zamiast go słuchać, ośmielają się spierać. Z dumnie – w jego intencji – podniesioną głową gniewnie powtarzał: „Przypominam panom, kto tu jest kim w tym budynku i kto tu komu może zadawać pytania”. Lubił grać rolę groźnego władcy, próbował straszyć niełaską, ale w jego gestach nie było powagi. Rozbawiony Rokita opowiadał, jak prezydent go witał: „Podał mi rękę, ostentacyjnie odwracając się ode mnie ze wstrętem”. Chciał, aby jego gesty były monarchiczne, ale były komiczne. Obsesja szacunku go zżerała, potrafił odwołać szczyt z udziałem kanclerza Niemiec i prezydenta Francji z powodu obraźliwego tekstu w niemieckiej gazecie, uważał, że naruszono autorytet polskiego państwa, domagał się przeprosin od niemieckich władz. Gdy przyszedł do kancelarii premiera na spotkanie z sekretarzem stanu USA, okazało się, że winda nie działa. Lech dostrzegł w tym świadomą zniewagę, na nic się zdały tłumaczenia, że kwadrans wcześniej amerykański minister również wchodził po schodach. To, co prawica nazwała „przemysłem pogardy”, czyli praktyka odzierania prezydenta z powagi, zrodziła się z zachowań prezydenta, który sam zrobił dużo, aby powagę stracić. A do tego często pokazywał swój czuły punkt, że każdy wiedział, gdzie go bić, aby zabolalo.

Kompetencyjny spór z Tuskiem od początku prezydent rozgrywał fatalnie, nie tylko dlatego, że nie potrafił przeciwnika boleśnie uderzyć, przede wszystkim jego aspiracje do większej władzy wyglądały jak dąsy. Tymczasem pod warstwą emocji kryły się również poglądy. Im dłużej Tusk rządził, tym mniej Kaczyński mu wierzył, dostrzegł w nim cynika, gotowego poświęcić interes państwa dla egoistycznej korzyści. Do gry weszły również liczne podejrzenia, bo w ostatnich latach życia Lech stał się bardziej podejrzliwy od brata. Politycy mają mały kontakt ze światem, żyją głównie plotkami, Lech był podobny, ale wierzył wyłącznie w mroczne informacje. Nie było tak niemądrej plotki o Platformie, której by nie potraktował poważnie. Przez całe życie poglądy miał trzeźwe, wizję ludzkiej natury pogodną, usposobienie tolerancyjne, ale stres prezydentury mocno go odmienił. Stan psychicznej rozsypki, w który czasem popadał Tusk, u prezydenta był normą. Fatalnie się czuł na swoim urzędzie, destabilizowały go krytyka mediów, własne błędy, mieszkanie w Pałacu, a przede wszystkim emocjonalność kobiet, którymi się otoczył. Zimne, męskie intrygi zastąpiły też intrygi, ale pełne szlochów i chichotów, scen wybuchów i pogodzeń. Prezydent zawsze był emocjonalny – gdy dowiedział się, że koleżanka z podziemia choruje na raka, publicznie się rozplakał – ale atmosfera Pałacu nerwowość wprowadziła w centrum jego charakteru.



Naprzeciw Tuska stał przeciwnik labilny, rozdygotany, pełen osobowościowych atutów, które w ciągłych atakach gniewu, depresji lub paniki przechodziły w wady. Rację mieli zarówno jego obrońcy, jak też krytycy, każdy jego opis był prawdziwy, bo ze skromności płynnie przechodził w pychę, z powagi w nadęcie, z patosu w groteskę. Zmiany były tak częste i szybkie, że każdy mógł w nim zobaczyć tego, kogo chciał. Ta niestabilność stanowiła jego najgłębszą tożsamość i przełożyła się na charakter prezydentury. Nie był prezydentem ani wielkim, ani małym, ani złym, ani dobrym, ani partyjnym, ani ponadpartyjnym, ani poważnym, ani groteskowym. Bywał każdym z nich, w zależności od dnia, od nastroju, od okoliczności. Dla tak kapryśnej natury dźwiganie ciężaru prezydentury było osobistym dramatem. Lech emocjonalnie nie sprostał stresującej funkcji, czym zresztą mocno się gryzł.

Ale był też dodatkowy ciężar, który musiał dźwigać i który sam sobie nałożył, czyli bliźniactwo. Bracia popełnili dramatyczny błąd, wchodząc równocześnie do wielkiej polityki. Do pewnego momentu równoległe kariery były czymś normalnym, jednak objęcie najwyższych urzędów sytuację zmieniło. W centrum polityki wprowadzone zostały relacje rodzinne, prezydent był bratem szefa partii rządzącej, a potem bratem premiera. Kim zatem był? Prezydentem czy bratem? Jedyne obowiązki głowy państwa polega na zbudowaniu dystansu wobec partii, która go poparła, aby móc udawać prezydenta wszystkich Polaków. Kwaśniewski i Komorowski potrafili zbudować iluzję dystansu. Prezydent brat nie potrafił, czemu trudno się dziwić, ale co też trudno wybaczyć. Poczucie braci, że mają prawo do rządzenia na własnych warunkach, wedle których pokrewieństwo nie jest ograniczeniem, było nie tyle błędem, co bezczelnością. Rodzinny egoizm popchnął ich do złamania zasad, których nikt inny nie ośmielił się złamać. Czy sędzia może osądzać swojego syna? Nie, bo racjonalność urzędu sędziego zostaje zniszczona. Czy córka może zdawać maturę przed ojcem? Nie. Czy brat może prowadzić śledztwo przeciw siostrze? Syn operować własną matkę? Czy premierem może być córka, a prezydentem ojciec, nawet jeśli oboje zdobyli poparcie większości? Też nie mogą, bo dzisiejsza epoka żąda odarcia publicznych funkcji z rodzinnej stronnictwa. Nie daje to gwarancji obiektywizmu, ale daje wyraz wartościom epoki, która życie publiczne buduje na sprzeciwie wobec więzi jawnie stronnictwa – plemiennych, rodzinnych lub korupcyjnych. W dawnych czasach, gdy polityką rządziły dynastie, fenomen braci Kaczyńskich byłby czymś normalnym, w demokracji byłby zuchwałym anachronizmem, tak zaskakującym, że nawykła do innych standardów publiczność nawet nie potrafiła nazwać problemu. Jednak go czuła, zwłaszcza że więź bliźniacza

była ostentacją wzmocnioną przez efekt tego samego wyglądu. Bliźniactwo krzychało, że dwa najwyższe urzędy w państwie objęły jedna osoba, jedna wola, jeden plan.

Jarosław był postrzegany jako silniejszy, więc odium relacji rodzinnych spadło na brata, Lecha uważano za podporządkowanego i dyspozycyjnego. Nie było to prawdą, jednak tak to wyglądało. Przez rok rządów Jarosława ani razu Lech nie wyszedł poza logikę obrony premiera, więc kiedy po wygranej Tuska zażądał silnej prezydentury, nie był w stanie do swoich racji przekonać. Ktoś, kto pomniejszył prezydenturę, nie mógł jej teraz wzmocnić, jego wojna z Tuskiem wyglądała na kolejny spór, w którym prezydent wykonuje pracę dla brata. Jednak nie to było największym problemem, jaki zrodziło bliźniactwo – więzi rodzinne kaleczyły politykę, ale też polityka kaleczyła braci. Każdy, kto chciał uderzyć w jednego, mógł uderzyć w drugiego, dla publiczności bliźniacze twarze zlewały się w jedną. Ale był też drugi powód, ważniejszy, ciosy zadane bratu bardziej bolały. Jak w dawnych, brutalnych czasach, kto chciał się zemścić na władcy, zabijał mu żonę lub dziecko. Uderzano w Lecha, aby mocniej zabolalo Jarosława, uderzano w Jarosława, aby Lech cierpiał bez miary. Tusk szybko zrozumiał, że bracia własnymi rękami zbudowali perpetuum mobile do zadawania sobie bólu na tyle dużego, że wrażliwszy Lech tracił panowanie nad sobą. Rodzinny biznes stał się pułapką, bracia mieli poczucie, że przeciw nim toczy się kampania, której brutalność nie ma precedensu, tymczasem było inaczej. To nie ciosy były twarde, to odporność braci była obniżona, Tusk nie był brutalny, był tylko bezwzględny. Widząc, jak rozedrgany jest Lech, jak głodny szacunku, jak bracia cierpią z powodu ran drugiego, nie ustawał, lecz dalej uderzał. Nie musiał bić mocno, małe ciosy wywoływały ten sam efekt co wyrefinowane tortury. Wystarczyło głośne oskarżenie, że prezydent jest alkoholikiem albo że toczy go poważna choroba, albo odebranie ochrony BOR Jarosławowi, aby bracia skrzęcali się z bólu i ze złości. Sami kiedyś uderzali mocniej, niszczenie Wałęsy jako agenta było spektaklem bardziej gwałtownym i bardziej okrutnym. Precyzyjnie wybrali oskarżenie mordercze, niszczące cały jego dorobek, a potem bili tak wytrwale, że doprowadzili Wałęsę do nerwowego rozstroju, w drugiej połowie kadencji wielokrotnie miewał omdlenia. Ciosy, które teraz zadawano braciom, były słabsze, raczej chamskie, niż brutalne. Poczucie sadyzmu Tuska brało się nie z przyczyny, lecz skutku – prezydent Kaczyński cierpiał mocniej niż prezydent Wałęsa, cierpiał mocniej niż jakikolwiek polityk w historii III RP, tak mocno, że po jego śmierci Jarosław dla zemsty zdecydował się na smoleńskie szaleństwo. Lech był jedną wielką raną, a Tusk nie miał skrupułów, tydzień w tydzień rzucał w tę ranę

waciki z wodą utlenioną. Prezydentura stała się dla Lecha gehenną. Ale nie mógł oddać urzędu ani schować się w cień, bo nie chciał zawieść brata. Więc słaby, umęczony parł nadal do przodu, aby się zetrzeć z Tuskiem na polu nowym dla polskiej polityki – na scenie międzynarodowej.

## RZUT OKA NA OSTATNIE KILKA LAT POLSKIEJ DYPLOMACJI

W polityce zagranicznej dużo się działo, nie tylko w polskiej, lecz w całym regionie. Wcześniej było inaczej, przez piętnaście lat dyplomacja Europy Środkowej sprowadzała się do próśb – o umorzenie kredytów, o pożyczki, o wejście do NATO, o przyjęcie do Unii. Aby swoje dostać, państwa musiały się godzić na upokarzające praktyki, najbardziej wrażliwe decyzje zostały poddane zewnętrznej kontroli, pomniejsi urzędnicy dyktowali premierom decyzje. Cierpliwie to znoszono jako warunek wyjścia z komunistycznego upadku, gdy jednak epoka bycia petentem się skończyła, mocno ją odreagowano. W Czechach, na Węgrzech i w Polsce zrodziły się duma, gniew i ambicja. U Polaków była to głównie ambicja, dostrzegli własny potencjał. Rozszerzenie Unii w 2004 roku, największe w historii, było największe właśnie dzięki Polsce. Finalizując rozmowy, Miller zorientował się, że łączny potencjał pozostałych dziewięciu państw ledwo sięgał polskiego, w czasie negocjacji akcesyjnych w istocie było dwóch partnerów, Polska i reszta, choć aby zmiękczyć Warszawę, udawano, że jest jedną z wielu stolic. Oczywiście otwierały się nie tylko Millerowi – gdy polscy politycy spojrzeli na Unię od środka, dostrzegli, że Polska nie jest mała nawet na tle starych członków. W Unii były cztery duże państwa i zarazem duże gospodarki – Niemcy, Francja, Anglia i Włochy, oraz jeden gracz średni – Hiszpania, reszta była znacznie mniejsza od Polski. Większość państw liczyła po kilka milionów mieszkańców, niektóre dobiły do dziesięciu, tylko Holandia miała kilkanaście. W sferze ekonomii też nie było najgorzej, jedynie gospodarka Holandii była dużo większa od polskiej, do kolejnych na liście – Szwecji i Belgii – Polska się szybko zbliżała.

Sygnal do ujawnienia ambicji dał Miller, sprowokowany nagłą zmianą podziału głosów w przygotowywanym właśnie traktacie unijnym. Kilka lat wcześniej przywódcy Unii przyznali Hiszpanii i Polsce niemal tyle głosów co Niemcom. Berlin również się na to zgodził, teraz jednak zmienił zdanie, postanowił znacząco wzmocnić własną pozycję, a średnie państwa znacząco osłabić. Miller uznał to za skandal, pojechał na unijny szczyt, grożąc polskim wetem. I słusznie, gdyby biedna Polska sama zażądała tyle głosów co Niemcy, byłaby śmieszna, gdyby jednak już przyznane wpływy oddała bez walki, byłaby jeszcze śmieszniejsza. Polskim politykom brakowało jeszcze doświadczenia, wierzyli, że korzystny system zdołają

ocalić, co było naiwne. Niemniej w groźeniu wetem od sukcesu ważniejsza była demonstracja nowej postawy. Miller miał odwagę postraszyć wetem, więc sprawa została odłożona na później.

Z czasem lewica pogodziła się z klęską, ale Platforma i PiS tematu odpuścić nie chciały. Gdy władzę wzięli bracia, prawica ruszyła do walki. Zachodnim stolicom PiS zaproponował kompromis, wymyślony przez Platformę system podziału głosów, tyleż sensowny, co nierealny, bo nikomu poza Polską na nim nie zależało. Pomysł odrzucono, prace nad nowym traktatem zakończyły się pełnym sukcesem Niemiec. Zbliżał się szczyt mający ten efekt zatwierdzić, a wtedy Jarosław zagroził wetem, jeśli Unia nie przyjmie polskiej oferty. Tym razem szarża sensu nie miała, to już była faza sporu, którą się rozstrzyga dyplomatyczną zręcznością, a tej Jarosław nie miał, nikogo nie zdołał przekonać do polskiej oferty. Nie miał także wiedzy, jego ignorancja w kwestiach zagranicznych była zjawiskiem niezwykłym, w 2004 roku dowodził, że Polska nie powinna na razie wchodzić do Unii, bo dostała złe warunki i będzie do niej dopłacać. Ten inteligentny polityk o współczesnej Europie nie wiedział nic, zbyt głęboko nią gardził, zbyt silną czuł obcość wobec jej wartości i obyczajów. Był zwolennikiem obecności w Unii, aby się odsunąć od Rosji, ale w jej życiu nie chciał brać udziału. Słusznie zakładał, że generalne mechanizmy polityczne panujące w Unii są podobne do tych w polityce krajowej – twarde, brutalne i egoistyczne. Wiedział, że trzeba się bić, jednak reguł tej walki nie znał. Wyobrażał sobie, że kilkoma ciosami w Berlin czy w Brukselę można wygrać swoje, ale było inaczej, w Unii brutalność wymaga więcej finezji i czasu, na szachownicy stoi dużo figur, nie wystarczy bić w jedną, trzeba zjednać pozostałe, czego Jarosław nie potrafił. A nawet gdyby potrafił, też by nie zdołał. Przesuwając PiS tak daleko w prawo, w oczach zachodnich stolic stał się dinozaurem. Często drwił sobie z Unii, jednak sam był obiektem jeszcze większych drwin, nigdy się nie stał poważnym partnerem, co było kolejną ceną, jaką płacił za budowę partii prywatnej na skrajnych pozycjach. Najpierw stracił skuteczność w polityce krajowej, potem w zewnętrznej. Tymczasem w tej sferze miał wielkie plany, czuł się twórcą nowej dyplomatycznej doktryny. Opartej na realistycznym opisie Unii jako pola walki narodowych egoizmów. Wskazującej Polsce strategiczny cel, czyli dołączenie do klubu państw rządzących Unią. Oraz metodę osiągnięcia celu – siłowe wdarcie się do klubu.

Jak wszystkie pomysły Kaczyńskiego, również ten szedł w poprzek prawdy, coś odkrywał, coś pomijał. Kaczyński miał rację, że Unią rządzą narodowe egoizmy, ale nie rozumiał ram, w jakie je wtłoczono. Nowych reguł, nowych wartości, nowej hipokryzji, których nie respektując, oddalał się od celu. W 1918 roku Dmowski

skutecznie się bił o polskie granice, bo nie tylko dużo chciał, ale też dużo potrafił. Wiedział, z kim grać, co oferować, jakie obawy gasić, jakie nadzieje rozbudzać. Przy liderze endecji Kaczyński był kompletnym amatorem, nie wiedział nic, jego ambicja była tyleż słuszna, co ślepa, jego determinacja tyleż duża, co bezsilna. Chciał wejść do klubu najsilniejszych państw, nie tylko podnieść Polskę z kolan, ale i rzucić na kolana największe potęgi. Brzmiało to imperialnie, jednak Polska imperium nie była. Wiara w to, że władzę nad Unią można wziąć szturmem w kilka lat, była ideą szaloną. Wyrwać Paryżowi czy Berlinowi część władzy nad Europą potrafili Amerykanie, czasem Rosjanie, jednak nie Polska, kraj pozbawiony strategicznych atutów, od wieków nieobecny w dyplomatycznych grach. Nawet wirtuozi nie sprostaliby temu zadaniu, a pisowska ekipa od wirtuozerii była daleka. Premier z polityki zagranicznej nie rozumiał nic, szefowa dyplomacji niemal nic, a najrozsądniejszy w tym gronie prezydent rozumiał sporo, ale potrafił mniej.

Lech miał nad bratem wielką przewagę, rozumiał unijne reguły, wiedział, że kanclerz Niemiec nie jest Lepperem, którego można powalić jednym ciosem. Powstrzymał brata przed wetem wobec traktatu, sam pojechał na szczyt, strasząc wetem, ale uprzedził brata, że traktat poprze. Również Lech miał wielkie marzenia, Polska miała się stać liderem regionu. Graczem tak silnym, aby mógł wpływać na politykę Unii wobec Rosji. I znowu, cel był tyleż słuszny, co nierealny. Małe państwa nie widziały w Polsce lidera, wołały się orientować na silniejsze stolice, zaś duże relacje z Rosją traktowały jako tak ważne, że swoich posunięć nie konsultowały nawet we własnym gronie. Wizja, że spytają Polskę o zdanie, była po prostu bajkowa. Bracia formułowali cele piękne, lecz niemożliwe. Jednak istniała między nimi różnica, Jarosław chaotycznie się miotał, Lech potrafił się skupić na jednym problemie, na zagrożeniu ze strony Rosji. Niewiele mógł zrobić, bo słabość rodzi słabość, a Polska była słaba, niemniej próbował stawić czoła realnemu wyzwaniu. W przebudzeniu polskiej dyplomacji był postacią pozytywną, zarazem ciągle popełniał błędy, jego ofensywnej przyjacielskości wobec Nowej Europy towarzyszyły coraz ostrzejsze zatargi ze Starą, politycznie dużo ważniejszą. Wszystkie były bezsensowne, bo przypadkowe, brały się ze słabości charakterologicznych – obrażania się, gadulstwa oraz troski o brata.

Dochodząc do władzy, Tusk nie zgłaszał do braci pretensji o twardość, lecz o niezdarkość. Nie mówił językiem Geremka, nie twierdził, że Polska straciła zaufanie i szacunek Zachodu. Popierał strategię rozpychania się, ale dla konkretnych zwycięstw, a tych, jak dowodził, nie było. Najważniejsza zbieżność dotyczyła oceny sytuacji, podobnie jak bracia Tusk miał poczucie, że Polska nie atakuje, lecz

odpowiada na ataki ze strony sąsiadów. Bo na wejście Polski do Unii oraz jej udział w pomarańczowej rewolucji Rosja zareagowała prowokowaniem konfliktów, głównie handlowych. Natomiast Niemcy zrobiły coś jeszcze gorszego, podpisały z Rosją umowę o budowie gazociągu omijającego Polskę. Unijny sojusznik za plecami Warszawy podpisał umowę pozwalającą Rosji na szantaż gazowy wobec Polski. Anglicy nazwali to najbardziej niechlubnym paktem w powojennej Europie. To nie bracia wywołali konflikt z sąsiadami, lecz sąsiedzi, co Tusk dobrze rozumiał. Miał pretensję do braci nie o to, że reagowali twardo, lecz że reagowali źle, bo problem postanowili rozwiązać za pomocą kolejnej imperialno-utopijnej idei, czyli polityki historycznej. Pomysł był wzorowany na polityce Izraela, który odwołując się do wojennych krzywd, wygrywał w polityce zagranicznej dużo więcej niż jego realny potencjał. Kolejnym Izraelem miała zostać Polska, ofiara dwóch totalitaryzmów i ojczyzna Solidarności. Przypominanie krzywd doznanych od Rosji miało wzmocnić Polskę w sporach z Moskwą, przypominanie krzywd zadanych przez Niemców miało zmusić Berlin do pokory podobnej jak wobec Izraela. Prowincjonalność tego pomysłu była niezwykła, bracia nie rozumieli, że dla świata wojenne cierpienie Żydów miało walor wyjątkowości, której brakowało polskiemu. Ale jeszcze gorsza była praktyka – narzędzie, które miało służyć do wywierania moralnego szantażu wobec innych państw, stało się moralnym pistoletem, który polskie państwo samo sobie przystawiło do głowy. Polityka historyczna miała być używana z wyrachowaniem, tam, gdzie może wesprzeć państwowe interesy, ale sentymalny Lech sprawił, że stała się ona kustoszem kombatanckiej wrażliwości, moralnym zobowiązaniem do tego, aby historii nie składać na ołtarzu bieżących interesów. Zamiast pałką stała się kulą u nogi. Płaczliwe pretensje o to, że Rosja nie chce się przyznać do zbrodni katyńskiej, a Niemcy odciąć od wypędzonych, coraz mocniej Polsce szkodziły. Idea podbicia świata własną historią zamieniła się w zanudzanie świata swoimi krzywdami, co sprawiło, że zasadne pretensje wobec bieżącej polityki Rosji i Niemiec zostały uznane za przejaw historycznych fobii.

Tusk nie akceptował polityki historycznej, ale w kwestii dyplomatycznej ostrości był po stronie braci. Nie cenił dyplomacji lat 90., jej bierności, jej wiary w śmierć narodowych interesów. W Platformie pacyfikował wszystkie dyplomatyczne gołębie, posłowie z Parlamentu Europejskiego dostali zakaz głosowania za nowym traktatem. Gdy Tusk zdobył władzę, dyplomację powierzył Radkowi Sikorskiemu, jastrzębiowi z ekipy Kaczyńskiego, który podpisanie przez Niemcy umowy gazowej z Rosją nazwał „kolejnym paktem Ribbentrop-Mołotow”. Tusk był dzieckiem swego czasu, podobnie jak bracia, jak Klaus, jak Orbán pragnął

skorzystać ze świeżo zdobytej swobody. W podobny sposób – rzucając się do gardła najsilniejszym graczom. Nie było to mądre, ale nie było też głupie, zerwanie ze statusem petenta wymagało przerysowanych gestów. Mimo że wszyscy poszli innymi drogami, mocno się wspierali, Tusk zawsze stawał w obronie Orbána i Klause. Był do nich podobny, aby doświadczyć swobody, on również wymyślił sobie niemądrą ideę – postanowił Ameryce wymierzyć policzek. Od wielu miesięcy krytykował braci, że rozmowy z Waszyngtonem na temat tarczy rakietowej prowadzą „już nie na kolanach, ale na brzuchu”. Idąc do władzy, zapowiadał, że jego rząd postawi Ameryce twarde warunki, bo skończyły się czasy, kiedy Waszyngton wydawał Polsce rozkazy.

Oprócz świeżo odzyskanej swobody za dyplomatyczne przebudzenie regionu odpowiadała też Rosja. Przez piętnaście lat Zachód triumfalnie przesuwiał swoje imperium na wschód, wprowadzając do NATO i Unii kolejne kraje. Amerykanie tak mocno się rozzuchwalili, że zdecydowali się przyjąć do Paktu Ukrainę i Gruzję. Akurat w tych krajach do władzy doszły ekipy nastawione antyrosyjsko, więc sprawnie szło ustalanie scenariusza akcesji. Ale im sprawniej szło, tym ostrzej protestowała Rosja, czemu trudno się dziwić. Od wielu lat Ameryka świadomie okrążała granice Rosji – dawniej granice NATO były półtora tysiąca kilometrów od Petersburga, teraz 150. Dlatego w 2005 roku Putin wygłosił sławne przemówienie, w którym stwierdził, że upadek Związku Radzieckiego był „największą katastrofą geopolityczną wieku”. Nie był to wyraz tęsknoty za komunizmem, ale za systemem bezpieczeństwa, dzięki któremu Rosję od Zachodu dzielił szeroki pas bezpieczeństwa. Z rosyjskiego punktu widzenia historia cofnęła się do czasów Napoleona czy Hitlera, kiedy zachodnie wojska mogły dobiec do Moskwy bez przeszkód. Dobrze to widać na mapie, przyjęcie Ukrainy i Gruzji do NATO byłoby dla Rosji tym samym, czym dla Ameryki byłoby przyjęcie Kanady do Układu Warszawskiego. Dlatego gdy marsz Zachodu doszedł do Ukrainy i Gruzji, Putin przeszedł do ofensywy. Zażądał nie tylko zatrzymania pochodu. Ogłosił wolę odbudowy części dawnych wpływów, czyli powrotu tam, gdzie już były Unia i NATO.

To, co dla Rosji było największą obawą, dla Europy Środkowej było największym marzeniem. Ona również chciała się odgradzić pasem bezpieczeństwa, ale od Rosji. Gniewne zapowiedzi Putina chętnie by zlekceważyła, gdyby nie to, że zbiegły się ze zmianą władzy nad Europą. Amerykanie okrążali Rosję bardziej siłą inercji niż determinacji, bo całą swoją uwagę skupili już poza Europą. Ewidentnie się z niej wycofywali. Natomiast nowi rozgrywający – Francuzi i Niemcy – ku zdumieniu postkomunistycznych państw okazali się ostentacyjnie prorosyjscy. Dawne światowe



potęgi, zepchnięte przez wojnę do drugiej ligi, we współpracy z Rosją widziały szansę powrotu do pierwszej. I tak mocno przymykały oczy na agresywne zachowania Putina, że pytanie o to, jak daleko się w tym posuną, stało się głównym pytaniem epoki. Stara Europa z niechęcią patrzyła na rodzące się u nowych członków antyunijne nastroje, tymczasem ona pierwsza zerwała ducha wspólnoty. Rządziła Unią, jakby poszerzenia nie było, całkiem obojętna na bezpieczeństwo jej nowych członków. Tymczasem Nowa Europa zajmowała zbyt gorące miejsce na mapie, aby cierpliwie się pograżać w unijnej prozie. Trudno mieć pretensję do wielkich, że myśleli tylko o sobie, ale trudno też winić małych, że robili to samo.

Sprawa bezpieczeństwa Europy Środkowej, z pozoru rozwiązana, znowu się stała najważniejszym problemem. To pchnęło przywódców regionu do desperackich strategii. Nie z ich winy. Sytuacja nie rysowała się jasno, nie wiadomo było, jak daleko pójdzie Rosja, jak bierna będzie Europa, jak wycofana Ameryka. Różne państwa podejmowały różne wysiłki, jedne orientowały się na Rosję, inne na Niemcy, jeszcze inne na Amerykę. Nie mając narzędzi i czasu, miały się – wybierały przyjaźń z jednym wielkim graczem, a konflikt z drugim. Polska się również miała, zwłaszcza że geopolityka wtargnęła tutaj bardziej brutalnie. Podpisanie umowy gazowej było alarmem. Od wieków w polskiej polityce panowała jasna hierarchia zagrożeń: wielkie – ze strony Niemiec, olbrzymie – ze strony Rosji, i gigantyczne – gdy Niemcy i Rosja występują razem. Jedna umowa handlowa nie oznaczała rozbiorów, jednak bezpieczeństwo uczyniła głównym problemem.

I właśnie w kwestii bezpieczeństwa pojawiło się jedyne realne napięcie między Tuskiem a Kaczyńskim. Jedyne, lecz fundamentalne, bo wiara w NATO zderzyła się z wiarą w Unię. Lech uważał, że jedyną długoterminową gwarancją polskiego bezpieczeństwa jest Ameryka, nie wierzył we wsparcie Niemiec i Francji, miał te państwa za strategicznych sojuszników Rosji, uważał, że wspólnotowe więzi zawsze przegrają z interesami łączącymi Paryż, Berlin i Moskwę. W tej sytuacji nie widział sensu ocieplania relacji z Rosją, sądził, że maskowanie konfliktu przed światem nie przynosi Polsce żadnych korzyści. Tusk wyciągnął całkiem inne wnioski. Rosja jest za wielka, aby Polska stawiała jej czoła. Widząc potęgę Niemiec, twardość Rosji oraz bierność Ameryki, Tusk uznał, że polskie losy rozstrzygną się w Europie. Więc nagle stał się ostentacyjnie prounijny, pomocy odtąd szukał najpierw w Brukseli, potem w Berlinie. Mając pod bokiem dwóch potężnych sąsiadów, postanowił z cywilizowanym przyjaźnić się, a z dzikim łagodzić konflikty. Natomiast wobec odległej Ameryki, w której pomoc nie wierzył, postanowił uprawiać taką politykę, jaką Jarosław wobec Niemiec – uderzać na odlew, a nuż się uda. Taka

różnica poglądów między Tuskiem i Kaczyńskim oznaczała konflikt na każdym froncie, bo wobec trzech najważniejszych ośrodków – Ameryki, Niemiec i Rosji – premier i prezydent chcieli prowadzić zupełnie przeciwną politykę.

Tuska i Kaczyńskiego podzieliła kwestia najważniejsza, narodowego bezpieczeństwa. Jednak rządili krajem, którego konstytucja nie mówiła, kto w najważniejszej sprawie podejmuje decyzję: prezydent czy premier. Twórcom konstytucji nie przyszło do głowy, że w sprawach zasadniczych można mieć różne poglądy, więc wprowadzili dwuwładzę. Skala bezmyślności Mazowieckiego i Kwaśniewskiego do dziś budzi zdziwienie. Sami od dwóch dekad toczyli historyczny spór – czy stan wojenny był konieczny, czy nie – mimo to uznali, że w przyszłości powodów do sporu nie będzie. W epoce Jaruzelskiego przynajmniej jasne było, kto podejmuje decyzje, w 2007 roku nawet tej jasności nie było. Konstytucjoniści bezradnie rozkładali ręce: z jednej strony państwem rządzi rząd, z drugiej głową państwa jest prezydent odpowiedzialny właśnie za bezpieczeństwo. Przez dziesięć lat konstytucja prowokowała konflikty i paraliżowała władzę, jednak nigdy absurd polskiego ustroju nie ujawnił się tak ostro i tak groźnie. W sprawie najważniejszej dla państwa powstał pat, w którym nie było ani winy premiera, ani prezydenta. Nie mogli się porozumieć, bo jeden drażnienie Rosji postrzegał jako skrajną nieodpowiedzialność, drugi ocieplanie więzi z Rosją jako samobójczą strategię. Takiej sprzeczności nie wymażą ani dobra wola, ani kompromis, a jedynie ustrój, wskazując osobę, która narzuci państwu swą wolę. Polska konstytucja nie wskazała, przeciwnie – kazała im obu rządzić. Więc rządzili, prowadząc dwie sprzeczne ze sobą polityki zagraniczne. Polskie państwo było zatem prorosyjskie i antyrosyjskie, prounijne i antyunijne, proamerykańskie i antyamerykańskie.

## TRZY WIELKIE STARCIA O POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ

Dyplomatyczna wojna wybuchła od razu, bo też Tusk od razu poszedł nowym kursem. Załagodził politykę wobec Rosji, załagodził wobec Unii, zaostrzył wobec Ameryki. Prezydent odpowiedział serią protestów, nie miał wpływu na decyzje Tuska, więc przynajmniej słowami chciał zbudować wrażenie, że linia Polski jest inna. Nie szło mu najlepiej, ale też sytuację miał trudną podwójnie. Premier miał więcej narzędzi działania, a duzi gracze – jak Berlin, Paryż, Bruksela i Moskwa – woleli Tuska jako partnera. Był ciepło witany jako polityk umiarkowany, obliczalny i bardziej miękki. Bracia twierdzili, że za garść komplementów Tusk stał się pionkiem w rękach Berlina i Moskwy, ale to nie było prawdą. Polska dyplomacja stawiała się nie tyle bardziej pokorna, co bardziej cierpliwa i profesjonalna. Ale tylko w Europie, bo wobec Waszyngtonu Tusk przyjął tak buńczuczną postawę, że relacje z Ameryką stały się najgorsze od 1989 roku. Co z perspektywy nadchodzących wydarzeń nie było zbyt mądre, bo właśnie zaczął się rok, w którym Putin najechał na Gruzję. Choć nikt jeszcze tego nie wiedział, czas zaczął pracować na rzecz prezydenta. Kłopot w tym, że zanim Lech zdążył to zdyskontować, dramatycznie się potknął. Z powodu brata.

W PiS zbuntowali się radykałowie. W trakcie sejmowej dyskusji nad ratyfikacją unijnego traktatu jedna trzecia zażądała referendum. Zrewoltował ich ojciec Rydzyk, strasząc, że traktat wymusi na Polsce obyczajową rewolucję. Jarosław wystraszył się rozłamu i poparł Rydzyka. Aby uniknąć niekonsekwencji – w końcu traktat negocjował Lech – oświadczył, że traktat jest dobry, ale rząd jest zły. Więc PiS zgodzi się na jego ratyfikację dopiero, gdy koalicja podpisze zobowiązanie, że nie wykorzysta traktatu w sposób budzący obawy Rydzyka. Platforma odmówiła, więc Jarosław wciągnął Lecha do partyjnej gry. Prezydent wygłosił orędzie w duchu lęków Rydzyka, straszące ślubami gejowskimi i niemieckimi roszczeniami. Pozwolił, choć potem się tego wypierał, aby przemówienie zilustrować zdjęciami Merkel. Poparcie dla wrogów traktatu oburzyło zachodnie stolicy, właśnie jedna za drugą w pośpiechu ratyfikowały traktat, aby szybko wprowadzić go w życie, gdy polski prezydent nagle stanął na drodze. A przecież sam traktat negocjował, sam go nazwał sukcesem, sam obiecał, że ratyfikacja odbędzie się szybko. Na starcie sporu z Tuskiem o prymat w polityce zagranicznej prezydent własnymi rękami siebie osłabił. Odtąd Berlin,

Paryż czy Bruksela wołały rozmawiać z partnerem, który nie łamie słowa. Prezydent szybko się o tym przekonał. Zbliżał się szczyt w sprawie dla niego najważniejszej – zgody na poszerzenie NATO o Gruzję i Ukrainę. Prezydent chciał odbyć serię rozmów z przywódcami, między innymi z Merkel, ale ci nie znaleźli czasu. Nielojalność prowadziła do izolacji.

Prezydent zamiast zejść z linii walki, ciężar sporu o traktat wziął w całości na siebie. A wtedy Tusk zadał potężny cios – zaproponował referendum. Nastroje społeczne były tak mocno prounijne, że premier szedł na pewną wygraną. Wiedział, że przy urnach braci nie tyle pokona, co zmiążdży. Prezydent się znalazł w pułapce. Poprosił Tuska o spotkanie, premier się zgodził, został zaproszony do prezydenckiego ośrodka w Juracie. Jechał po zwycięstwo, więc zadbał o triumfalną oprawę. W słoneczne popołudnie wyruszył do Juraty łodzią motorową, uśmiechnięty, pewny siebie. Dziennikarzom stłoczonym na sopockim moło oświadczył, że jeśli prezydent nie zgodzi się na traktat, będzie referendum. Płynął do Juraty jako zwycięzca, ale jeszcze nie wiedział, co wygra: traktat podpisany od razu czy po referendum. Wolał to pierwsze. Upokorzenie braci w referendum dawało Tuskowi wielkie korzyści na arenie krajowej, ale uniknięcie referendum przynosiło jeszcze większe korzyści na zewnątrz. Dowodziło, że premier panuje nad polską polityką, że wszystkie przeszkody usuwa szybko i sprawnie. Potrafi dać Unii traktat od razu, zamiast po wielu miesiącach, ożywiając presję na referenda w innych państwach, czego Unia się bała. Prezydent był tak mocno skupiony na matni, w jakiej się znalazł, że nawet nie dostrzegł kalkulacji rywala. Tusk w zamian za szybką ratyfikację zaproponował uchwałę, która rozwieje obawy radykałów. Taka oferta pozwalała prezydentowi wyjść z twarzą, Lech był nią realnie wzruszony, uważał, że Tusk go oszczędził z powodu dawnej przyjaźni. Po raz pierwszy od lat rozmawiali jak dawniej, pijąc wino bez miary. Manipulacyjne zdolności Tuska były niezwykle, Lech znał go na wylot, jego zwodniczy urok, jego wyreżyserowany czar, niemniej po raz kolejny się nabrał. Gdy w trakcie spotkania zadzwonił Jarosław, usłyszał odgłosy wesołej zabawy. I słowa, jakie Tusk wypowiedział do Lecha: „O, potwór dzwoni”. Bo Tusk zwykł Jarosława nazywać „potworem”.

Chwilę potem Sejm przegłosował przyjęte ustalenia, a prezydent wygłosił płomienne przemówienie. Bardzo proeuropejskie, bardzo prounijne i bardzo szczere. Nie miał rydzykowych obsesji, kiedyś, zirytowany kolejnym prawicowym wyskokiem PiS-u, powiedział Romaszewskiemu: „Bo wiesz, ja właściwie jestem lewicowy”. Podśmiewywał się z niektórych przejawów unijnej poprawności, ale projekt europejski przyjmował jako własny. Z Unią miał jeden problem: nawet nie

ten, że wspólnotą wielu państw rządziły dwa, ale że te dwa prowadziły wobec Rosji politykę sprzeczną z polskim interesem. W tej sprawie prezydent nie miał zamiaru ustępować, choć wiedział, że starcie z Niemcami i Francją oznaczać będzie konflikt z całą Unią. Traktatu się nie bał, nie widział jego wielkiej wartości, ale rozumiał, że dla państw starej Unii stał się niemal świętością. Bo nad traktatem unosił się duch klęski, przez długie lata obiecywano reformę Unii, potem przegrane referenda we Francji i w Holandii traktat skierowały do kosza. Gdyby druga wersja traktatu skończyła tak samo, byłaby to kompromitacja Paryża, Berlina i Brukseli. Kompromis z Tuskiem zdjął z Lecha ciężar prowadzenia niechcianej wojny. Ale tylko na chwilę, bo radykałowie nadal nie chcieli traktatu, wściekły Rydzyk zaapelował do słuchaczy, „aby mieli dobrą pamięć przy urnie”. Więc prezydent znowu wsparł brata. Choć Tuskowi obiecał, że natychmiast traktat podpisze, przez rok zwlekał, aby dać bratu czas. Wymyślał kolejne preteksty, najpierw czekał, aż sejmowa decyzja wejdzie w życie, potem na referendum w Irlandii. Gdy Irlandczycy odrzucili traktat, oznajmił, że ratyfikacja nie ma już sensu. Zwlekał ku wściekłości zachodnich stolic, które chciały zebrać komplet podpisów, aby wyrzucić presję na Dublin. Przez rok Sarkozy i Merkel dobijali się o podpis, specjalnie w tej sprawie spotkał się z nim francuski prezydent, naciskany Kaczyński obiecał szybki podpis, ale słowa znowu nie dotrzymał. Także państwa regionu namawiały Lecha, aby skończył z blokadą traktatu i wziął się za sprawy ważniejsze. Bez skutku. Prezydent, którego głównym polem aktywności była polityka zagraniczna, trwonił swoje możliwości, swoje kontakty, swoją wiarygodność, aby na półtora roku dać bratu spokój od ojca Rydzyka. A gdy Irlandczycy zmienili zdanie, gdy już nie miał pretekstu, traktat w końcu podpisał. Polska nie miała w tej strategii żadnego interesu, jedynie brat. Gdyby Wałęsa lub Kwaśniewski poświęcili dobro wspólne na taką skalę, bracia wysunęliby najcięższe oskarżenia. Kiedy robił to Lech, nawet nie widzieli problemu. Spółka rodzinna była fatalnym pomysłem, odbierała rozum.

Odbierała również możliwości działania, bardzo wtedy potrzebne. Bo właśnie w trakcie sporu o traktat prezydent poszedł na dwie najważniejsze wojny. Pierwsza dotyczyła sfinalizowania umowy o tarczy rakietowej. Pomysł wyszedł dwa lata wcześniej od Amerykanów, pojawiła się technologia, która miała być skuteczna w przechwytywaniu rakiet średniego i krótkiego zasięgu. Amerykanie postanowili ją zainstalować w Europie Środkowej, aby stąd chronić własne terytorium. Natychmiast zgłosiły się Czechy i Polska. Nie był to serwilizm, chodziło o zerwanie ze statusem członków drugiej kategorii. Bo państwa Europy Środkowej nie były w NATO na normalnych prawach, weszły w zamian za obietnicę, że nigdy tu nie

staną natowskie instalacje. Teraz Amerykanie chcieli słowo złamać, rozpychali się dalej, ku olbrzymiej wściekłości Rosji, ale też wielkiej nadziei Polski i Czech, że doprowadzi to do objęcia ich terytoriów pełną natowską ochroną.

Tusk miał inną ocenę, bo odmawiał myślenia w dłuższym horyzoncie czasowym. Z wielu powodów. Nie wierzył w wartość odległych planów, nie wierzył też, że społeczeństwo poważnie się martwi przyszłością, że jest gotowe płacić dziś za coś, co korzyść przyniesie jutro, sam myślał podobnie, doraźny interes własny był jego jedynym kompasem, przyszłe problemy zawsze zostawiał przyszłym premierom. Z takiej doraźnej perspektywy tarcza była marnym interesem, rodziła ostry konflikt z Rosją, budziła niechęć w unijnych stolicach oraz społeczne obawy w Polsce, że tarcza się stanie obiektem ataku. Natomiast żadnych szybkich zysków nie dawała, instalacja miała przecież bronić Ameryki, nie Polski. Zostawszy premierem, Tusk natychmiast postawił Amerykanom nowe, całkowicie zaporowe warunki. Zażądał dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa dla Polski, dofinansowania polskiej armii oraz wprowadzenia baterii patriotów. Amerykanie byli zdumieni, z początku myśleli, że to blef, ale gdy kolejne spotkania kończyły się polską odmową, napięcie zaczęło rosnać. Owszem, Amerykanie byli rozzuchwaleni, małe państwa niczego im nie odmawiały, Polska również. Ale tu było coś więcej, Amerykanie, od których Polacy oczekiwali ochrony własnego terytorium, usłyszeli „nie”, gdy poprosili o pomoc w ochronie swojego. Warunki, które usłyszeli, brzmiały bardzo dziwnie. Żądanie oddzielnych gwarancji dla Polski było nierealne, dzień później każdy członek NATO, by tego zażądał. Płacić na polską armię Amerykanie nie chcieli, słusznie uważając, że Polska pieniądze niemądrze wydaje. Żądanie baterii patriotów też ich zaskoczyło, do obrony polskiego terytorium potrzeba kilkadziesiąt baterii, „po co wam ta jedna?” – ciągle pytali Polaków. W końcu uznali, że za wszystkim stoi polityka, że Sikorski porozumiał się z Demokratami, że umowa o tarczy zostanie podpisana za kilka miesięcy, z nową administracją. W plotkach padało nazwisko związanego z Demokratami eksperta, Rona Asmusa, z którym Sikorski miał zawrzeć umowę.

Prezydent przyglądał się temu z rosnącą obawą, Amerykanie mieli alternatywę – instalację mogli przenieść do Rumunii, która zgłaszała swoją gotowość. Kilka razy spotkał się z Tuskiem, namawiał do załagodzenia linii, Tusk zawsze odmawiał, powtarzał, że tarcza naraża Polskę na wielkie ryzyko, więc Amerykanie muszą to ryzyko zrekompensować. Lech z początku uważał, że premier niemądrze szarżuje, potem zmienił diagnozę. „To była celowa taktyka... Tusk po prostu nie chciał zawarcia umowy”. Zdaniem prezydenta zdecydował lęk przed

Rosjanami, przed ich gwałtowną reakcją. Lech tak to wspominał: „On się bał. Miałem z nim zresztą w tej sprawie dramatyczną rozmowę. Była ostra wymiana zdań, nerwy, kłótnia”. Jednak do ostatniej chwili Kaczyński nie wierzył, że Tusk się odważy zerwać rozmowy. Amerykanie byli jedynym wiarygodnym filarem polskiego bezpieczeństwa, Unia była ważniejsza pod wieloma względami, ale w kwestii bezpieczeństwa bierność i ociążałość Unii była przedmiotem drwin całego świata. Kaczyńskiemu nie mieściło się w głowie, że Tusk podejmie tak niemądrą decyzję. Ale na wszelki wypadek postanowił działać, przed ostatnią rundą rozmów wysłał szefową kancelarii do Ameryki, aby namówiła Waszyngton do przyjęcia rządowych warunków. Ale jedyne, co przywiozła, to plotki na temat paktu Sikorskiego i Asmusa. Kaczyński w plotki uwierzył, na punkcie szefa MSZ miał prawdziwą obsesję, zarzucał mu wszystko, od niekompetencji po agenturę.

Kilka dni później szefowie MON i MSZ poprosili prezydenta o pilne spotkanie. Ten się obraził, uznał, że są za niską rangą, oddelegował do rozmowy szefową kancelarii. Chwilę potem dowiedział się od niej, że rząd odrzucił ofertę Amerykanów. Prezydent wpadł we wściekłość, która do końca dnia objęła nad nim władzę. Zdecydował, że wieczorem wygłosi orędzie do narodu. Potem wezwał do siebie negocjatora, który w imieniu rządu rozmawiał z Amerykanami. On również był zaskoczony decyzją i podzielił się z prezydentem swoimi podejrzeniami. Wedle pierwszego za odmową stał Sikorski, który porozumiał się z Demokratami. Wedle drugiego zdecydował premier, który podczas negocjacji interesował się głównie tym, czy podpisanie umowy nie zmniejszy poparcia dla rządu.

Prezydent wpadł na pomysł szalony, postanowił przesłuchać szefa MSZ. W trybie pilnym wezwał Sikorskiego nie do Pałacu, ale do Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Zdumiony Sikorski zobaczył, że prowadzony jest do specjalnej sali, w której z jednej strony zamontowany był system antypodsłuchowy, z drugiej włączony był sprzęt nagrywający. Nagle uświadomił sobie, że został wezwany na przesłuchanie, które poprowadzi sam prezydent. Sytuacja była niezwykła, naprzeciw ministra siedział prezydent z kilkoma urzędnikami (m.in. z przyszłym prezydentem Dudą), natomiast obok Sikorskiego zasiadł jego podwładny, negocjator, który swego szefa przed chwilą zdradził. Prezydent z całą swoją zapalczywą niezdarnością zaczął przesłuchanie. „Czy pan zna Rona Asmusa?” – spytał Kaczyński. „Nie widzę związku ze sprawą tarczy” – odpowiedział Sikorski. „Powtarzam pytanie: czy pan zna Rona Asmusa?”. „Nie widzę związku”. „Zna pan?”. „Zna go pani Fotyga [szefowa kancelarii], ja go też znam”. „Proszę zaprotokołować: »Potwierdził, że zna Rona Asmusa«” – oznajmił triumfująco Kaczyński. Potem próbował weryfikować kolejne

plotki, na przykład, że w czasie telefonicznej rozmowy Tuska z amerykańskim wiceprezydentem nie doszło do porozumienia, bo Sikorski specjalnie przekreślił ich myśli. Kłopot w tym, że Sikorski rozmowy nie tłumaczył, jedynie stał u boku premiera. Nie wiedząc tego, prezydent szarżował. „Czy pan jest tłumaczem?” – atakował. „Jakie to ma znaczenie?” – spytał Sikorski. „Czy pan jest tłumaczem? Powtarzam pytanie”. „Nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą”. „Proszę zaprotokołować: »Odmawia odpowiedzi na pytanie, czy jest tłumaczem«”. „Nie jestem tłumaczem, ale dobrze mówię po angielsku, czego dowodem jest dyplom uczelni wyższej, którą ukończyłem w Anglii”. „Czy pan tłumaczył wczorajszą rozmowę telefoniczną Donalda Tuska z amerykańskim wiceprezydentem Dickiem Cheneyem?”. „Nie. Tłumaczył ją tłumacz Białego Domu, który był na linii w czasie rozmowy Tusk-Cheney”. Sikorski zażądał wyjaśnień, czemu jest traktowany tak obcesowo i czemu służą te pytania. „Czy to przesłuchanie?”. Prezydent potwierdził i dodał, że będą kolejne przesłuchania, bo jeśli umowa o tarczy nie zostanie podpisana, Sikorski stanie przed komisją śledczą, a potem przed Trybunałem Stanu. „W tej sytuacji muszę się skonsultować z prawnikiem i poinformować o wszystkim premiera”. „Pańskie ego jest rozdęte do monstrualnych rozmiarów” – atakował prezydent. „Jeśli pan będzie mnie nadal obrażać, wyjdę” – odpowiedział Sikorski.

Dziwne to było wydarzenie. Tarcza była w polskim interesie, prezydent słusznie się niepokoił odrzuceniem umowy. Miał prawo samemu wejść do gry, nawet ostro i brutalnie. Kłopot w tym, że nie potrafił być ani ostry, ani brutalny, ani skuteczny. Na starcie potknął się o swoje wady. Paranoicznie uznał, że Sikorski jest zdrajcą. Megalomańsko uwierzył, że potrafi prawdę o zdradzie z niego wydusić. Gdyby zainscenizował wszystko na zimno, aby postraszyć rząd perspektywą zeznań przed sejmową komisją, być może dziwaczne przesłuchanie miałoby sens. Ale żadnego planu nie było, to nie była polityka, lecz psychodrama. Prezydent nie potrafił zadać sensownego pytania, bo nie panował nad emocjami, nie myślał politycznie, jedynie się miotał. Radykalizm jego głównego podejrzenia – o spisek, o zdradę – był niezwykle. Przecież sam od wielu miesięcy prowadził równie absurdalną wojnę z Niemcami i Francją, blokując unijny traktat. Tusk nie robił niczego innego, podobnie jak prezydent niemądrze się bawił, bateria patriotów była wydatkiem rządu pół miliarda dolarów, wojna z Waszyngtonem o taką stawkę sensu nie miała. Była wyrazem antyamerykanizmu, którym Tusk się zaraził od europejskich stolic. Postawy niezrozumiałej w kraju, który z Rosją graniczy. Ale najważniejsze było to, że Tusk nie poszedł tak daleko, jak sądził prezydent. Dopiero pod koniec przesłuchania, gdy dopuścił Sikorskiego do głosu, dowiedział się,



dlaczego premier odrzucił ofertę Waszyngtonu. Bo bateria patriotów, na którą Amerykanie się w końcu zgodzili, nie została przyznana Polsce na stałe, a tylko czasowo. Dowiedział się też, że rząd nie zerwał rozmów, a jedynie odrzucił ofertę i czeka na lepszą. Widząc szansę na zmianę decyzji, prezydent wycofał się z orędzia, postanowił czekać na wynik kolejnych rozmów.

Gdy zrobił wszystko, aby w Polsce i na świecie osłabić swoją pozycję, przyszło mu stoczyć życiową bitwę. Poszło o Gruzję. Sprawa nie była błaha, nie tylko w skali regionu, ale całej Europy, bo po raz pierwszy Putin pokazał pazury. Od wielu miesięcy Rosja coraz ostrzej i coraz skuteczniej protestowała przeciw wejściu Gruzji i Ukrainy do NATO. Pod jej presją Niemcy, Francja i Włochy zablokowały przyjęcie kalendarza akcesji. Jednak na kolejnym szczycie NATO Amerykanie chcieli ten kalendarz przyjąć. Kaczyński mocno wspierał amerykańską strategię, był stale obecny w Gruzji i na Ukrainie, budował tam kontakty, pomagał, lobbował. Co ciekawe, był w tym sprawny, konsekwentny i skuteczny. Z dala od stresu wojen wewnętrznych stawał się innym człowiekiem. Poszerzenie NATO słusznie traktował jako kwestię fundamentalną, bo dla Polski posiadanie na wschodzie strefy buforowej złożonej z państw Paktu byłoby wydarzeniem na miarę jej własnego wejścia do NATO, radykalnym zwiększeniem własnego bezpieczeństwa. Po latach, znając kolejne kroki Rosji – agresję Putina na Gruzję, potem na Krym i wreszcie na Donbas – wydawać się może, że ten cel był od początku utopią. Ale to nie jest prawdą, szanse były spore, przecież wierzyła w to Ameryka, największy gracz na świecie. To, że wierzył Kaczyński, było racjonalne. Wpływ polskiej polityki na tak znaczącą decyzję musiał być znikomy, jednak wspieranie tej gry z całych sił było sensowną strategią. Kłopot w tym, że w kluczowym momencie rozgrywki Ameryka znalazła się w największym dołku, zaś Rosja odzyskała formę.

Od wielu tygodni wokół gruzińskich granic rosło napięcie. Prowokowały je i Rosja, i Gruzja, która w konflikcie niemądrze dostrzegła szansę na wejście do NATO. Kaczyński śledził wydarzenia, był w kontakcie z prezydentem Gruzji, z którym się przyjaźnił, naciskał, aby ten się uspokoił, jednak bez skutku. Armia gruzińska ostrzelała pozycje rosyjskie, co dało Putinowi pretekst do inwazji na Gruzję. W kilka dni armia rosyjska zbliżyła się do stolicy. Kaczyński spotkał się z Tuskiem, powiedział mu, że razem z prezydentami państw Europy Środkowej lecą do Tbilisi, aby zmanifestować poparcie dla Gruzji oraz powstrzymać Putina przed zajęciem stolicy. Tusk się twardo sprzeciwił, uważał, że eskapada wywoła gniew Rosji, rozwiązanie problemu chciał pozostawić Unii. Prezydent odpowiedział, że Unia nawet palcem nie kiwnie. Tusk próbował powstrzymać prezydenta metodą,

którą już kilka razy stosował, czyli odmawiając mu samolotu, ale widząc, że prezydent znajdzie inny transport, zrezygnował z oporu.

Prezydent chciał powtórzyć sukces Kwaśniewskiego na Ukrainie, chciał sprawę rozegrać polskimi rękami. Ale Kwaśniewski miał poparcie NATO i Unii, Kaczyński nie miał. Rozmawiał z Waszyngtonem, usłyszał ciepłe słowa, ale nie dostał poparcia, cała uwaga Ameryki była skupiona na Bliskim Wschodzie. Natomiast na odcinku europejskim poniósł całkowitą klęskę. Unii przewodziła właśnie Francja, Kaczyński zadzwonił do Sarkozy'ego, ten nie miał zamiaru dopuszczać Polski do stołu, twardo się sprzeciwił wyprawie prezydentów Europy Środkowej. Rozmowa była gwałtowna, bliska awantury, polski prezydent domagał się ostrej reakcji Unii: „Jeśli stracimy Gruzję, stracimy cały region”. Sarkozy twardo odmówił, dowodził, że Gruzja jest winna, bo sama zaczęła. Powiedział Kaczyńskiemu, aby się do sprawy nie mieszał. „Sam to załatwię” – wielokrotnie powtarzał. Jednak Kaczyński poleciał, po drodze zabierając na pokład samolotu kolejnych prezydentów. W trakcie podróży dowiedział się, że do Tbilisi już poleciał Sarkozy z planem pokojowym, w którym nie było gwarancji dla gruzińskich granic. Kaczyński postanowił dotrzeć pierwszy do prezydenta Gruzji, aby go przed podpisem powstrzymać. Ale procedury bezpieczeństwa nie pozwoliły lecieć prosto do celu. Pilot odmówił, musiałby lecieć nad obszarem, na którym toczyła się wojna. Wściekły prezydent interweniował u jego zwierzchników, bez skutku, do Tbilisi dotarł spóźniony, gdy Sarkozy zdołał już urobić przywódcę Gruzji. Gdy Kaczyński w końcu do niego się dostał, rzucił się na niego, złapał za klapy marynarki, odciągnął na bok i ostro go rugał. Nic to nie dało, prezydent Gruzji nie miał wyboru – Amerykanie odmówili wsparcia, Unia odmówiła, musiał się zgodzić na każde warunki, aby Rosjanie nie zajęli całego kraju. Tego dnia Lech przekonał się, jakie płaci się koszty za niemądrą wojnę z Francją. Mimo prośby o spotkanie Sarkozy twardo odmówił. Gdy przypadkiem wpadli na siebie, Sarkozy rzucił mu po polsku: „Mów: »Tak, tak, tak!«”. Wściekły Kaczyński odparował: „Mówię: »Nie, nie, nie!«”. Sarkozy nawet go nie słuchał i pobiegł dalej. Rozgrywkę wygrał, Rosja dostała, co chciała. Gdy wieczorem skwaszeni prezydenci jedli razem kolację, prezydent Ukrainy rzucił sarkastycznie: „Przynajmniej wiemy, jak wygląda solidarność Zachodu. Na jaką pomoc można liczyć w obliczu agresji”. To była dla regionu lekcja geopolityki. Kilkanaście dni później Rosja uznała niepodległość zajętych obszarów, Gruzja stała się krajem niestabilnym i straciła szansę na wejście do NATO.

Kaczyński przegrał, ale nie z własnej winy. Wielcy gracze byli bierni, a Polska za mała, aby się odcisnąć na wydarzeniach. Zarazem była za duża, aby siedzieć cicho.

Strategia Kaczyńskiego była lepsza niż Tuska. Metodą faktów dokonanych chciał powstrzymać Rosję, rzutem na taśmę chciał pokrzyżować plany Francji i Niemiec. W normalnej sytuacji próba zagrania w za wysokiej lidze skazana jest na porażkę, ale w sytuacjach nadzwyczajnych do władzy dochodzi przypadek, a mniejszy gracz może zmienić bieg wydarzeń. Tamta eskapada miała głęboki sens, prezydent działał szybko, improwizował, ryzykował błędy, ale przynajmniej dał sobie szansę na sukces. Tymczasem postawienie na Unię było abdykacją, zgodą na porażkę, Niemcy i Francja tak mocno wspierały Rosję, że wynik mediacji z góry był jasny. Tamta sytuacja ujawniła kontrast między politycznymi charakterami prezydenta i premiera – Tusk był niezdolny do zachowań niestandardowych, Kaczyński niezdolny do standardowych. Gdy chwilę potem rzeczywistość znowu zastygła, w kształcie niekorzystnym dla Gruzji, Kaczyński nie potrafił się z faktami pogodzić. Chciał jechać na unijny szczyt, dalej się bić, choć sprawa już została zamknięta. Znowu doszło do starcia Tuska z Kaczyńskim o jego obecność na szczycie, Tusk próbował zatrzymać Lecha, nie chciał eskalować konfliktu. Lech w końcu pojechał i odbił się od ściany obojętności. Jedynym skutkiem wydarzeń w Gruzji okazało się przebudzenie Tuska i Amerykanów w sprawie tarczy. Po ataku na Gruzję sprawy bezpieczeństwa znowu się znalazły w centrum uwagi, gwałtownie wzrosło poparcie Polaków dla tarczy. Tusk stał się bardziej elastyczny, Amerykanie również i po kilku tygodniach umowa została podpisana. Ale nie weszła w życie, do władzy doszedł Obama z hasłem ocieplenia relacji z Rosją. Na wiele lat strategia głaskania Rosji stała się linią całego świata. Kaczyński miał pecha, przyszło mu rządzić w epoce, która na Rosję chciała patrzeć z ufnością.

Podpisanie umowy o tarczy niczego nie zmieniło na linii premier-prezydent, napięcie było tak wielkie, że obie strony szukały okazji do walki. Nie panowały nad sobą i panować nie chciały. Miesiąc później miał się odbyć kolejny unijny szczyt, Kaczyński ogłosił, że na niego poleci. Tusk nie mógł na to pozwolić, ale też nie chciał, miał już dość prezydenta – gdy usłyszał wiadomość, zaczął krzyczeć do swojej ekipy: „Zatrzymać go!”. Kilukrotnie straszył prezydenta, że mu nie da samolotu, tym razem groźbę postanowił spełnić. Nie dać prezydentowi ani samolotu, ani ekipy pilotów do ewentualnej zastępczej maszyny. Szef kancelarii oświadczył, że rząd nie udziela samolotu „na prywatne podróże”, szef MON ogłosił, że jest tylko jedna załoga, bo pilot drugiej jest chory. Gdy pojawił się pomysł, aby obaj politycy polecili jednym samolotem, kancelaria premiera też go storpedowała, okazało się, że ekipa rządowa jest tak wielka, że dla prezydenta zabrakło miejsca. Kłamstwa strony rządowej były oczywiste, a przede wszystkim bezczelne, głowę państwa próbowano

zamknąć w areszcie domowym, zabronić jej wyjazdu z kraju. W przeddzień szczytu prezydent i premier się spotkali. Było to starcie śmieszności i chamstwa. Kaczyński władczo oznajmił: „Jadę do Brukseli, moja decyzja jest nieodwołalna”. Premier odparł, że nie poleci, bo tematem szczytu są sprawy, za które odpowiada rząd – pakiet klimatyczny i kryzys gospodarczy. „Znam się na tym lepiej – odparł prezydent. – Poza tym jestem najważniejszą osobą w państwie. A pan jest na czwartym miejscu, po marszałkach Sejmu i Senatu”. Prezydent dowodził również, że pojawią się dwa tematy dotyczące jego kompetencji – traktat lizboński oraz Gruzja. Po każdym argumentie premier odmawiał. Po każdym prosto w oczy rzucał prezydentowi ewidentne kłamstwa: nie ma samolotu, nie ma pilotów, nigdzie nie zdoła polecieć. Prezydent się zaperzył: „Brat miał rację. Środowisko, które dziś rządzi Polską, wychowało się na podwórku. Żebyście dojrzelisi do władzy, to jest proces kulturowy liczony w dziesiątki lat”. Tusk wstał i oświadczył, że rozmowa jest zakończona. Sądził, że wygrał rozgrywkę, jego ekipa zapewniała, że prezydent jest zablokowany na każdym polu. Nie dostanie się do Brukseli, bo nie ma samolotu. Jeśli nawet się dostanie, nie wejdzie do gmachu obrad, bo nie ma potrzebnych pinów. Gdyby cudem także tę przeszkodę sforsował, na sali obrad nie zdoła usiąść, bo dla Polaków są dwa fotele, zarezerwowane już dla premiera i jego ministra.

Następnego dnia, gdy Tusk wsiadał na pokład, usłyszał, że prezydent zdołał wyczarterować samolot od LOT-u i za chwilę leci do Brukseli. Premier nie zapanował nad złością, odgrażał się, że dla polskiej delegacji są dwa fotele, jego ekipa szydziła, że prezydent będzie musiał stać albo pod gmachem, albo pod salą. Prostackiej groźby rząd nie mógł jednak spełnić, na salę w końcu weszli obaj, Tusk był blady, miał zaciśnięte usta, nie potrafił ukryć wściekłości, Kaczyński podał mu rękę, potem protekcjonalnie poklepał po plecach, kamery pokazały, jak gotujący się z gniewu Tusk siada tak, aby nie patrzeć na prezydenta. Kaczyński odwrotnie, napompowany szczęściem wyglądał jak Szwejk, radość i błogość emanowały z każdego ruchu. Siedział na sali przez 10 minut, bo tyle mówiono o traktacie lizbońskim, potem zwolnił miejsce dla ministra finansów. Wychodząc, rzucił premierowi, że chce później dostać relację z obrad. „Chcieć to sobie możesz” – warknął wściekły Tusk. Media zachodnie prześcigały się potem w złośliwościach, zachowanie Polaków było niezwykle. Francuskim przywódcom często się zdarzały konflikty, wtedy na szczyt przylatywali premier i prezydent, ale nigdy nie odbierali sobie samolotów, nigdy nie grozili niewpuszczeniem do sali czy blokadą krzesła przy stole.

Ponieważ defekty prezydenta dobrze już znano, publiczne zażenowanie skupiło się na osobie premiera. Po raz pierwszy publiczność zobaczyła styl działania

Tuska: podstępny, obłudny, bez klasy. Media sporo o tym pisały, jednak prawda nie zdołała się przedrzeć, zbyt mocno kontrastowała z publicznym wizerunkiem premiera, człowieka sympatycznego i umiarkowanego. Jednak jego zachowania były odmienne. Zawsze walczył w takim stylu jak z Lechem o samolot. Tak rozprawiał się z rywalami w partii, osaczał ich, nękał, obrzydzał im życie metodami, do których tylko on potrafił się zniżyć – odebraniem sekretarki, wyłączeniem telefonu, płaską obmową. Zanim Olechowski, Płażyński czy Rokita odeszli z partii, byli zniechęcani szykanami tak trywialnymi, że wstydziła się o nich mówić publicznie. Tusk nie był naturą prymitywną choćby dlatego, że wiedział, które metody są prymitywne i starannie ich używanie przed światem ukrywał. Niemniej te metody lubił najbardziej. Na długo przed zadaniem ciosu delectował się wizją upadku rywala, o każdym kolejnym wrogu mówił, że „jego zwłoki już płyną Wisłą”. Dla jego wrażliwości równie cenne jak zwycięstwo było upokorzenie rywala. Wałęsa nigdy nie deptał pokonanych, Millerowi również wystarczała wygrana, Kaczyński lubił wroga skopać, jednak na oczach świata, w ślepej furii, jak każdy chuligan. Natomiast Tusk lubił azjatycką zemstę – bezproduktywną, prywatną, dyskretną. Pławił się w niej, rozciągał w czasie. Był naturą przewrotną, w intrygach najbardziej lubił zwodzenie przeciwnika, kiedy niszczący cios był zaplanowany. Wtedy ocieplał relację, udawał przyjaciela, sycił się faktem, że tamten niczego nie podejrzewa. Płażyńskiego pocieszał po szykanach, które sam mu organizował, z Piskorskim, gdy wiedział, że go zaraz wyrzuci, planował wspólne, rodzinne wakacje. Gdy Marcinkiewicza wystawił dziennikarzom, przez całe spotkanie odgrywał serdeczność. Jego ofiary nie potrafiły potem zrozumieć, dlaczego Tusk był podstępny ponad miarę, ponad wymogi zwycięstwa. Tymczasem on po prostu to lubił. Był naturą ostrożną, na granicy tchórzostwa. To był rdzeń jego charakteru, dlatego nikogo nie pokonał w rycerski sposób, nikomu nie wbił noża w brzuch, zawsze w plecy, z za węgła, najchętniej cudzą ręką. Taki charakter cenił inne przyjemności, szukał innych satysfakcji. Potrafił zrzucić na ziemię marynarkę nie lubianej osoby i wytrzeć w nią buty. Albo znęcać się nad doniczkową rośliną, którą w gabinecie premiera zostawił Miller. Nie był naturą demoniczną, co podejrzewał prezydent, a tylko perfidną. Brutalność politycznej profesji ujawniała się w Tusku w formach budzących nie tyle grozę, co niesmak.

Po aferze z samolotem Tusk się mocno wystraszył. Zrozumiał, że zanadto się odsłonił. Postanowił zmienić taktykę, rozwiązać spór z prezydentem w sposób cywilizowany. Skierował do Trybunału Konstytucyjnego pytanie, kto reprezentuje Polskę na unijnych szczytach. Czekał na werdykt, przestał hamować prezydenta,

więc ten latał, gdzie chciał. Czekanie się opłaciło, po kilku miesiącach Trybunał zdecydował, że premier ustala, kto leci na unijne szczyty, kto delegacją kieruje i co delegacja mówi. Prezydent może lecieć, kiedy chce, ale musi reprezentować linię ustaloną przez rząd. Orzeczenie dotyczyło tylko unijnych szczytów, ale przynajmniej na jednym polu wskazało jasną hierarchię władzy. Premier jest ważniejszy.





# **Rozdział VII**

## **Tusk rośnie w siłę**





## PRZEWRÓT KOPERNIKAŃSKI

**P**o roku rządzenia Tusk budził się w komfortowej sytuacji. Kaczyńscy okazali się wehikułem, którym nie tylko łatwo dojechał do władzy, ale którym się bezpiecznie poruszał, władzę sprawując. Bo konflikt wywołany przez prezydenta podtrzymał kampanijne nastroje, Tusk rządził, jednak w centrum uwagi nie był rząd, ale Kaczyńscy. To była niezwykle konfiguracja prezentów od losu, Tusk nie musiał nic robić, gospodarka rosła w zawrotnym tempie, zaś bracia własnymi rękami budowali poparcie dla rządu, podtrzymując społeczny strach przed sobą. Gdy czasem przysnęli i poziom strachu spadał, Tusk poszturchiwał Lecha i wszystko znowu działało. Bracia zbudowali sobie piekło, zaś przeciwnikowi raj. Żaden premier nie zaznał takiej wygody. Gdy elity zaczęły się złościć, że Tusk ucieka przed ambitnym rządzeniem, znowu prezydent przyszedł z pomocą. Wetował kolejne ustawy, nie potrafiąc zrozumieć, że to największa przysługa, jaką może oddać Tuskowi. Bo jego minimalizmowi dostarczał alibi. Premier często z niego korzystał, lubił opowiadać o zmianach, jakie rząd wprowadzi, gdy wreszcie Kaczyński zniknie z Pałacu.

Tusk był pasożytem, karmił się dobrami, których sam nie potrafił zgromadzić. Ale robił to sprawnie. Kaczyńskich eksploatował chłodno i metodycznie, strzygł ich jak owce, wyciskał jak cytryny. Mówiono dużo o niezdarności Lecha, łatwo zapominając, że w Pałacu rządziła dwuosobowa drużyna. Bracia konsultowali ze sobą wszystkie decyzje, również te samobójcze, którymi prezydent wzmacniał premiera. Nie tylko Lech się pogubił, poległ również Jarosław. Nie potrafili pasożyta od siebie oderwać, ale nie dlatego, że ten był małym ptaszkiem, który się rozgościł w uchu hipopotama, więc wielkie zwierzę nie mogło go dosięgnąć. Tuska można było zniszczyć zręcznością – demaskując jego grę, ujawniając jej cele, odsłaniając naturę premiera. Ale tego Jarosław nie potrafił, w polityce jego bronią nigdy nie był rozum, lecz siła, której używał na oślep. Bracia próbowali Tuska uderzyć, dosięgnąć, powalić, więc przegrywali, bo ta metoda jedynie Tuska wzmacniała. Rozbudzała paraliżujący lęk przez PiS-em, w cieniu którego Tusk się stawał bezpieczny. Z perspektywy lat wiadomo, że trzy razy PiS zagroził Platformie. W wyborach w 2005, 2010 i 2015 roku. We wszystkich przypadkach prowadzenie polityki Jarosław oddał sztabowcom. Wystarczyło na chwilę wyjść z trybu „bicie na oślep” i zagrać „chłodnym

rozsądkiem”, aby pasożyt się znalazł w opałach. Rozmiar tych opalów zależał od skali nieobecności Jarosława. Gdy zniknął na wiele miesięcy, jak w 2005 czy w 2015, PiS brał całą pulę, gdy pozostawał na scenie, grając rolę narzuconą przez sztab, jak w 2010, PiS do zwycięstwa jedynie się zbliżał. To nie Tusk trzymał PiS z dala od władzy, to nie on ratował Polskę przed braćmi, lecz działania samego Jarosława. Dziwnego polityka, którego wielkie zdolności pozwoliły zbudować wielką partię, a równie wielkie wady sprawiły, że Polacy nie chcieli go widzieć u władzy. Gdyby zrobił sobie przerwę, wyjechał z chorą matką do ciepłych krajów, Tusk miałby małe szanse przeżycia.

Co nie znaczy, że Tusk był politykiem przeciętnym. Właśnie w drugim roku rządzenia ujawnił swoje niezwykle talenty. W Ameryce wybuchł kryzys finansowy, pękła bańka kredytowa, system bankowy znalazł się na skraju ruiny. Kryzysowa fala szybko dotarła do Europy, wywołując największe od czasów wojny załamanie gospodarcze. Jedno po drugim państwa Unii popadały w recesję. Tusk zareagował ekscentrycznie, nie zrobił nic. Nie dlatego, że nie chciał budzić paniki, po prostu czekał na bieg wydarzeń. Gdy kryzys rozlewał się po Europie, wiele państw chroniło się dorzucaniem do gospodarki wielkich pieniędzy. Tego samego chciała opozycja, ale Tusk odmówił. Czekał. Nie dlatego, że wiedział, że fala kryzysu do Polski nie dotrze, ale ponieważ wpierw chciał falę zobaczyć. W końcu do Polski dotarła, zdumiewająco mała, wygasła wysoki wzrost, ale nie zdołała wywołać recesji. Nie było to zasługą władzy, lecz okoliczności. Przede wszystkim nie trzeba było ratować banków, Polska miała zdrowy system bankowy, z małą liczbą udzielonych kredytów i śladową nietrafionych. Miała też własną walutę, którą mogła dowolnie osłabiać, obywateli chcących nadal kupować oraz biznes gotowy nadal inwestować. Gdyby Polska była silniej podłączona do światowego systemu, poległaby wraz z nim. W czasach kryzysu zacofanie było atutem.

Przed kryzysem ekonomiści na rządy Tuska reagowali dużym rozczarowaniem. Premier kontynuował strategię PiS-u, korzystał z komfortu wzrostu, pieniądze publiczne wydając bez miary. Jednak jego spokojna reakcja na kryzys zebrała świetne recenzje, premier nie uległ panice. Lecz chwilę później pochwały ucichły. Gospodarka spowolniła, dochody budżetu znacząco spadły, tymczasem Tusk wydatków ciąć nie zamierzał. Dług publiczny wzrósł tak gwałtownie, że Unia zagroziła Polsce procedurą nadmiernego deficytu. Tusk to zignorował, aby wygrać wybory prezydenckie, przygotował budżet z największym deficytem w dziejach III RP. Ekonomiści podnieśli alarm, kwota była astronomiczna, żaden rząd nie trwonął pieniędzy na taką skalę. Ledwo co Polska uniknęła kryzysu,

a już wpadała w pułapkę zadłużenia tylko po to, aby Platforma wzięła pełnię władzy. Znani ekonomiści wystosowali list do premiera z prośbą, aby się opamiętał. Ale tak jak Kaczyński nie znosił prawników, tak Tusk nie cierpiał ekonomistów. Nie wierzył im, uważał, że zawsze wieszczą pożary, które nigdy nie wybuchają. Widział w nich wirusy, które mordują polityków. Kolejnych premierów zmuszali do reform, jak twierdzili koniecznych, które okazywały się potem jedynie samobójcze. Bo gdy następcy zaczęte reformy wyrzucali do kosza, na gospodarkę nie spadały klęski. To zbudowało w Tusku przekonanie, że ekonomiści nie myślą się często, lecz zawsze. Z pychy, z ambicji, a przede wszystkim z lekkomyślności, bo rachunki za ich rady zawsze płacą inni. Swojego ministra finansów Tusk nigdy nie słuchał, lecz sam mu wydawał rozkazy. I zmusił go, aby zamiast oszczędności zastosował sztuczki księgowe zmniejszające deficyt tylko na papierze. Ekonomiści przyjęli to z wielką niechęcią, ale lęk przed PiS-em zwyciężył, postanowili cierpliwie czekać do prezydenckich wyborów, do zapowiadzianych ambitnych reform, które blokował ówczesny lokator Pałacu.

Choć to wykracza poza ramy tej książki, ciekawy jest finał historii. Bo kiedy Platforma Pałac przejęła, Tusk się z zapowiedzi wycofał. Ekonomiści nie wytrzymali, zarzucili premierowi nieodpowiedzialność, porównali do Gierka, Balcerowicz w centrum Warszawy zawiesił licznik długu publicznego. Premierowi raz nerwy puściły, przeciwników nazwał „pseudekspertami”, jednak starał się unikać otwartego konfliktu. Bał się stygmatu radykała, wolał, aby społeczeństwo nie wiedziało, jaki lęk wzbudził w ekonomicznych ekspertach. Bo ujmując problem w liczbach, skala odejścia Tuska od ekonomicznej ortodoksji była największa w historii III RP. Nawet pomysły Leppera nie były tak kosztowne. Dlatego Tusk nadal zwodził ekonomistów, proponował cierpliwość, dawał do zrozumienia, że gdy Platforma wygra wybory do Sejmu, ruszy wielka reforma wydatków. Ale kiedy w końcu wygrała, reformy znowu nie było. Sposobem redukcji długu okazały się demontaż OFE oraz wydłużenie wieku emerytalnego, ale w stylu Tuska, rozłożone na 25 lat, aby ludzie nie poczuli zmiany. Skoro jednak ludzie nie poczuli, również budżet nie poczuł. W swojej ostrożności Tusk był nie tyle konsekwentny, co fanatyczny. Nigdy nie ustąpił nawet na krok. Jeśli już zabierał ludziom pieniądze, to nie terazniejsze, lecz przyszłe. Aby poczuli ból, gdy rządzić będzie kto inny. Jeśli łątał dziurę w budżecie, to nie cięciem bieżących wydatków, lecz planem ich cięcia w przyszłości.

Nikt nigdy nie zachował się wobec finansów publicznych z takim egoizmem i tupetem. Olbrzymi strumień pieniędzy został wydany jedynie po to, aby Tusk nie

stracił władzy. Jeśli radykalizm mierzyć skalą odejścia od tego, co powszechnie uznane, Tusk był większym radykałem niż Jarosław Kaczyński. Ekonomiści wieszczili, że grozi utrata kontroli nad sytuacją, przekroczenie pułapu zadłużenia, a potem kryzys finansów publicznych. Ale nic się nie stało, Tusk miał niezwykle wyczucie. Prowadził politykę w kontrze wobec panujących opinii, mimo to ani razu się nie potknął. Wszyscy mówili, że nie można być tylko anty-PiS-em. Można było. Wszyscy dowodzili, że bierność zostanie ukarana. Nie została. Wszyscy mówili, że nie da się bez końca drenować budżetu. Dało się. Tusk wytyczał w polskiej polityce zupełnie nowe drogi. Odmowa planowania, rygor skupienia na „tu i teraz”, okazały się lepszym kompasem niż stawianie czoła nadchodzącym wyzwaniom. To była rewolucja w myśleniu o polityce. Tusk jako pierwszy zrozumiał, że dla społecznej większości jutro nie istnieje. Po 1989 roku społeczeństwo wielokrotnie o tym mówiło, głośno i dobitnie, wymierzając surowe kary za każdy dzisiejszy ból płacony w imię lepszej przyszłości. Jednak rządzący tego komunikatu nie potrafili usłyszeć, żyli w innej społecznej sytuacji, w stabilnym dostatku, dającym luksus planów i ambicji. Kiedyś Tusk myślał podobnie, ale widząc porażki kolejnych reformatorów, zmienił optykę. Przyszłość przestała się dla niego liczyć, odmówił jej realności. Uznał ją za wymysł elit, które nudzą się dniem dzisiejszym i dopiero w stawianiu czoła przyszłości widzą dla siebie podniecie. Gdy Tusk głos ludu rozumiał, jego polityczną pozycją stał się populizm. Ale nie selektywny, ożywiany na czas wyborów, tylko permanentny, sprawiający, że każdego dnia władza skupia się na doraźnej satysfakcji większości. Był w postępowaniu Tuska egoizm, był strach przed utratą władzy, był oportunizm przywódcy, który wie, że władza powinna umieć wyjść poza perspektywę mas. Niemniej była też wielkość odkrywcy, który potrafił zobaczyć, że świat wygląda inaczej, niż sądzą wszyscy dookoła. Oraz odwaga pójścia ścieżką, o której wszyscy mówią, że prowadzi do klęski. Obecność Kaczyńskiego zbudowała możliwość długich rządów, ale odkrycie Tuska sprawiło, że jej nie zmarnował.

Sceptyk powie, że wydając tyle miliardów, nawet Kaligula miałby szansę na reelekcję. Jednak Tusk był innym przypadkiem, był władcą niewidzialnym, który używał pieniędzy po to, aby ludowi pozwolić zapomnieć o własnym istnieniu. Obaj – Kaczyński i Tusk – byli pasterzami mas. Ale Kaczyński masy podrywał do buntu, natomiast Tusk je układał do snu. Kaczyński bił na alarm, Tusk ogłaszał, że kolacja podana. Kaczyński skupiał na sobie uwagę wszystkich, Tusk ostentacyjnie chował się w cień. Obaj w swoich technikach wykazali się prawdziwą wielkością. Czuli masy nie gorzej niż Wałęsa, byli wirtuozami w kontakcie z nimi. Jednak w obszarze sprawowania władzy Tusk bezsprzecznie był większy. Kaczyński, aby rządzić, musiał

wywoływać kryzys za kryzysem, co nie pozwalało mu długo siedzieć na tronie.  
Natomiast Tusk siedział tak długo, aż sam zechciał zejść.

## KONIEC DRUŻYNY

W połowie kadencji spadł na Tuska ostry cios. CBA od kilku miesięcy tropiło poważną aferę w szeregach Platformy. Kamiński zamiast sprawę doprowadzić do finału, do zebrania kompletu dowodów, zdecydował się rozegrać polityczną intrygę. Do dziś nie wiadomo, czy działał w porozumieniu z braćmi, aby obalić premiera, czy na własną rękę, aby zapobiec swemu odwołaniu, bo prokuratura chciała mu postawić zarzuty za aferę gruntową. W pierwszą hipotezę mocno wierzył Tusk, Lech opowiadał: „Premier jest przekonany, że to ja z bratem zastawiliśmy na niego pułapkę. Wykrzykiwał mi nawet kiedyś: »Coś się między nami skończyło!«”. Jednak prezydent twierdził, że to była samodzielna akcja Kamińskiego, który chciał „ocalić skórę, ponieważ ogromnie lubił swoje miejsce w CBA. Nie jako stołek – miał poczucie, że może tam zrobić jeszcze wiele dobrego”. Jedno jest pewne – po raz pierwszy Kamiński był zręczny. Poprosił o spotkanie z Tuskiem, aby mu przedstawić podsłuchy z rozmów telefonicznych liderów Platformy. Okazało się, że szef klubu na zlecenie potentata na rynku salonów gier zmieniał zapisy ustawy o hazardzie. W jednej z nagranych rozmów szef klubu PO opowiadał o tym otwartym tekstem: „Blokuję tę sprawę dopłat od roku... To wyłącznie moja zasługa”. Z informacji, jakie przedstawił Kamiński, wynikało, że w sprawę uwikłany jest również minister sportu, jeden z najbliższych współpracowników premiera.

Przekazawszy informacje, Kamiński poprosił premiera o czujność w sprawie ustawy, bo lobbyści chcą wykreślić wielkie opłaty, które uszczuplą budżet. Poprosił też o nieujawnianie sprawy zainteresowanym, aby CBA mogło dokończyć śledztwo. Premier wysłuchał Kamińskiego, był zdruzgotany, zawsze panicznie się obawiał afery we własnych szeregach, to był jedyny czynnik ryzyka, nad którym nie miał kontroli. Jednak dopiero po wielu dniach zrozumiał, że problem jest poważniejszy. Zaczął się zastanawiać, czemu Kamiński, człowiek fanatycznie mu wrogi, opowiedział mu o sprawie, zamiast ją doprowadzić do końca i wtedy uderzyć. Troska o przychody budżetu nie była przekonująca, do wejścia w życie ustawy było zbyt wiele czasu. I wtedy premier uświadomił sobie, że szef CBA mierzy wyżej, poluje nie na partyjną elitę, lecz na samego szefa. Kamiński zastawił na pułapkę na Tuska. Przedstawił informację, która pozwala oskarżyć premiera bez względu na to, co zrobi. Jeśli zainteresuje się ustawą, zostanie oskarżony, że swoją aktywnością

ostrzegł przestępców. Jeśli zachowa bierność, padnie zarzut ochrony skorumpowanych kolegów.

Premier zdecydował się działać, wezwał ministra, wezwał szefa klubu, zażądał od nich wyjaśnień w sprawie ciągłych zmian w ustawie. Nie mówił im o operacji CBA, jednak kilka dni później wszyscy zainteresowani wiedzieli, że są na celowniku służb. Szef klubu PO, aby uciec służbom, spotkał się ze swoim zleceniodawcą na podmiejskim cmentarzu. Tym samym zrealizował się jeden z dwóch scenariuszy, jaki zakładał Kamiński, scenariusz przecieku. Mimo tego Tusk zaczął przygotowania do odwołania Kamińskiego, prokuratura postawiła mu zarzuty dotyczące afery gruntowej, na biurko premiera trafiły ekspertyzy mówiące, że to uzasadnia dymisję. Kamiński po raz kolejny spotkał się z premierem. Próbował zablokować dymisję, tym razem bijąc na odlew. Prosto w oczy oskarżył premiera, że chce go odwołać, aby powstrzymać śledztwo w sprawie afery. Premier się zachnął, rozmowa się skończyła. Tusk postanowił Kamińskiego odwołać, zaś Kamiński opisał sprawę w liście, który wysłał do najważniejszych osób w państwie.

Kilkanaście dni później w mediach pojawiły się nagrania rozmów skorumpowanych polityków. Tusk odpowiedział zrecznie, bo szybko i twardo. Przelicytował antykorupcyjny fanatyzm Kamińskiego – oskarżeni politycy natychmiast zostali odwołani, powołano sejmową komisję śledczą, a branża hazardowa została obłożona wielkim podatkiem. Festiwal surowości pozwolił Tuskowi przetrzymać kryzys, a wtedy ruszył inny festiwal – manipulacji – aby prawda nie wyszła na jaw. Pracę sejmowej komisji Tusk objął tak mocnym partyjnym nadzorem, że stała się własną parodią. Szefem został poseł Platformy, całkowicie dyspozycyjny wobec partyjnych interesów. Skład komisji ustalono tak, aby większość miała koalicja rządowa. Jej członkowie nawet nie udawali dociekliwości, pytania były żalotne, „Czy gra pan w golfa?” – usłyszał główny oskarżony. Nad pracami komisji osobiście czuwał Schetyna, co sprawiało, że dzień po dniu realizowała partyjny scenariusz. Platforma oskarżonym urządzała medialne szkolenia, aby nie powiedzieli czegoś, co mogłoby partii zaszkodzić. Kiedy ważny polityk PO pogubił się w zeznaniach, szef komisji pospieszył z pomocą. Ogłosił przerwę i wznowił obrady, zanim członkowie wrócili. Patrząc na pustą salę, zapytał: „Czy ktoś... chce jeszcze zadać pytanie? Nikt się nie zgłasza, w związku z tym stwierdzam, że zakończyliśmy przesłuchanie”. Gdy zeznawał Tusk, posłowie PO próbowali mu pomóc z tak niezdarną gorliwością, że wzbudzili irytację premiera. Spektakl był bezwstydnym, niemniej był skuteczny. Gdyby Miller miał tyle samo tupetu, afery Rywina nigdy by nie wyszła poza ramy medialnej sensacji. Zarazem Tusk miał coś,

czego Millerowi zabrakło. Miał Kaczyńskiego. Ze strachu przed nim premierowi wybaczano wszystko. A było co wybaczać, chyba nikt wcześniej nie podeptał tyłu sejmowych standardów. Jednak polityczna wojna była w fazie, w której nikt nie liczył zbrodni wojennych popełnionych przez własną armię. Zwolennicy Platformy widzieli tylko to, że Kamiński złamał wszelkie zasady. W istocie jego szantaż wobec premiera był skandalem dużo większym niż rozmiar ujawnionej korupcji. Jednak to, co się działo w sejmowej komisji, nie było obroną przed Kamińskim, już odwołanym, lecz równie skandaliczną ochroną interesów partii rządzącej. Ale to potrafili dostrzec jedynie sympatycy PiS. Taka logika społecznych emocji dawała Tusкови i Kaczyńskiemu licencję na wszystko.

Afera hazardowa mocno przeorała Tuska. Poczul się zdradzony przez własne zaplecze, co przeżywał w wielkich emocjach. „Tyle razy wam mówiłem, żeby nie załatwiać żadnych interesów!” – wściekle krzyczał do swojej ekipy. „Dostałeś gigantyczny podarunek w postaci tych orlików... i zjechałeś to dokumentnie, nienawidzę cię!” – rugał ministra sportu. „Jak mogliście dopuścić do tego, żebym się spotkał z tym gościem!” – wykrzykiwał do współpracowników z pretensją, że nie powstrzymali go przed spotkaniem z Kamińskim. „Muszę was wywalić, siebie już zniszczyliście, zaraz zniszczycie cały projekt i mnie” – odgrażał się. Nie żartował. Kilka dni po wybuchu afery dawna drużyna została rozwiązana. Najbliżsi współpracownicy stracili rządowe posady. Tusk był zawsze skrajnie nieufny, jednak od czasu afery hazardowej podejrzliwość stała się jedyną perspektywą, z jakiej patrzył na świat. Uważał, że gdy Kaczyńscy zaatakowali podstępnie, jego zaplecze zawiodło. Dlatego wybrał samotność. Podobnie jak Kaczyński przestał innych dopuszczać do siebie. Stał się nieodgadniony, cesarski, współpracownicy dowiadywali się z mediów o jego decyzjach. Stał się również bardziej pewny siebie. Afera go zbudowała, dowiodła własnej sprawności. Oraz potwierdziła, że póki istnieje Kaczyński, wszystko jest dozwolone.

Na początku roku wyborczego 2010 podjął życiową decyzję. Mimo świetnych sondaży wycofał się z walki o prezydenturę. Oznajmił, że wybiera fotel premiera. „Żeby zmieniać Polskę, trzeba mieć władzę, a instrumenty władzy są w rządzie” – oświadczył. Ale jego motywy były odwrotne, nie tylko nie zamierzał zmieniać Polski, on już wiedział, że jej zmieniać nie musi. Formuła władzy pasywnej zdała wszystkie testy. Decydował się zostać w fotelu premiera nie po to, aby rządzić, ale panować. Dominować nad innymi. Wolał to robić z kancelarii premiera, zamiast z Pałacu, bo zrozumiał, że premier ma więcej narzędzi – ma władzę nad państwem oraz władzę nad partią. Decyzja nie była łatwa, bo pracy premiera nie zdołał polubić. Nużyła go



materia rządu, męczyła biurokratyczna rutyna, nie potrafił się zmusić do stałego wysiłku. Pracował zrywami, najczęściej w poniedziałki wieczorem, kiedy starannie się przygotowywał do posiedzeń rządu. Czytał uważnie wszystkie projekty, analizy, wyliczenia. Spytany przez kolegę, po co to robi, odpowiedział: „Wiesz, jakich mam ludzi w rządzie? Czytam, żeby nie spieprzyli, bo potem będzie na mnie”. Nie chciał być premierem, nie lubił nim być, ale ponieważ fotel szefa rządu okazał się ważniejszy od prezydenckiego, nie potrafił go oddać innemu.

Im Tusk czuł się pewniej, tym Lech czuł się słabszy. Ostatni rok był dla niego najgorszy. Jarosław wraz z partią schował się w cień, aby całą uwagę prezydent mógł skupić na sobie. Lech zadania nie udźwignął, wszedł w rolę opozycji – przesadnej, krzykliwej, mechanicznie blokującej wszystkie rządowe decyzje – co w przypadku prezydenta było strategią fatalną. Lech nie był wielkim graczem, ale w tamtym okresie działał znacznie poniżej swoich możliwości. Z rytmu wybijało go wszystko – ataki mediów, chaos w Pałacu, problemy rodzinne. Nie tyle walczył, co się śłaniał. Relacje z Pałacu pokazują człowieka zmęczonego, poranionego, zagubionego. W zbudowanej po katastrofie legendzie był to okres, w którym Platforma włożyła mu na głowę cierniową koronę. Ale to nie była prawda, w prezydenta mocniej uderzano wcześniej, gdy bił się z rządem o wpływy. Teraz rząd go lekcewał, odmawiał mu szacunku, a nawet uwagi. Widziano w nim przegranego, przeszkodę, która po wyborach zniknie. A jeśli nie zniknie, jeśli cudem wygra wybory, będzie nawet lepiej, bo swoją obecnością podtrzyma system wygodny dla Tuska. Ostatni rok prezydentury miał dla Lecha upokarzającą logikę. Stał się pionem w grze, która rywalowi zawsze dawała zwycięstwo.

Ostatni konflikt między premierem i prezydentem dotyczył Rosji. Obrósł legendą, ale wina znowu leżała po stronie konstytucji. Prezydent i premier mieli sprzeczne koncepcje uporania się z problemem stalinowskich zbrodni, więc kompromis nie był możliwy. Tusk chciał polityki małych kroków, obecności przywódców Rosji w miejscach polskiej pamięci, ale bez żądania przeprosin, których Putin twardo odmawiał. Kaczyński uważał, że to droga donikąd, że cierpliwość trzeba zastąpić presją. I dopóki Rosja się nie pokaja, powinna być atakowana przy każdej okazji. Tusk historię delikatnie zdejmował z politycznej agendy, Kaczyński odwrotnie, czynił ją sednem relacji z Rosją. Putin na polskie strategie reagował różnie, w zależności od swoich potrzeb. Gdy chciał Zachodowi wytknąć polskie obsesje, zręcznie prowokował Kaczyńskiego, kiedy chciał się pochwalić swoją otwartością, wyciągał rękę do Tuska. W 2010 roku wygodniejsza była dla niego ta druga linia, więc zaproponował swój przyjazd do Katynia. Ale gotów był stanąć

wyłącznie u boku Tuska, bez Kaczyńskiego. Tusk się zgodził, przez kilka miesięcy kancelarie premierów Polski i Rosji prowadziły wspólną grę przeciw polskiemu prezydentowi. Żonglowały kalendarzem uroczystości po to, by Putin mógł ominąć Kaczyńskiego. Moskwa rozgrywała polskich przywódców, na co Tusk pozwolił. Jednak chaos tworzyła konstytucja, nie ludzie. To była kolejna konsekwencja dwuwładzy. Tusk wszedł w rosyjską grę w przekonaniu, że obecność rosyjskiego przywódcy w Katyniu, po raz pierwszy w historii, będzie wielkim sukcesem, którego nie można zaprzepaścić z powodu prezydenckich obsesji. Kaczyński sprawę widział inaczej. Uważał, że Tusk pozwolił Putinowi wystąpić w wygodnej roli troskliwego gospodarza, zamiast w roli prawdziwej – spadkobiercy zbrodniarzy. Dlatego polecał trzy dni po Tusku, aby powiedzieć, że Rosjanie w Katyniu popełnili „ludobójstwo”, bo właśnie tego słowa postanowił użyć.

Nie użył, co zbudowało nową sytuację. Śmierć prezydenta konflikt polityczny uczyniła sprawą rodzinną. Tusk miał naprzeciw siebie nie politycznego wroga, lecz mściciela rodzinnych krzywd. Przemoczony strach przed Jarosławem narastał w Tusku od pięciu lat. Odkąd brutalnie rozegrał rozbięcie „popisu”, stale się obawiał zemsty Jarosława. Gdy PiS rządził, Tusk uwierzył w plotki, że wszystkie służby szukają materiałów na niego. Bał się tak mocno, że gdy Jarosław władzę stracił, z ulgą podziękował Lechowi, że brat tej broni nie użył. Ale nadal czuł strach. Rodzinna pułapka, jaką do polityki wprowadzili bliźniacy, stale zwiększała napięcie. Tusk musiał iść z Lechem na wojnę, choć dobrze wiedział, że jego brat mu tego nie wybaczy. Na długo przed Smoleńskiem Jarosław stał się obsesją Tuska. W gronie swoich współpracowników nie mówił o nim inaczej jak „potwór”, a czasem „wariat”. Gdy coś nie szło po jego myśli, krzyczał do swoich ludzi: „Przyjdzie potwór i skończymy w więzieniu!”. Po śmierci Lecha ataki strachu przeszły w nieustanną panikę, wizja dojścia Kaczyńskiego do władzy w premierze budziła grozę. Rok później Tusk mówił swojej ekipie: „W tych wyborach walczymy nie tylko o władzę, ale także o własną skórę”.

Tusk miał powody do obaw. Jarosław od początku nie krył swoich emocji. Gdy kilka minut po katastrofie Sikorski zadzwonił do niego z informacją, że brat zginął, Jarosław powiedział: „To wynik waszej zbrodniczej polityki”. Gdy kilka godzin później podczas narady liderów PiS padł pomysł, aby Jarosław poleciał na miejsce katastrofy razem z Tuskiem, ten odparł: „Nie, oni zabili mi brata”. Jednemu z liderów Platformy Tusk opowiedział, że gdy szedł w kondukcje żałobnym na Wawel, ludzie mu złorzeczyli, grozili pięściami. W pewnym momencie podszedł również Kaczyński, miał mu powiedzieć: „Zamordowałeś mojego brata, zapłacisz za to”. Po

raz pierwszy w polskiej demokracji władza bała się przegranej z obawy o własne bezpieczeństwo. Relacje zza kulis po 2010 roku zawsze brzmią podobnie, Tusk z zaciętą twarzą krzyczy na współpracowników: „Absolutnie was wszystkich wypierdolę. Nie nadajecie się do niczego. Mam już dość!”. Nie był to popis chamstwa, lecz desperacji.

W 2005 roku państwo znalazło się rękach nie partii, lecz jednostek. Tyleż utalentowanych, co toksycznych, które swymi emocjami zarażały państwo. Polska polityka stała się ekspresją wzajemnych urazów w gronie trzech osób. Ślepą zemstę rozpoczął Tusk w 2005 roku, nie potrafiąc się pogodzić z przegraną. Po 2007 roku pałeczkę przejął Lech, który się mścił na Tusku za to, że pokonał mu brata. Tusk się odwijał mocniej, więc po katastrofie dzieło zemsty przeszło w ręce Jarosława. A ten sięgnął wobec rządu po oskarżenia o zamach i zdradę. Każdy mógł pójść o kilka kroków dalej, bo rozemocjonowane społeczeństwo swoim przywódcom pozwalało na wszystko. Więc pękały kolejne granice, kolejne skrupuły, kolejne standardy. Jarosław i Tusk nie musieli się ograniczać, bo dzięki ślepemu poparciu wyborców sfera publiczna stała się ich własnością. Partie były prywatne, cele władzy były prywatne, motywacje były prywatne. Państwo stało się własnością Tuska oraz rodziny Kaczyńskich. Po drodze nie dokonano żadnego gwałtu ani na demokracji, ani na konstytucji, ani na ładzie prawnym. Wszystko potoczyło się miękko, samo z siebie. Splątanie kilku czynników – toksycznych jednostek, spółki rodzinnej, dwuwładzy – uruchomiło logikę głębokich zmian. Rządzący mogli wszystko. Bracia zrobili szefem NBP człowieka, który o bankowości nie miał pojęcia, Tusk mianował szefem klubu najmniej rozgarniętego posła Platformy. Widząc nowego szefa, załamany Kutz spytał kolegę: „To co? Kiedy spierdalamy?”. Nie doszło do mianowania konia senatorem, ale to już były cesarskie zabawy. Tusk i Kaczyński krytykowali postkomunistów za to, że państwo uczynili prywatnym folwarkiem obsługującym ich materialne potrzeby. Nie byli lepsi, zamienili państwo w narzędzie rozładowywania własnych, niezdrowych emocji.

## REFORMATOR WŁADZY. OCENA TUSKA

Tusk przez dwie dekady patrzył na losy polskich premierów. Tracili władzę średnio po ośmiu miesiącach. To było niezwykle widowisko, ledwo polityk zasiadł w fotelu premiera, już z niego spadał. Zanim zdobył doświadczenie, zanim zrozumiał reguły, zanim nabrał pewności siebie, już przychodziła dymisja. Śmiertelne ciosy spadały z każdej możliwej strony – z zewnątrz uderzali prezydent i opozycja, z boku atakował koalicjant, z tyłu dźgali rywale z własnej partii. Premier był obiektem tak zmasowanej nagonki, że nie był w stanie się bronić. Stworzona w latach 90. organizacja polskiej polityki była fatalna. Wymyśliły ją słabe partie, których celem nie była stabilna władza, lecz własne przetrwanie. Rozproszyły władzę tak mocno, aby jedna lub dwie nie wyrosły nad inne. W deklaracjach budowano sprawną demokrację, w praktyce blokowano jej powstanie. Egoizm partyjny legł u fundamentów III RP. Ordynacja rozproszyła władzę ustawodawczą, z kolei konstytucja rozproszyła władzę wykonawczą. Uzasadniając te ruchy, partie mówiły o równowadze, ale ten eufemizm skrywał inne intencje. Chodziło o tak wielkie pokawałkowanie władzy, aby jej starczyło dla wszystkich. Ordynacja szeroko otworzyła drzwi do Sejmu, wchodziło do niego zwykle pięć lub sześć partii. A że było ich dużo, połowa z nich dochodziła do władzy. Przez dwadzieścia lat żadnej partii nie udało się zdobyć samodzielnej większości. Rządziły dwie lub trzy. Konstytucja poszła jeszcze dalej, podzieliła władzę wykonawczą, aby partia, która przegrała wyścig do władzy rządowej, mogła zaważać o prezydenturę. W praktyce u władzy były aż trzy partie. Nie był to koniec problemu, bo te trzy ośrodki rządzenia działały w systemie, który je pchał do wojny. Zamiast premierowi i prezydentowi wyznaczyć osobne pola władzy, pierwszemu dano narzędzia rządzenia, drugiemu narzędzia do paraliżowania premiera. To był tandem, w którym premier dostał kierownicę, a prezydent nóż do wbijania w plecy premiera, aby mieć wpływ na kierunek jazdy.

Główną ofiarą tego systemu był premier. W dzień po wyborczym sukcesie budził się w sytuacji fatalnej. Musiał szukać sobie koalicjantów – jeśli miał szczęście, wystarczał jeden, jeśli miał pecha, potrzebował dwóch. Gdy sklecił większość, wpadał na prezydenta, którego główną aktywnością było zastawianie na premiera pułapek. Miał też problem z własnym zapleczem, bo ordynacja rujnowała system partyjny. W każdym kolejnych wyborach do Sejmu wchodziły dwie nowe formacje, a kolejne

dwie były blisko sukcesu. Ta łatwość dostania się do Sejmu prowokowała do nieustannych rozłamów, do tworzenia nowych partii. W Niemczech, Anglii czy Ameryce takie tempo rodzenia się partii jest nie do wyobrażenia. Nie dlatego, że tamci wyborcy są bardziej lojalni, polska niestabilność nie była skutkiem polskiego charakteru, lecz polskiej ordynacji. Z wyjątkiem PSL żadna partia nie przeżyła 25 lat. Miało to fatalne skutki, wieczne rozłamy sprawiały, że liderzy partii nie byli silnymi przywódcami. Gdy rząd przeżywał kłopoty, premier wiedział, że jego koledzy już planują secesję. Konstytucja dodała kolejny problem, liderzy partii walczyli o prezydenturę, szefami rządu mianując przybocznych. Premier marionetka – to kolejny zatruty owoc dwuwładzy.

Podobieństwo politycznych celów kolejnych ekip tłumilo szok nieustannych zmian. Niemniej polska demokracja była anarchiczna u samych fundamentów swojej konstrukcji. Zamiast pójść drogą demokracji tworzących stabilną władzę – Anglii, Ameryki, Francji czy Niemiec – stworzyła ustrój, w którym sprawne przywództwo graniczyło z cudem. I to na każdym poziomie – ani prezydent nie mógł być silny, ani premier, ani partie, ani ich liderzy. Aby stać się silnym, trzeba było pójść drogą Wałęsy, czyli złamać obowiązujące reguły. Jeśli pojęcia III RP można używać w roli epitetu, to właśnie do opisu ustrojowej anarchii. Oraz jej skutków, które zirytowały ambitnych polityków drugiej dekady – Millera, Kaczyńskiego i Tuska. Bo na grzbiet słabej władzy zbyt wielu próbowało się wdrapać. Słabość prowokowała, ośmielała do stawiania rządu pod ścianą – przez oligarchów, przez media, przez biskupów. Trudno się dziwić, gdy król jest słaby, wyrastają magnaci. Żaden z nich nie był potęgą, niemniej premierzy byli zbyt słabi, by ich zignorować.

Pierwszy zbuntował się Miller, żądając pionowej architektury władzy z premierem na czele. Jego porażka pokazała siłę rozproszonej władzy. Zanim Millera dopadły afery, zanim pojawił się Rywin, na drodze stanęli mu prezydent, marszałek Sejmu, baron medialny, oligarchowie. Wszyscy z tym samym komunikatem: rząd nie będzie nam stawiał warunków. Wszyscy ambicje Millera nazywali zamachem – na demokrację, na wolność słowa. Ale to ich pretensje były patologią. Występowali z pozycji magnatów chcących zachować wpływy, jakie zdobyli w czasach słabości rządu. Marszałek Sejmu, zarazem partyjny podwładny premiera, chciał mieć wpływ na strategiczne decyzje rządu. Prezydent pragnął jeszcze więcej, chciał dyktować rządowi decyzje. Oligarchowie domagali się, aby najsmaczniejsze kąski trafiały do nich. Baron medialny żądał, żeby jego spółka mogła zdominować rynek. Wszyscy żądali więcej, niż by dostali w zdrowych demokracjach. Byli rozpuszczeni dekadą słabych premierów. Tak bardzo przywykli do słabej władzy,

że pierwszy premier, który zachował się jak premier, został okrzyknięty agresorem.

Kaczyński w magnatach widział coś więcej niż owoc słabej władzy. Widział w nich układ, więc pierwszy uderzył. Większość ciosów zadał na oślep, czym jednych przeraził, drugich sprowokował do wojny. Niemniej postawił na swoim, zdobył to, czego pragnął Miller. Był pierwszym premierem, który był realnym przywódcą swojego obozu. Pierwszym – dzięki spółce rodzinnej – który stworzył w państwie jeden ośrodek rządzenia. I wreszcie pierwszym, który magnatom odmówił świadczenia usług, z upokarzającym wyjątkiem Rydzyka, który z tylnego siedzenia nadal dyktował decyzje. W wymiarze ustrojowym Kaczyński odniósł duży sukces, jednak opłacony wysoką ceną, bo walka z anarchią stworzyła klimat jeszcze większej anarchii.

Tusk podtrzymał wysiłek Kaczyńskiego. Był pod wielkim wrażeniem tego, co osiągnął poprzednik, zarazem musiał dla jego sukcesów znaleźć cywilizowane formy. Był zręczny, wszyscy sądzili, że premier cofa politykę do minionych czasów, ale było odwrotnie, Tusk jeszcze szybciej kroczył kursem Kaczyńskiego. Konsolidował władzę premiera z rozmachem, jakiego nad Wisłą nigdy nie widziano. Kolejne nitki władzy trafiały do jego kancelarii. Działał miękko, elegancko, dyskretnie, nie naruszając liberalno-demokratycznej wrażliwości. Porządkowanie systemu władzy pozbawił aury antysystemowości, tak typowej dla Kaczyńskiego czy Orbána. Wszystko przemyślał, zanim wziął władzę, więc zostawszy premierem, działał sprawnie i metodycznie. Pamiętał ciosy, które spadły na jego poprzedników, więc wszystkie po kolei uprzedzał. Koalicjanta obdarował hojnie, nigdy mała partia nie dostała tak dużo, wizja buntu stała się niemożliwa. Mając bezpieczną większość, mógł wykonać kolejny krok, zmarginalizować Sejm. Przez lata najsilniejsze ciosy spadały na premiera właśnie z tej strony – bunty własnego zaplecza, ambicje marszałków, komisje specjalne. Na Zachodzie parlamenty są raczej niemrawe, w Polsce było inaczej. Dlatego główne fotele na Wiejskiej Tusk oddał politykom niezdarnym i niesamodzielnym. Marszałkiem został Komorowski, na którego – jak mówił Tusk – wystarczy huknąć, a podkuli ogon pod siebie. Od lat był planowany na najwyższe urzędy, podobnie jak Kopacz, którą Tusk cenił za ślepą lojalność. Tak jak Krzaklewski ciągnął za sobą Buzka, tak Tusk Komorowskiego i Kopacz. Dwa polityczne beztalencia, których jedyną rolą było zabezpieczenie Tuska przed zdradą.

Komorowski nigdy nie został dopuszczony do decyzyjnego kręgu, polecenia od premiera dostawał esemesami, które wysyłali urzędnicy kancelarii. Marszałek Sejmu przestał być ważnym ogniwem władzy, podobnie jak szef klubu, obaj stali się trybikami w maszynie rządzonej przez premiera. Podobnej presji poddana została

partia, poza jednym Schetyną wszyscy poważni konkurenci zostali wyrzuceni, zanim Tusk został premierem. Ostrożność Tuska nie znała granic, choć obie struktury – klub oraz partia – pracowały lojalnie, przed każdym ważnym ruchem przeprowadzał higieniczne czystki. Dalej obniżał merytoryczną wartość ekipy na rzecz posłuszeństwa. Awansował też szczególny gatunek ludzi. O ile Kaczyński lubił ascetycznych szaleńców, Tusk sięgał po ludzi, którzy chełpili się cenami zegarków i garniturów. Dzięki temu wojsku Tusk przeszedł przez wszystkie kryzysy, przez komisję śledczą, przez katastrofę smoleńską. Po raz pierwszy zaplecze premiera stało za nim murem. Po katastrofie smoleńskiej poszedł dalej tą drogą, kolejny problem, tym razem dwuwładzy, rozwiązał, oddając Pałac Komorowskiemu. Nie miał większości potrzebnej do zmiany konstytucji, więc prezydenturę zmarginalizował formatem osoby. Często był za to krytykowany, ale niesłusznie. Wprowadzenie porządku do świata anarchii miało swoją cenę. Skoro ojcowie założyciele polskiego ustroju podeptali reguły rozumu, premier musiał podeptać kilka instytucji, aby odbudować stabilność władzy. A ponieważ zrobił to bez złamania prawa, należy go raczej podziwiać. Również Tusk odmówił wpływów magnatom. Nie bił się z nimi jak Kaczyński, po prostu się od nich odsunął. Przejmując władzę po Kaczyńskim, było mu łatwiej, jego poprzednik wykonał najtrudniejszą pracę, zerwał dawne nitki kooperacji. Jednak Tusk sytuację podtrzymał, zakazał swojej ekipie powrotu do starych praktyk, choć wielu miało na to ochotę. Ponieważ wystraszeni PiS-em magnaci nie kryli swej życzliwości dla Tuska, Kaczyński dowodził, że polski premier znowu służy „elitom III RP”. Ale było odwrotnie, wreszcie normalnie, premier pozwalał się popierać, niczego nie dając w zamian.

Miller i Kaczyński bili się o pionową hierarchię władzy, bo mieli silną potrzebę podmiotowości. Z Tuskiem było inaczej, bardziej nim kierowała ostrożność. Podbijał cały polityczny świat z obawy, że w klimacie polskiej anarchii na niepodbitej ziemi narodzi się rywal, który go obali. Ale ustrojowy efekt jego wysiłku był ten sam. Dzięki Tuskowi władza zyskała na podmiotowości. Nie została na trwałe wzmocniona, bo Tuska mało obchodziło, co będzie się działo po jego odejściu. Ale choć nie narzucił polityce nowych reguł, to przynajmniej wprowadził nowe praktyki. Polityczni i pozapolityczni magnaci stracili wpływy. Rozproszona struktura władzy stała się pionowa i oficjalna. Nikt już premierem nie rządził, nikt mu niczego nie dyktował, nikt do niczego nie przymuszał. Czasy Bieleckiego, Suchockiej czy Buzka skończyły się. Premier był realnym przywódcą swego obozu, kierował się własną oceną, elity i media lekceważył, oligarchów trzymał na dystans. Tusk był reformatorem nie państwa, lecz władzy, jej rozproszone zasoby skupił w jednym ręku. Ciekawa była

kuluarowa, niemal sekretna droga, jaką doszedł do celu. Bo to, co Kaczyński osiągał za cenę wojny ze wszystkimi, w atmosferze awantury, budząc obawy co do swoich celów, Tusk wygrał ściąganiem cugli własnej ekipie. Kuchnia tego wysiłku nie była estetyczna, były to intrygi, czystki, nominacje ludzi o kiepskiej jakości. Ale efekt był niemal cesarski. Publiczność nie dostrzegła zysków z reformy władzy, niemniej było to wprowadzenie normalności, która po chaosie lat 90. stała się celem wielu państw regionu. Jego wysiłek najbardziej docenili politycy, zarówno polscy, jak Miller, jak też zachodni, którzy wreszcie mieli partnera, z którym mogli snuć plany na przyszłość. Sama stabilność władzy mocniej budowała pozycję Polski w Unii niż najbardziej ambitne próby jej wzmocnienia. Wałęsa miał rację, państwo musi mieć szefa.



## RZEMIEŚLNIK WŁADZY. CIĄG DALSZY OCENY TUSKA

Wymiary władzy związane z jej stabilnością Tusk przemyślał jak nikt inny wcześniej. Rządy rozpoczął od rozmycia profilu Platformy. Już przed wyborami 2005 roku wziął ślub kościelny, a kolegom powtarzał, że „żadna partia lewicowa przez 10–15 lat nie wygra wyborów w Polsce, trzeba być zatem prawicą”. Jednak prawicowy profil rozmył potem mocno, aby nie budzić niechęci ani lewicy, ani liberałów. Obsesyjnie unikał wyrazistości, w każdej sprawie uciekał przed zajęciem jasnej postawy. Twierdził, że chce łagodzić spory gorącej epoki, ale prawda była inna, nie miał zamiaru prowokować żadnej ze stron. Z premedytacją nie popierał żadnej sprawy, nie rozwiązywał żadnego konfliktu. Nad problemami się jedynie pochylał, dawał ludziom poczucie, że władza się nimi zajmie, wiedząc, że większości ta świadomość wystarcza. Bo społeczeństwo nie potrzebuje władzy, która jest sprawna, lecz na sprawną wygląda. Pamięć społeczna jest za krótka, a wiedza za mała, aby ocenić rzeczywiste działania. Iluzja sprawności, iluzja bezpieczeństwa, iluzja kompetencji – to rzeczy, na których zręczna władza może poprzestać.

Z tej postawy wzięła się fascynacja pijarem. Zanim Tusk wziął władzę, techniki społecznej manipulacji były już dobrze znane polskiej polityce i miały w niej ważne miejsce. Ale jako instrument wygrywania wyborów, wychodzenia z politycznego kryzysu czy reperowania nadszarpniętego wizerunku. Natomiast Tusk tych narzędzi użył jako głównej metody rządzenia. Poza wysiłkiem administracyjnym energia premiera koncentrowała się na manipulowaniu społecznymi emocjami. Różnie się udawało, raz lepiej, raz gorzej, ale ważniejsza była przyjęta metoda. Gdy pojawiał się problem, ekipa Tuska słyszała od szefa pytanie: „Czym to przykryć?”. W ten sposób rodziły się pomysły, czym nakarmić społeczną uwagę. Mogła to być zapowiedź kastracji pedofilów albo wyprawa premiera do Afganistanu. Z początku takie gry wydawały się nie tyle cynizmem, co dziwactwem. Wywracały wyobrażenia na temat polityki, wiarę w mądrość demosu i w powagę władzy. Jednak po latach stało się jasne, że Tusk poznał demos i władzę dużo lepiej niż jego krytycy. Okazało się, że polityka od wieków się nie zmieniła. Jeśli władza nie musi, nie opiekuje się masami, lecz nimi manipuluje. Dla Tuska, podobnie jak dla Kaczyńskiego, manipulacja społeczną świadomością była zawsze pierwszym odruchem. Natomiast realia – czyli instytucje, warunki życia, społeczne praktyki –

mało ich obchodziły. Tusk uważał, że państwo jest zbyt słabe, aby próbować rzeźbić rzeczywistość, więc o niej nawet nie myślał. Kaczyński postępował inaczej, sporo o rzeczywistości myślał, ale w trybie publicystycznym, tworząc na jej temat kolejne teorie, natomiast jako polityk nigdy się z nią nie mierzył. Obaj wyłącznym polem swej aktywności uczynili społeczne emocje.

Dla Tuska jedyną rzeczywistością były sondaże. To nie była fotografia świata, ale sam świat. Nie było tak ważnej sprawy, przy której by zlekceważył społeczne nastroje. Dlatego zniszczył OFE, zadłużył budżet, odmówił reform, blokował tarczę, wstrzymał in vitro. Przez całe premierostwo szedł jednym kursem, podejmował decyzje, które zwiększały jego popularność. Nawet w pierwszych miesiącach nie chciał zerwać z tyranią sondaży. Patrząc na poprzedników, uznał, że premier nigdy nie może sobie pozwolić na spadek w sondażach. Bo każdy jest sygnałem do ataku, upustem krwi, której zapach pobudza opozycję, media oraz rywali we własnych szeregach. Konsekwentnie więc schlebiał większości. Co wcale nie było oczywistą drogą. Nikt wcześniej tego nie robił, wcale nie było pewne, jak społeczeństwo zareaguje na nowe praktyki. Doświadczeni politycy wróżyli porażkę. Uważali, że masy są bardziej skomplikowanym instrumentem, niż sądzi Tusk. Lubią karać władzę za ambicję, ale lubią też karać za brak ambicji. Spór wygrał Tusk.

Największą zręcznością wykazał się w organizowaniu własnego zaplecza. Jako lider partii i rządu miał sytuację trudniejszą, niż miał Kaczyński. Brakowało mu jego charyzmy i wyjątkowości, przez długie lata szefem Platformy równie dobrze mógł być Olechowski, Piskorski, Gilowska czy Rokita. Wypracowanie pozycji, jaką miał Kaczyński, wymagało więcej wysiłku, więcej bezwzględności i więcej zręczności. Również dlatego, że centrowy wyborca Platformy miał – jak powszechnie mówiono – inną wrażliwość. Miał nie tolerować despotycznych jednostek. Miał się brzydzić czystek, w których się wyrzuca najzdolniejszych ludzi. Miał się burzyć, gdy państwo się obsadza miernymi kadrami. Poprzedni gospodarze politycznego centrum – Mazowiecki, Geremek, Kwaśniewski – mieli pewność, że takie praktyki byłyby politycznym samobójstwem. Nawet Miller, który łamał wiele reguł, nie odważył się wyrzucić Oleksego, Borowskiego czy Cimoszewicza. Albo odesłać ich na ławkę rezerwowych, a państwo obsadzić drugim garniturem. Tymczasem Tusk się odważył. Poszedł za swoją intuicją, bo rozumiał, że masy są masami, wszystko jedno, czy są prawicowe, centrowe, czy lewicowe. Zlekceważył wyobrażenia na temat centrowego elektoratu, bo uznał je za wymysł elit. Projekcję własnej wrażliwości na masy.

Tusk nie był wizjonerem, nie był przywódcą, był natomiast rzemieślnikiem

władzy. Starannie zebrał techniki dające rządowi niewywrotność, aby z nich zbudować nową praktykę rządzenia. Nowy model sprawowania urzędu premiera, dający mu wreszcie stabilność. Siedem lat trwania u władzy mógł zlekceważyć kibic polityki, ale dla polityków było to wielkie wydarzenie. To był pokaz politycznego warsztatu, nowych narzędzi, technik, wiedzy. To był cykl błyskotliwych wykładów z technologii władzy. Następcy Tuska, nawet gdy będą mieli całkiem inne cele, będą musieli użyć większości jego narzędzi. Bo każda władza potrzebuje stabilności, zwłaszcza gdy się musi zmagać z anarchicznym ustrojem.

## NIEWOLNIK WŁADZY. FINAŁ OCENY TUSKA

Tusk z polskiego premiera zrobił kanclerza. Wyniósł go wyżej niż kiedykolwiek w polskiej historii. Jednak swojego sukcesu opromienić nie zdołał. Zabrakło mu odwagi. Ani razu zgromadzonej władzy nie użył z rozmachem. Nie zrobił niczego śmiałego, niczego ambitnego, niczego, co by go wyróżniło z tłumu polskich premierów. Rokita twierdził, że Tusk jest kolekcjonerem władzy. Chciwym posiadaczem, który nie korzysta ze swych zbiorów, aby żaden element kolekcji nie doznał uszczerbku. Jednak było gorzej – Tusk nie był chciwy, był raczej ostrożny na granicy tchórzostwa. Utraty władzy po prostu się bał. Siedział na tronie jak na iglicy Pałacu Kultury, w panicznym strachu przed każdym ruchem. Nie chciał władzy, cała jego kariera wzięła się z lęku przed utratą partii. Ale kiedy został premierem, zawładnął nim kolejny lęk, przed utratą władzy. Na temat natury tego lęku nie warto spekulować, może to był strach przed Kaczyńskim, może emocjonalna chwiejność, może wieczny lęk przed porażkami, z którymi sobie psychicznie nie radził. Niemniej strach był głównym motorem jego zachowań. Nie czerpał przyjemności z władzy, co podkreślają wszyscy, którzy pracowali z nim blisko. Zawsze był spięty, sfrustrowany, pełen pretensji i obaw. Jarosław w najgorszych momentach swojego premierostwa, gdy się wrogom mocno odwinał, aż kipiał z uciechy. Był uśmiechnięty, zrelaksowany, władczy. Tusk nigdy taki nie był, wiecznie wypatrywał kłopotów. Nie był zimnym graczem, który z wyrachowania unika ryzyka, był spanikowaną naturą, którą każda informacja wbija w depresję.

To sprawiło, że poszedł dalej, niż było potrzeba. Miał rację, że społeczeństwo jest kapryśne, że nie chce reform, że uśmierca każdą ambitną władzę. Ale z tego nie wynikało, że nie warto nic robić, istniało wiele pól, na których ryzyko aktywności nie było duże. Miał rację, że polskie państwo jest w fatalnym stanie, ale nie był to powód, aby jego naprawy w ogóle zaniechać. Miał rację, że rozsądny polityk nie idzie na zwarcie z masami, ale to nie kazało za masami kroczyć z niewolniczą pokorą i zamiast przywódcą, zawsze być sługą. Tusk miał żywą inteligencję, która osobiste doświadczenie wydestylowała w mądrość, miał elastyczność niesłusznie zwaną cynizmem, miał wdzięk, którym zręcznie maskował oślizgłe intrygi. Jednak dominantą jego zachowań były małe obawy. Miał władzę kanclerza, a samopoczucie urzędnika, który drży przed dymisją. Był pierwszym premierem, który zmagął się nie

z ograniczeniami zewnętrznymi, ale wewnętrznymi. Tusk kierował rządem przez siedem lat, najdłużej po 1989 roku. Tyle samo rządziły łącznie cztery kolejne ekipy w rankingu: rząd Buzka, dopóki nie stracił większości, rządy Millera, Cimoszewicza i Mazowieckiego. Jednak z danego mu czasu nie potrafił skorzystać. Panika, że straci władzę, zawsze była większa niż obawa, że po sobie nic nie zostawi. Nie był gorszy od większości zachodnich przywódców zarządzających sytymi nacjami. Nie zrobił niczego złego, ale nie zrobił też niczego dobrego. Dla tego, kto w politykę nie wierzy, Tusk był normalnym władcą. Ale dla każdego, kto w niej pokłada nadzieje, był krzyczącym skandalem. Nikt nie zmarnował tylu możliwości.

Tusk mówił, że swoim minimalizmem chroni Polskę przed Jarosławem Kaczyńskim. „Łatwo jest ogłosić śmiałe reformy – powtarzał często – a potem przegrać i oddać władzę PiS-owi”. To był dobry argument, zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, kiedy Jarosław zatracił miarę. Zawsze podpalał emocje społeczne, ale nigdy z takim rozmachem i z takim brakiem publicznego sensu. Dewastował wyobraźnię milionów tylko po to, aby dokonać osobistej zemsty. Trzymanie go z dala od władzy można było uznać za rządową misję. Jednak cztery lata później Tusk zniszczył swoje alibi, bo misji ochrony Polski przed PiS-em się sprzeniewierzył. Nagle i nieodpowiedzialnie porzucił fotel premiera. Władzę nad Polską zostawił dla brukselskiej posady, dostatniej i bezpiecznej, bo daleko od Kaczyńskiego. Nawet nie zadbał o sensowną sukcesję, władzę zostawił w rękach ludzi niezdolnych do stawienia czoła PiS-owi, swoich pomocników, których nigdy nie cenił. Nie minął rok, gdy wszystko stracili. Finał premierostwa potwierdził to, co w Tusku było najsłabszym ogniwem – małość jego charakteru. Nie było w nim powagi, dumy, odwagi. Gdyby nie jego żywa inteligencja, wielki atut zdolny opromienić każdą ludzką wadę, świat nie widziałby w nim kanclerza. Raczej sklepikarza, którego przypadek wyniósł na tron. Więc zamiast rozprostować skrzydła, pozostał zakładnikiem małych lęków, małych trosk, małych zawiści.

Kaczyński był zaprzeczeniem Tuska, przesadzał w drugą stronę. Grał o ligę za wysoko. Był wielkim liderem partyjnym, a postępował, jakby był wielkim przywódcą narodu, któremu Bóg dał misję do spełnienia. Wszystkie jego cele były pompatyczne – obrona narodowej tożsamości, odzyskanie państwa, przetrwanie polskiej kultury, ochrona polskiej rodziny. Roznosiły go ambicja i pycha. Uważał, że ma prawo od Polaków wszystkiego zażądać i ma prawo im wszystko nakazać. Lech mówił, że brat jest skromny. Owszem, jako człowiek, ale jako polityk szybował na wysokości demiurga. Chciał ulepić polskość lepszą, piękniejszą, silniejszą. Kłopot w tym, że społeczeństwo nie jest tworzywem, z którego można ulepić dowolny kształt.

Kaczyński przeceniał swoje możliwości, bo uważał, że mając wolę i odwagę, można w polityce dokonać wszystkiego. Nie można. Zwłaszcza że w jego przypadku wola ciągle zawodziła. Nie potrafił wytrwać w roli rycerza sprawy, był zbyt wielkim egoistą, interes partii oraz rodziny zawsze się okazywał ważniejszy.

W epoce Czwartej RP te dwa przerysowane charaktery dostarczyły sobie racji istnienia. Minimalizm Tuska usprawiedliwiał megalomańskie marzenia Kaczyńskiego, maksymalizm Kaczyńskiego sprawiał, że władca bojący się głośniej oddychać mógł uchodzić za odpowiedzialnego.





**Zakończenie.**  
**Ocena dwóch dekad Polski oraz dwóch dekad  
polskiej polityki**





**Z**nając koniec historii, czyli skalę sukcesu odniesionego po 1989 roku, można sądzić, że musieli istnieć wielcy architekci zmian – politycy śmiali, kompetentni, rozumiejący realia. Jednak ich nie było. Nawet ci najbardziej ofiarni nie mieli jasności, co robić należy. Wiedzieli, dokąd chcą dojść, lecz nie znali drogi. Ich talenty nie były przesadne. Po latach wydaje się, że stąpali pewnie, ale to złudzenie, jakie tworzy znajomość finału. Wystarczy przejrzeć gazety z lat 90., wywiady z tymi politykami, dyskusje. To świadectwo intelektualnego pogubienia, nie tylko ich, lecz całej elity. Mało kto wiedział, czym są demokracja, wolność, rynek, a już nikt nie wiedział, jak się takie cuda buduje. Toczono debaty na temat tego, co było kluczem zachodnich sukcesów. Hipotez szukano naiwnie, niezdarnie, chaotycznie, w oparciu o wrywkowe lektury. A potem ogłaszano arbitralne recepty. Równie chaotycznie szukano zagrożeń, przesadnie, wręcz obsesyjnie, obawiano się dziedzictwa komunizmu.

Gdyby wówczas Polakom powiedzieć, że budują coś, co kiedyś uznane zostanie za sukces, byłiby bardzo zdziwieni. W tamtej epoce ich zmysły rejestrowały głównie porażki. Ton ówczesnych diagnoz był posępny i depresyjny. Reformy utknęły, jak twierdzono, daleko od mety. Polityczne wydarzenia epoki – prezydenturę Wałęsy czy powrót postkomunistów do władzy – przeżywano jako narodowe klęski. Nowe instytucje postrzegano jako kruche, przyszłość jako niepewną. Im dłużej trwała Trzecia RP, tym mocniej była kontestowana. Gdy kończyła 15 lat, pretensja do rzeczywistości stała się główną emocją epoki. Dopiero objęcie władzy przez braci Kaczyńskich zmieniło nastroje. To paradoksalne, ale dopiero Czwarta RP dała Trzeciej bardziej pokaźną grupę obrońców. Ale nadal nie byli w społeczeństwie większością. Wśród wrogów PiS-u silniejszą emocją pozostawał lęk przed Kaczyńskim niż satysfakcja z rzeczywistości.

Dwie były przyczyny tego braku satysfakcji – poczucie niskiej jakości państwa oraz niskiej jakości polityki. O pierwszym doświadczeniu mowa będzie później, natomiast natura drugiego była oczywista. Polacy nie potrafili dostrzec sukcesu, bo widzieli, kto stał na mostku. Przeciętne postaci, niezdarne, pogubione, zwykle nieznanne, jakiś działacz z Gdańska, prawnik z dziwnymi brwiami, szeregową posłanką, 34-letni rolnik. Szybko z mostka spadali, często w atmosferze skandalu.

Polacy nie wierzyli, żeby spod ręki amatorów mogły wyjść udane realia. Widzieli, że dookoła się rodzi nowa gospodarka, ale nie wierzyli, że jest to kapitalizm zachodni. Bo kto miał stworzyć taki kapitalizm? Premierzy niepotrafiący latami zbudować kawałka autostrady? Ludzie, którzy nie potrafią robić rzeczy małych, nie mogą być twórcami wielkich. Społeczna intuicja była prawdziwa – gdyby od polityków zależał sukces, nigdy by go nie było. Jednak sukces nie od nich zależał. Politycy byli twarzami epoki, a niej jej władcami. Nawet Balcerowicz nie był twórcą kapitalizmu, a jedynie grabarzem komunizmu, który zniszczył stare reguły, aby nie było do nich powrotu. Nowa gospodarka tworzyła się całkowicie żywiołowo. Pomoc ze strony państwa zawsze była znikoma, przez rządy przewinęło się kilku sensownych ekonomistów, ale nie mieli silnej pozycji. Co sprawiło, że rynek i bogactwo rodziły się obok władzy, a nawet wbrew władzy. Kapitalizm nie został w Polsce zasadzony, on sam w niej wyrósł. Nie było troskliwego ogrodnika, była jedynie żywotna roślina. Zadania, które zależały od państwa, były zawsze najbardziej zaniedbane – sprawne sądy, proste podatki, mniejsza biurokracja, równe szanse na rynku. Więcej biznesowi pomogły unijne reguły niż polskie rządy.

Problem jest poważniejszy i dużo ciekawszy niż odarcie polityków z zasługi. Chodzi o znalezienie prawdziwej sprężyny polskiego sukcesu. Skomplikujmy więc problem i rozejrzyjmy się dokoła. Polacy zbudowali demokrację i kapitalizm, weszli do NATO i do Unii. Jednak inne narody osiągnęły to samo. Czesi, Węgrzy, Słowacy, Łotysze, Litwini, Słoweńcy, Bułgarzy, Rumuni, Estończycy. Nie było społeczeństwa w Europie Środkowej, które by sobie nie poradziło. Nie było ani jednego, które by do Unii nie weszło, ani jednego, które by rynku nie zbudowało, ani jednego, które by demokrację straciło. Chyba że szukało trzeciej drogi, jak Ukraina.

Kiedy coś trudnego się wszystkim udaje, dzieje się tak zwykle za sprawą zewnętrznej przyczyny. Tak właśnie było tym razem. Nowi członkowie nie wdarli się do Unii i NATO mocą swojej zręczności i sprytu. To świat zachodni postanowił poszerzyć swoje imperium i jego bramy otworzył tak szeroko, aby każdy się dostał do środka. Podobnie było ze wzrostem gospodarczym. Polska gospodarka nie tyle urosła, co eksplodowała. Jednak to samo się działo w całym regionie. Różnie to na bieżąco wyglądało, czasem jedno państwo zmagало się z recesją, gdy inne już pędziło do przodu. Jednak po latach indywidualne różnice się zatarły, widać wartki nurt rozwoju, będący udziałem całego regionu. Widać nie tyle talenty poszczególnych żeglarzy, co siłę wiatru, który pchał wszystkich w korzystną stronę.

Na bieżąco nikt tego wiedzieć nie mógł, więc żeglowanie miało swoją dramaturgię. Pełną obaw i zwątpień. Jednak po latach nie da się opowiedzieć tamtej

historii w konwencji homeryckiej, w tonie zmagania, w których się wazą narodowe losy. Wiatr okazał się zbyt silny, zbyt korzystny, aby coś złego mogło się stać. Emocje były wielkie, jednak zagrożenie małe. Wszyscy mieli poczucie, że wychodzenie z komunizmu jest błędzeniem po labiryncie z małą szansą wyjścia z niego po zachodniej stronie. Szli więc z duszą na ramieniu. Okazało się jednak, że w labiryncie nie było ślepych dróg, lecz jedna, wiedząca prosto do celu. Dziś to wiadomo na pewno, bo nikt ani razu nie zbłądził, ani Polacy, ani sąsiedzi. Nie wiemy, co by się stało, gdyby było więcej dróg. Albo gdyby wiatr zaczął wiać w oczy. Istotą tamtej epoki było właśnie to, że marsz ku Zachodowi wiódł zawsze z górki, a nigdy pod górę.

Problem jest szerszy niż ramy opisywanej epoki. Dwie dekady wcześniej podobną drogę przebyła południowa Europa – Hiszpanie, Portugalczycy i Grecy, którzy wychodzili z autorytarnych reżimów. Oni także mieli dusze na ramieniu, jednak im również się powiodło. Zbudowali demokrację, podwoili gospodarki, weszli w zachodnie struktury. Zrobili to szybko, sprawnie, bez większych problemów. Już wtedy widać było, że ich droga nie wiodła przez kręty labirynt, a ich zadanie nie było tak trudne. Oni sami do dziś eksponują własne zasługi, jednak nie brzmi to przekonująco. Wszystkim się udało, bo przyczyna sukcesu leżała na zewnątrz. Był nią ów życzliwy wiatr. Wielka, dziejowa koniunktura sprzyjająca wszystkim Europejczykom, którzy szli za demokracją, za rynkiem, za gospodarczą współpracą.

Ta właśnie koniunktura była prawdziwym podmiotem zmian. Była siłą, która objęła panowanie nad Europą po 1945 roku. Jej narodzin nic wcześniej nie zapowiadało. Po pierwszej wojnie kontynent się pograżał w chaosie. Wybuchł największy w historii kryzys gospodarczy i równie wielki kryzys polityczny. Od Lizbony po Warszawę demokracje padały bez społecznego oporu, bez żalu ze strony elit. Nie było to zaskakujące, demokracja w Europie nie była silna, była raczej anglosaską zabawką. Podobnie było z wolnym handlem, lata 30. to epoka protekcjonistycznych polityk, którymi próbowano chronić własne gospodarki, czym je zresztą zupełnie zniszczono. W czasie drugiej wojny kryzys kontynentu sięgnął dna. Gdy przyszedł 1945 rok, nic nie zapowiadało sukcesu. Gospodarki były zdewastowane. Miasta zniszczone. Miliony ludzi nie miały domów. Byli głodni, bez pracy, bez nadziei. Byli też zdemoralizowani, dużo zła widzieli, dużo uczynili. Nie było gorszego gruntu dla budowy demokracji. Nie było gorszego czasu dla budowy Europy bez granic, pozwalającej na swobodny przepływ kapitału i pracy.

Jednak chwilę potem wszystko zakwitło. Europejska gospodarka zaczęła się rozwijać w tempie zawrotnym, dużo szybciej niż amerykańska. Z wojennych gruzów

wyrósł największy sukces materialny w dziejach Europy. Już po trzech dekadach Europa stała się najbardziej wygodnym miejscem na Ziemi. Polacy z opóźnieniem dołączyli do Zachodu, więc zwykli sądzić, że Europa była wiecznie bogata. Jednak większość tego, co dzisiaj tam widać, jest świeże. Południowe Włochy dwa pokolenia temu wyglądały równie nędznie jak Polska lat 80. Podobnie było w Portugalii, Irlandii czy Norwegii. Nawet prowincja angielska czy francuska wyglądały marnie. To było zdumiewające, nawet czasy wielkich imperiów nie dały Europie takiego bogactwa jak to, które przyszło po wojnie.

Równie szybko i łatwo wyrosła demokracja. Wbrew logice, bo wiele społeczeństw zdawało się do niej mało pasować. Włosi, Niemcy czy Austriacy kilka lat wcześniej masowo wsparli faszyzm, teraz mieli budować demokrację. Jednak robili to sprawnie. Polska prawica uważa, że przyczyną sukcesu demokracji było rozliczenie się z przeszłością, jednak to mit, czystki wszędzie były powierzchowne i krótkotrwałe. Demokrację budowano na kłamstwie, nie na prawdzie. Na udawaniu, że zły przeszłości nie było, na udawaniu, że się nie wie, co robili sąsiedzi. To sprawiło, że w Niemczech i w Austrii demokrację budowali dawni naziści, we Włoszech dawni faszyści, we Francji byli kolaboranci. Podobnie postępowali potem hiszpańscy frankiści czy polscy postkomuniści. I to też było nowe. Po 1945 roku demokracja w Europie nie potrzebowała ani żarliwości, ani idealizmu, ani czystych biografii. Nie potrzebowała niczego. Zwycięsko parla do przodu, bo zaczęły wiać owe korzystne wiatry, których siłę po 1989 roku poznali Polacy.

Skutki tak bardzo przerosły przyczyny, że historycy tamte wydarzenia wolą nazywać „cudem” albo „złotym wiekiem”. Nie z mistycyzmu, lecz z poznawczej bezsily. Po 1945 roku w Europie nagle pojawiła się koniunktura na demokrację i ekonomiczną współpracę. Koniunktura niezwykła, zarówno jeśli chodzi o jej źródło, jak też jej siłę. I to ona wszystko sprawiła. Kroczyła przez kontynent, dając sukces każdemu. Nie tylko Polacy nie byli reżyserami własnego sukcesu. Nie byli nimi również Niemcy, Francuzi czy Włosi. Każdy z narodów dawał z siebie dużo, ale w zamian dostawał po wielokroć więcej. To była loteria, w której każdy wygrywał majątek. Nie umniejsza to przyjemności wygranej, jednak zmienia ocenę własnej zasługi. Zmienia też perspektywę opisu historii. Bledną narodowe wysiłki, ponieważ to nie narody były podmiotem tamtych wydarzeń. Choć państwa Unii zachowały suwerenność, realnym podmiotem była wspólnota. Na owocach sukcesu państwa rzeźbiły potem indywidualne rysy, ale sam sukces był dziełem wspólnym. Pisanie narodowych historii w odniesieniu do tamtej epoki bardziej zaspokaja potrzeby pamięci niż historycznego rozumu. Najważniejsze dobra – bogactwo, stabilność

ustroju, bezpieczeństwo – do każdego narodu przychodziły z zewnątrz.

Jeśli czytelnik nadal jest nieprzekonany, jeśli ma poczucie wyjątkowości polskiego sukcesu, niech spojrzy na resztę postsowieckiego imperium. Azjatyckie kraje nie rozwiązały kwestii narodowego bezpieczeństwa, ale gospodarczo poradziły sobie świetnie. Rozwijały się często równie szybko jak Polska. Nie dlatego, że były sprawnie rządzone, bo nie były, ale ponieważ pozbyły się komunizmu. Ten system był ciężarem, który pozbawiał szansy na rozwój, jego ekonomiczne skutki podobne były do długotrwałej wojny. Sam upadek komunizmu sprawił, że gospodarki zakwitły bez względu na jakość przywództwa. To nie była kwestia politycznej zręczności, ale efekt zdjęcia ludziom kajdanek. Pozwolono im produkować, więc produkowali. Nie tylko Rosja, nawet Białoruś podwoiła swoją gospodarkę. W Kazachstanie dochód na mieszkańca jest dziś taki sam jak w Polsce. Jedynym postkomunistycznym państwem, któremu się nie powiodło, była Ukraina. Bo z nią Rosja robiła to, co z Polską w XVIII wieku.

Sukces Polski jest powodem do satysfakcji, ale nie do dumy. I to jest najbardziej wyważona ocena tych dwudziestu lat. Więcej ciepłych słów powiedzieć się nie da, bo nie udało się wyssać z globalnej koniunktury więcej, niż zdołali sąsiedzi. A możliwości były, Polska była największym – po Rosji i Ukrainie – postkomunistycznym krajem. Największym – z punktu widzenia Zachodu – cywilizowanym krajem na postsowieckim obszarze. Z tego atutu Polska nie potrafiła skorzystać. I to jest obiektywny powód dla braku dumy. Jest też powód subiektywny – w połowie dwudziestolecia zmianie uległy społeczne kryteria oceny. Kiedy Polacy odbili się od dna, miarą sukcesu stało się dla nich nie to, co sami mieli kiedyś, ale to, co inni mają dziś. Czyli poziom zachodni. W ten sposób narodzili się nowi Polacy, nowe społeczeństwo, mające nowe potrzeby i nowe standardy. Ta naturalna zmiana zrodziła wielką frustrację, bo ważniejsze od tego, co udane, stało się odtąd to, co jeszcze nieudane. Sukces kontestatorów w 2005 wziął się z tej nowej optyki. Kontestatorzy wyczuli, że ład instytucjonalny Trzeciej RP Polaków nie cieszy, ale obraża. Kiedyś łapówki ich męczyły, teraz gniewały. Dawniej czekanie latami na wyrok w sądzie przyjmowali z pokorą, teraz z oburzeniem. Nowi Polacy byli wymagający, małe problemy urastały do wielkich pretensji. Gniew budziły monopolistyczne praktyki telefonii komórkowych dyktujących w Polsce wyższe ceny. Banki traktujące polskich klientów gorzej niż w ojczystych krajach. Hipermarkety bezkarnie wykorzystujące pracowników. „Nie jesteśmy dzikusami” – powtarzali nowi Polacy. W 1990 roku byli szczęśliwi, gdy zostali właścicielami swoich paszportów. Piętnaście lat później z radości została irytacja, że pierwszy etap

podróży – dojazd do polskiej granicy – zawsze trwa najdłużej. Mało ich obchodziło, że żyją w kraju o nieco lepszym niż PRL. Oni już nie chcieli czegoś lepszego, lecz po prostu dobrego. Kaczyński znalazł się w centrum społecznej uwagi, bo uchwycił godnościowe potrzeby nowych Polaków. I wyraził je mocną diagnozą, że Polacy nie mają państwa. Był minister do budowy autostrad, ale nie było autostrad. Były sądy, ale nie było wyroków. Był Urząd Antymonopolowy, ale były też monopole. Obrońcy III RP uważali, że jest to litania grzechów, a nie wielkich zbrodni. Mieli rację, ale chłodny dystans wobec emocji społecznych nie pozwolił im zrozumieć ducha epoki. Tego, że nastał czas, kiedy grzechy się stały zbrodniami.

Obrońcy III RP nie dostrzegli, że oni też byli nowymi Polakami i wobec rzeczywistości zgłaszali pretensje nie mniejsze niż Kaczyński. Lewica polski kapitalizm nazywała dzikim, a polskie państwo służą bogatych. Liberałowie dowodzili, że Polska jest katolickim skansenem, w którym prawa i obyczaje stanowią biskupi. Krytyce poddawano państwo, jego prawa, jego decyzje, jego instytucje, ład gospodarczy, normy społeczne. Nie było to marudzenie na boku, te myśli stanowiły główny nurt debaty publicznej, zarówno przed wygraną Kaczyńskiego, jak również po jego upadku. Stawianie rzeczywistości fundamentalnych zarzutów było głównym tonem epoki. Gniew tętnił w masach, tętnił też w elitach.

Jak wszystkie społeczne emocje ten gniew był nazbyt namiętny i stanowczo przesadny. Jednak wyrastał ze słusznej intuicji, że państwo zawiodło. Potwierdzał to każdy etap historii III RP. Kraj się szybko rozwijał, natomiast państwo się wlokło w ogonie zmian. Zamiast przyspieszać pochód, zawsze go spowalniało. Polska kwitła tam, gdzie wystarczała społeczna energia, a kulała wszędzie tam, gdzie potrzebne było państwo: usługi publiczne, drogi, sądy, pilnowanie równych szans, opieka nad najsłabszymi. Rządzący chętnie pozowali do zdjęć na tle cudzych sukcesów – przed gmachem Unii, pod flagą NATO, na tle zielonej wyspy – ale własnych osiągnięć nie mieli. Zabrakło im ambicji i determinacji, wysiłek zmiany realiów zrzucili na społeczeństwo. Wiele instytucji państwa sprostało potrzebom nowych Polaków, ale było ich zbyt mało, aby zmienić obraz całości.

Władza nie nadążała za społeczeństwem, co nie znaczy, że była zła. Raczej taka sobie. Bardzo przeciętna. Odpowiedzialna, ale mało ambitna. Rozsądna, ale bardzo bierna. Polityczna gorączka tamtych lat ukryła skalę tej bierności, budując poczucie, że kolejni władcy z wielkim mozołem przedzierali się przez burzliwą epokę. Nie była to prawda, przez burzliwy czas przeszli przywódcy Drugiej RP, którzy musieli pójść na wojnę z Rosją, stawić czoła Wielkiemu Kryzysowi, a potem się miotać, gdy po obu stronach granicy wyrosły najbardziej ponure imperia

w dziejach Europy. Przywódcom Trzeciej RP historia nie tylko oszczędziła dramatów, ale też dała komfortowe warunki. Nie musieli dbać o bezpieczeństwo, bić się o dobrobyt. Polskiej polityce nikt nie rzucił rękawicy ani ona jej nie rzuciła nikomu. Była więc narcystyczna i delikatna, skupiona tylko na sobie. Po 1989 roku przeżyła cztery bardzo trudne lata, potem wszystko już było łatwe, bo gospodarka się zaczęła rozwijać. Jedynie Wałęsa i Balcerowicz stawili czoła realnym wyzwaniom. Tylko jedna partia – Unia Demokratyczna – zmagала się ze swoim czasem. Inni prochu nie powąchalі. Dwie pierwsze dekady politycy strawili na koteryjnych wojnach, na dobijaniu rywali, na osobistych zemstach.

Brak sukcesów w rządzeniu nie znaczył, że nie mieli politycznego talentu. Mieli go, nawet bardzo dużo, ale świetna koniunktura pozwoliła im się skupić na sobie. Na walce o władzę. Oraz na nauce politycznego rzemiosła w świecie dla nich nowym, w którym było wiele partii, wybory, wolne media, sondaże opinii. Uczyli się szybko, za co byli karani, bo społeczeństwo uczyło się wolniej i oczekiwało polityki bajkowej. Zwłaszcza elity. Politycy mieli być grzeczni, odpowiedzialni i merytoryczni. Reformować od świtu do zmierzchu. Myśleć o państwie, nigdy o partii. Mówić prawdę, zwłaszcza w kampanii wyborczej. Jednym zdaniem: mieli robić to wszystko, czego realni politycy nigdy nie robią. Czasem pojawiali się idealisci, którzy szli za tymi radami, ale szybko zegnali się z życiem. Polityka była nieubłagana, jej reguł nie wolno było pominąć. Można je było nagiąć lub wykorzystać, ale nigdy zignorować. Umierających polityków czasem zegnały oklaski, natomiast ci, którzy umrzeć nie chcieli, byli bici bez miary. Zwłaszcza w pierwszej dekadzie. Na Wałęsę urządzono wielką nagonkę jedynie za to, że był politykiem – czyli stanął do wojny o władzę, dobrze ją poprowadził, do mas mówił językiem mas, a rywali potrafił celnie uderzyć. Zespół politycznych zachowań, które w dojrzałych demokracjach nazywa się „skuteczną polityką”, w Polsce nazwano „zamachem na demokrację”. Podobny los spotkał potem Millera.

W tamtej epoce wszyscy się skarżyli na swoją słabość. Media, biskupi, elity, związki zawodowe. Jednak – relatywnie – to politycy byli najslabsi. Pod nogami nigdy nie czuli twardego gruntu. Partie, na czele których stali, były wydmuszkami, bez tradycji, bez pieniędzy oraz bez lojalnych wyborców. Władza, którą zdobywali, była mniejsza niż zachodnich liderów. Państwo, którym kierowali, było zdezelowanym narzędziem. Społeczne namiętności były im wrogiem, każda partia była stygmatyzowana – jako czerwona, różowa lub czarna. Musieli się też ubrudzić bardziej, niż to jest w normie. Pierwsza dekada Trzeciej RP to czas pieniędzy przynoszonych przez sponsorów w foliowych torebkach, oddawania pożyczek KGB,

finansowania kampanii z pieniędzy CDU, zakładania Telegrafu. Opinia publiczna widziała w politykach ludzi o brudnych rękach. Jednak to, co z perspektywy obywatela było przestępstwem, ze strony polityka było ryzykiem. Musieli ubrudzić ręce, bo z czystymi nigdzie by nie doszli. Lokalnych nienormalności było dużo więcej. W 1989 roku nikomu nie przyszło do głowy, że media wolności słowa użyją po to, aby wejść do politycznej gry. Jednak dwóch baronów medialnych miało wielkie ambicje, podpowiadali władcom decyzje, a gdy ci nie słuchali, organizowali medialną krytykę. Dla silnej władzy atak mediów jest sporym problemem, dla władzy słabej był problemem wielkim. Podobnie było z listami pasterskimi czytanyymi z ambon w niedzielę wyborczą. Taką presją można zmienić wynik wyborów, więc politycy woleli jej ulec. Był też problem decyzyjnego osamotnienia. Elity niemieckie czy amerykańskie działały w mandaryńskiej logice: służyły władzy, rozumiejąc i akceptując jej ograniczenia. Polskie elity postępowały odwrotnie. Zamiast doradzać, wolały pouczać. A ponieważ nie rozumiały reguł polityki, pouczały wbrew nim. Dlatego Kaczyński i Tusk przestali z ich rad korzystać. Woleli iść po omacku, niż pytać ślepców o drogę.

W porównaniu z innymi epokami, dwudziestolecie było wysypem politycznych talentów, niezwykłym w tak krótkim czasie. Był Wałęsa, polityk wybitny, który zdążył rozwinąć skrzydła, zanim kastracyjna wrażliwość młodej demokracji dostrzegła w nim groźnego prostaka. Byli Kwaśniewski i Miller, wielki paradoks komunistycznej lewicy, która swoje dwa najlepsze owoce wydała dopiero po śmierci. Byli Kaczyński i Tusk, dwie dziwne natury, w których ścięły się toksyczność i talent. Wszyscy byli wielkimi gladiatorami, jednak słabymi władcami. Nie z własnej winy, gdyby mieli pod sobą sprawne państwo, ich dorobek byłby znaczący, bo takie państwo zwielokrotnia możliwości władzy. Ale sprawnego państwa nie mieli, a budować dla następców nie chcieli. Ich polityczny talent szedł w parze z państwowym cynizmem. Premierzy z kapelusza z zapałem naprawiali państwo, średnio im to szło, ale sporo im się udało. Jednak potem do władzy dochodzili wielcy liderzy i kilkoma krokami tratali ich pracę – czystkami w administracji, dyplomacji, służbach, rozwiązywaniem dobrych instytucji, tworzeniem niepotrzebnych. Różne były ich motywy. Wałęsa nie szanował instytucji, bo ich nie rozumiał, Kwaśniewski rozumiał, ale szanował wtedy, gdy mu było wygodnie. Miller deptał instytucje, nad którymi nie panował, Kaczyński deptał te, nad którymi panował. A Tusk je wszystkie omijał, bo państwa w ogóle nie uznawał. Efekty były samobójcze nie tylko dla państwa, ale dla nich samych. Gdyby Merkel chciała walczyć z układem, niemieckie państwo powiedziałoby jej, czy układ istnieje



oraz jak go pokonać. Gdyby Sarkozy zginął w katastrofie lotniczej (hipotetycznie, bo w sprawnym państwie to się zdarzyć nie może), francuskie państwo pomogłoby premierowi podjąć właściwe decyzje. Polscy przywódcy tego wsparcia nie mieli, bo zniszczyli swoje narzędzie pracy. Rządzili państwem wbrew państwu i spoza państwa, kilku partyjnych liderów spotykało się wieczorem i szukało rozwiązań. Gdyby władza trafiła na dłużej w ręce polityków szanujących państwo i chcących je naprawiać – pokroju Cimoszewicza, Rokity lub Dorna – stałoby się ono narzędziem władzy, a nie tylko władzy symbolem.

Dobre państwo to sprawa kluczowa nie tylko dla polityków, jeszcze bardziej dla społeczeństwa. Polacy dużo bardziej potrzebują dobrego państwa niż dobrej polityki. Pierwszy etap rozwoju mogli pokonać spontanicznym wysiłkiem, ale drugiego – czyli dośnięcia standardów zachodnich – bez państwa nigdy nie osiągną. Aby wskoczyć na tak wysoki pułap, potrzebne jest państwo sprawne i kompetentne. Jego brak jest główną pretensją, jaką można postawić polityce pierwszego dwudziestolecia. Reszta – egoizm, cynizm, lenistwo – to grzechy dla polityki typowe.





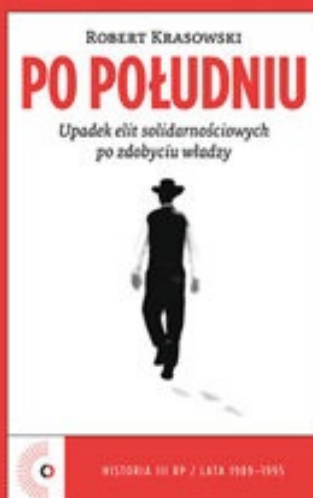
## Źródła cytatów użytych w książce:

Marek Balawajder, Janusz Kaczmarek, Roman Osica, *Janusz Kaczmarek. Cena władzy*; Ludwik Dorn, *Anatomia słabości*; Ludwik Dorn, Amelia Łukasiak, Agnieszka Rybak, *Ludwik Dorn. Rozrachunki i wyzwania*; Marek Jurek, *Dysydent w państwie PO PiS*; Jarosław Kaczyński, *Polska naszych marzeń*; Michał Kamiński, Andrzej Morozowski, *Koniec PiS-u*; Michał Karnowski, *Lech Kaczyński. Portret*; Michał Karnowski, Kazimierz Marcinkiewicz, Piotr Zaremba, *Marcinkiewicz. Kulisy władzy*; Michał Karnowski, Piotr Zaremba, *O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich*; Michał Krzymowski, *Jarosław. Tajemnice Kaczyńskiego*; Michał Majewski, Paweł Piskorski, *Między nami liberałami*; Michał Majewski, Paweł Reszka, *Daleko od miłości*; Michał Majewski, Paweł Reszka, *Daleko od Wawelu*; Cezary Michalski, Janusz Palikot, *Ja, Palikot*; Janusz Palikot, Anna Wojciechowska, *Kulisy Platformy*; Jan Rokita, *Anatomia przypadku*; Łukasz Warzecha, *Lech Kaczyński – ostatni wywiad*; Piotr Zaremba, *O jednym takim... Biografia Jarosława Kaczyńskiego*; oraz teksty z „Dziennika”, „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka”, „Polityki”, „Polski. The Times”, „Rzeczpospolitej” i „Wprost”

*Czasem Kaczyńskiego* Robert Krasowski zamyka trytomową historię dwóch pierwszych dekad III RP. Cykl otworzyło *Po południu* opowiadające historię rozpadu obozu solidarnościowego w latach 1989–1995. Kontynuacją był *Czas gniewu* poświęcony rządowi Sojuszu w latach 1995–2005.

Równoległe Krasowski przeprowadził trzy wywiady rzeki, w których historię III RP opowiedzieli reprezentanci trzech głównych obozów politycznych epoki – Leszek Miller, Jan Rokita i Ludwik Dorn. Książki ukazały się pod tytułami: *Anatomia siły*, *Anatomia przy-padku* i *Anatomia słabości*.

#### W CYKLU „HISTORIA III RP” UKAZAŁY SIĘ:



Trzeci tom historii polskiej polityki obejmuje burzliwy okres – rządy Jarosława i Lecha Kaczyńskich oraz Donalda Tuska. Obraz bohaterów epoki, jaki nakreślił Krasowski, wielu czytelników zaskoczy. W jego opowieści Jarosław nie jest ideowcem, lecz egoistą skupionym wyłącznie na własnej pozycji. Lech jest ofiarą nie „przemysłu pogardy”, lecz własnych słabości. Chyba najbardziej intrygujący jest obraz Tuska. Autor nie widzi w nim przeciwnika Kaczyńskiego, lecz kontynuatora, który podąża śladami swego poprzednika. Podtrzymuje jego diagnozy, jego cele i jego wrażliwość, w szczególności pogardę dla elit.



wydawnictwo czerwone i czarne  
[www.czerwoneiczarne.pl](http://www.czerwoneiczarne.pl)